

RAPORT: POLSKA PO WECIE PREZYDENTA

**Co zrobi Duda? Co zrobi Kaczyński?
Kto zyskałby na rozbiciu prawicy**

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 31/233 31 LIPCA – 6 SIERPNIA 2017

**Legenda i historia
Zofii Romaszewskiej**

**POWSTANIE WARSZAWSKIE
– OPOWIEŚĆ,
KTÓRA PORUSZYŁA
DONALDA TRUMPA**



**Semka o belgijskich
frytkach i komiksach**

**Posel PiS Krystyna Pawłowicz
w dramatycznym wywiadzie:**

**„BĘDZIESZ
WISIEĆ”
– grożą mi**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

3 1 >
9 772299 850000

Nakład: 108 tys. egzemplarzy

PGNiG DZIĘKUJE POWSTAŃCOM WARSZAWSKIM

RACHUNEK WDZIĘCZNOŚCI PGNiG DLA POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH
TO WSPARCIE W WYSOKOŚCI DO 900 ZŁ ROCZNIE NA RACHUNKI ZA GAZ.
ZAINTERESOWANI POWSTAŃCY MAJĄ TRZY PROSTE MOŻLIWOŚCI ZGŁOSZENIA:

01 W dowolnym
Biurze Obsługi Klienta
PGNiG

02 Poprzez infolinię
22 589 41 27

03 Listownie
ul. Jana Kazimierza 3
01-248 Warszawa

Wystarczy tylko dowód osobisty.

Więcej informacji: pgnig.pl



W RZECZY SAMEJ

Szaleństwo komisarzy z Brukseli

Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera – mówi stare przysłowie. Najwyraźniej Opatrzność straciła cierpliwość do brukselskich komisarzy, którzy z podziwu godnym uporem postanowili walczyć o rzekomo zagrożoną polską demokrację. W środę Frans Timmermans poinformował, że Komisja Europejska daje Polsce miesiąc na rozwiązanie tego, co nazwał systemowymi problemami reformy sądownictwa. Wiceprzewodniczący Komisji stwierdził, że ustawa o sądach powszechnych została podpisana przez prezydenta, więc to uzasadnia rozpoczęcie przeciw Polsce procedury o naruszenie praworządności. Jeśli ustawa wejdzie w życie w obecnym kształcie, dodał, to Komisja może uruchomić artykuł nr 7 Traktatu o Unii Europejskiej, który przewiduje sankcje wobec kraju naruszającego wartości unijne. Niezależnie od tego, na ile jego wprowadzenie jest realne, potrzebna jest do tego jednomyślność pozostałych członków UE

– Komisja zmierza prostą drogą ku konfliktowi.

Jej decyzja zapadła już po tym, jak dwie ustawy, o Sądzie Najwyższym i o Krajowej Radzie Sądownictwa, zawetował prezydent Andrzej Duda, co najlepiej świadczy o złej woli i uprzedzeniu komisarzy. Zamiast pozostawić rozwiązanie kwestii spornych Polakom, zdecydowali się kolejny raz ingerować. Słowa unijnych komisarzy to prawdziwe ultimatum.

Nie pierwszy to raz traktują oni Polskę jak dziecko szczególnej troski. Unijni politycy nie wyjaśnili, w jaki sposób oceniają i będą oceniać wartość przyjętej w Polsce ustawy. Na jakich analizach porównawczych się opierają? Skąd wiedzą, że rozwiązania polskie różnią się od przepisów w innych państwach UE? W czym ochrona polskich obywateli jest gorsza pod względem prawnym od ochrony w Niemczech, Holandii lub Belgii?

Polska demokracja nie potrzebuje kurateli z Brukseli. Nie po to w 1989 r. wywalczyliśmy sobie niepodległość od sowieckiej

Rosji, żeby teraz poddawać się nieustannemu naciskowi Unii Europejskiej. Jeśli pojawiają się spory, to istnieją naturalne i akceptowane sposoby ich rozwiązywania przez samych Polaków.

Pierwszym możliwym efektem działań komisarzy będzie zatem – sądzę – dalszy spadek poparcia dla Unii w Polsce. Niedawno opublikowane badania opinii publicznej pokazały, że mając do wyboru poddanie się presji i przyjęcie uchodźców z krajów muzułmańskich lub wystąpienie z UE, większość Polaków wybiera drugą opcję. Czy takie wyniki nic politykom z Brukseli nie mówią? A może ich nie znają? Kolejne naciski na Warszawę i swoista nagonka, którą urządzają komisarze, sprawiają, że eurosceptyczne nastroje tylko wzrosną. To, co robi Komisja, nie jest bowiem formą dialogu, jest to zwyczajny, ordynarny dyktat. A historia pokazała już wiele razy, że takim tonem z Polakami rozmawiać nie warto.

W całej sprawie uderza mnie jeszcze jedno, a mianowicie postępowanie niektórych polityków opozycji, którzy zachowują się tak, jakby przyjmowali zasadę: im gorzej dla Polski, tym lepiej dla nich. Mylą się. Nie tylko dlatego, że to, co robią, coraz częściej ociera się o zdradę narodową, lecz także przynosi efekt odwrotny do tego, jakiego oczekują: mobilizację społeczną po stronie rządu. Zastanawiam się też nad jeszcze jednym: w jaki sposób opozycja będzie w stanie pokazać, że umie prowadzić politykę zgodną z polskim interesem narodowym, skoro z miesiąca na miesiąc staje się coraz wyraźniej zakładnikiem Brukseli? Jak udowodni, że w sprawach dla Polski ważnych będzie ją stać na walkę? Nie umiem w to uwierzyć. ©©

Czy to demokracja w rękach opozycji,
czy opozycja w rękach demokracji?



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z KRYSTYNĄ PAWŁOWICZ
OPOZYCJA ŻYWI SIĘ NIENAWIŚCIĄ
Poseł PiS: „Przyprawia mi się gębę”



56 ANDRZEJ TALAGA
GAZ Z USA – GEOPOLITYCZNY DAR LOSU

59 SZEWACH WEISS
UGASIĆ ŚWIĘTE MIASTO

HISTORIA

60 ROZMOWA Z TADEUSZEM ZAPĄŁOWSKIM
BRONIŁEM PRZYZOŁKA CYWILIZACJI
Żołnierz AK o obronie barykady w Al. Jerozolimskich



63 PIOTR SEMKA
MIEDZY LUTREM, NIEBEM I PIEKŁEM

ŚWIAT

68 GABRIEL MICHALIK
WSZYSCY NIENAWIDZĄ ROSJAN?
Zachód w rosyjskiej propagandzie

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
DUCH FRANCISZKA I JEGO RZEKOMI WROGOWIE

EKONOMIA

74 RADOŚLAW WOJTAS
WIELKA FUZJA
Discovery chce przejąć właściciela TVN

80 JACEK PRZYBYLSKI
SERCE W BIZNESIE

ŻYCIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
KRUCHE KOŚCI
Osteoporoza i jej konsekwencje

WAKACJE Z „DO RZECZY”

92 PIOTR SEMKA
BRUKSELA. ŚLADAMI TINTINA
Tropem rysunkowego bohatera

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZYM PIS WKURZA SUWERENA?
Wojna ze wszystkimi i radykalna retoryka partii rządzącej działają na korzyść opozycji

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NA PRZECZEKANIE

28 ŁUKASZ WARZECHA
MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

31 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
SYNDROM TARGOWICY

34 KAMILA BARANOWSKA
CO DALEJ Z SĄDAMI?

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
LEGENDA MUREM ZA DUDĄ

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SPISANE BĘDĄ CZYNY I ROZMOWY

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
VALERIAN W OPAŁACH
Recenzja nowego filmu Luca Bessona i rozmowa z reżyserem

46 ANDRZEJ HORUBAŁA
SYDERSTWO I WIERNOŚĆ

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 TOMASZ KWAŚNICKI
STRZYŻENIE POLAKÓW
Trójmorze – układ kolonialny?





SWISS MILITARY
HANOWA



butiki **SWISS**

swiss.com.pl     

eprasa.pl 82f4e782d1

Droży Czytelnicy,

Podwójne weto prezydenta ożywiło redakcyjną pocztę. Wyrazy poparcia mieszają się z głosami potępienia. Prezentujemy dwa spośród wielu listów, które do nas przyszły.

Brawo, Panie Prezydencie!

Prezydent RP Andrzej Duda postanowił, że zawetuje kontrowersyjne ustawy dotyczące sądu. I to, pomimo fali krytyki, która na pewno nastąpi, jest miłym krokiem w polskiej polityce.

Przyjęło się, że w polskiej rzeczywistości poglądy muszą być po stronie PiS lub PO. Oceny społeczne są jednoznaczne. A to nie jest prawda! Każdy człowiek ma prawo do punktu widzenia i opinii, które wynikają z jego wewnętrznej prawdy, dalekiej od nacisków. Prawdy, która go kształtuje i przede wszystkim ubogaca. To bogactwo bardzo często narażone jest na zaczepki, ale zarazem siła, która wynika z prawdy przekazu, nadaje człowiekowi głębię godności odpornej na krytykę i szulardkowanie.

Dziś prezydent Andrzej Duda stał się symbolem wolności myślenia. Myślenia autonomicznego dalekiego od zewnętrznych nacisków. Ten człowiek, który był oskarżany o podwładność względem innych osób, pokazał, że jest suwerenem dla wewnętrznej prawdy, która jest w każdym człowieku. Dla stanu wyższego, który buduje się przez autonomię wewnętrzną. Tu stanowi się prawdziwą wielkość człowieka.



Tej wewnętrznej autonomii bardzo brakuje polskiemu obywatelowi, zmanipulowanemu przez środki masowego przekazu. Brak własnego wypracowanego zdania na temat Polski i świata, a przede wszystkim siebie samego. Bo to tu zawsze podejmuje się najbardziej strategiczne decyzje dla siebie, a zarazem dla świata. Tego uczył Polaków Jan Paweł II, tworząc pojęcie „personalizmu”. Dziś Prezydent Andrzej Duda staje się jednym z prymusów tego nauczania.

Brawo, Panie Prezydencie!

Warte jest też podkreślenia, że ustawy, które niosą za sobą tylko zmiany personalne, nie przynoszą owoców. Z tego trzeba wyciągnąć naukę. Ta ciągle słyszana definicja „małej ustawy”, za którą idzie tylko obsada stanowisk, nie sprawdza się. Najlepszym przykładem jest tu ustawa o telewizji publicznej, gdzie zmiany personalne nie przyniosły żadnych korzyści. [...]

Polska potrzebuje przemyślanych działań naprawczych wynikających z systemowych zmian, ale na podłożu

pomysłu! Idei, która swoją mocą przebijie układy i naciski polityczne. Trzeba wierzyć, że to jest możliwe.

Paweł Zastrzeżyński
Limanowa

Piszę do Was z bólem

Pan prezydent uległ totalnej rozhisteryzowanej opozycji – to dla Polaków cios poniżej pasa. Widocznie nie wierzy w uczciwość i sprawiedliwość, i tak naprawdę to wcale mu na tym nie zależy. Uważam, że w obecnej sytuacji powinniśmy wyjść na ulice naszych miast i wsi. Spokojnie, ale pokażmy, że czekaliśmy na te ustawy. Uwierzyliśmy – może naiwnie – że oto wybraliśmy władzę, które będą się o nas – zwykłych ludzi – troszczyć. Że są nieugięci i nie boją się wykonać tych zadań, które przed nimi postawiliśmy, które nam obiecali. I co? Obiecanki cacanki? Przecież bez tych reform nie ruszy się niczego w tym kraju.

Piszę do Was, ponieważ sama nie mam możliwości zwołania ludzi. Chciałabym, aby wszyscy, którzy chcą i czekają na te reformy, wyszli spokojnie na ulice. Niech zobaczą, ilu nas jest. Spokojnie pracujemy, zajmujemy się dziećmi – zwyczajni, szarzy ludzie. Czekamy już tyle lat, aby to nasze życie znormalniało. Trzeba tej władzy udzielić wsparcia. Bo jeśli nie, to ruska mafia górą.

Pozdrawiam
Urszula – zwykła obywatelka
z platformerskiego Poznania
(nazwisko do wiadomości redakcji)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Górecki, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Ślawomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (Bruksela),
Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska,
Jarosław Kałucki, Katarzyna, Jacek Komuda, Ślawomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska,
Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska,
Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,

Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Matthew Tyrmand,
Paweł Wawrzyński, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**
Marzena Dobosz

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Darek Golik/Wprost/FORUM**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel. +48 692 46 40 80



PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 108 tys. egzemplarzy

Druk: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





WOJCIECH
WYBRANOWSKI

FELIETON

Piątkiem w Macierewicza

Polityczne granie Tomaszem Piątkiem i jego groteskową książką udowadnia, że nawet wypchnięci poza nawias własnego środowiska ludzie mogą wrócić w glorię „bohaterów”, o ile staną się przydatnym instrumentem w politycznej wojnie.

Politycy Nowoczesnej, która rozpaczliwie poszukuje sposobu na przetrwanie i medialne zaistnienie, zapowiedzieli składanie wielu interpelacji dotyczących domniemych powiązań Antoniego Macierewicza z rosyjską mafią i GRU. Swoje interpelacje opierają na „ustaleniach” przedstawionych w książce Tomasza Piątka „Macierewicz i jego tajemnice”. Cóż, tonący brzytwy się chwyta, a próba politycznej gry fantazmatami Piątka pokazuje również, że chwyta się brzydko.

O publikacji Piątka można powiedzieć wiele, można na przykład docenić zdolność autora do przepisywania własnymi słowami cudzych, znanych od lat tekstów w taki sposób, że część z tych, którzy dotąd polityką się nie intereso-

wali lub interesowali się o tyle o ile, może odnieść wrażenie, wbrew faktom, iż ma do czynienia z czymś odkrywczym.

Nie da się jednak – nawet wykazując maksimum dobrej woli – nazwać autora dziennikarzem śledczym, a jego publikacji literaturą śledczą. Mając nawet niewielką wiedzę o polskiej polityce po 1989 r., łatwo zauważyć, że Piątek w swoich enuncjacjach o Macierewiczu nie odkrywa niczego nowego, nie odkrywa kulis nieznanych wydarzeń, a przede wszystkim – wbrew twierdzeniom autora i jego apologetów – nie ujawnia żadnych powiązań Macierewicza i jego ludzi z rosyjskimi służbami czy mafią.

W zasadzie książka Piątka ma jeden walor – jest wręcz podręcznikowym przykładem tworzenia oderwanych od rzeczywistości teorii spiskowych i rozpowszechniania ich w środowiskach, którym z rzeczywistością pogodzić się jest bardzo trudno.

Można jednak odnieść wrażenie, że nie o prawdę, nie o rzeczywi-

stość, nie o fakty chodzi politykom Nowoczesnej czy promotorom Piątka, ale o posiadanie przydatnego narzędzia do uderzenia w ministra obrony narodowej i szerzej – w polski rząd. Casus Nowoczesnej to niejedyny taki przypadek; „ustaleniami” Piątka grali już: lewicowy francuski „Le Monde”, który od dawna – a zwłaszcza od czasu, gdy Macierewicz pozbawił Francuzów lukratywnego kontraktu na caracale – prowadzi kampanię przeciw polskim władzom, i Martin Pollack, austriacki dziennikarz współpracujący z „Gazetą Wyborczą”.

W sprawie „książki Piątka” o prawdę nie chodzi. Celem jest ostra polityczna walka. A w niej przydatni stają się nawet ludzie totalnie skompromitowani, odepchnięci przez własne środowisko – przypomnę, że Piątek został usunięty z „Krytyki Politycznej” w atmosferze skandalu – dla których jest to szansa powrotu na salony. Przynajmniej na tak długo, jak długo będą użytecznym narzędziem do politycznej walki. ©©

Kreml odpowiada na amerykańskie sankcje

Stany Zjednoczone mają zredukować liczbę swego personelu dyplomatycznego w Rosji z ponad tysiąca do 455 osób – tylu bowiem rosyjskich dyplomatów pracuje na terenie USA. Amerykańska ambasada w Moskwie utraci też prawo do korzystania z wybranych nieruchomości w stolicy Rosji oraz poza Moskwą – ogłosiło w piątek rosyjskie MSZ.

To odpowiedź Kremla na pakiet nowych sankcji uderzających w rosyjską gospodarkę, które rzadko spotykana większością głosów amerykańscy

senatorzy przyjęli w czwartek. Politycy podkreślili, że władze w Moskwie muszą być surowo ukarane za mieszanie się w amerykańskie wybory prezydenckie, a także za naruszenie terytorium Ukrainy oraz cybernetyczne ataki na USA.

Ustawa, przegłosowana także przez Izbę Reprezentantów, wzmocniła sankcje nałożone jeszcze przez prezydenta Baracka Obamę w grudniu 2016 r. Wydalenie 35 rosyjskich dyplomatów i odebranie rosyjskiej ambasady prawa do korzystania z dwóch nieruchomości na

terenie USA było karą m.in. za aneksję Krymu, rosyjskie działania na wschodzie Ukrainy oraz za prowadzenie przez rosyjskich dyplomatów w Stanach Zjednoczonych „działalności niezgodnej z ich statusem”.

Wówczas Władimir Putin nie odpowiedział podobnymi retorsjami – liczył bowiem, że po zaprzysiężeniu Donalda Trumpa dojdzie do ocieplenia stosunków rosyjsko-amerykańskich. Tak się jednak nie stało, a relacje Moskwy z Waszyngtonem są obecnie najgorsze od

zakończenia zimnej wojny. Tym razem eksperci nie mają jednak wątpliwości, że jeśli sankcje wejdą w życie, to Kreml wykorzysta wszystkie opcje odwetowe.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, Biały Dom nie ogłosił jeszcze, czy prezydent Donald Trump podpisze, czy może zawetuje zaostrzone sankcje. Jeśli zdecydowałaby się na weto, to zwolnieniu zaostrzenia sankcji mieliby prawdopodobnie w Kongresie wystarczającą przewagę, aby takie weto odrzucić.

Jacek Przybylski ©©



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Skomplikowana „Panna S”

Dawno temu, w latach 80., wpadłem na pomysł, by napisać pracę magisterską o tym, jaki obraz rewolucji w 1905 r. zachował się w pamiętnikach. Poszperałem w katalogach i ze zdziwieniem odkryłem, że takich wspomnień wydanych w międzywojniu (publikacje z epoki PRL z góry odrzuciłem) jest bardzo niewiele. Dlaczego? Mogłem tylko zgadywać. Obrośli w piórka piłsudczycy nie bardzo chcieli przypominać czasy, gdy biegali z czerwonym sztandarem i browningiem w dłoni. Inni, którzy wspierali wtedy, w 1905 r., marksistowską Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy, albo wyjechali do ZSRS, albo działali w podziemnej KPP. Narodowcom z kolei lata 1905–1907 kojarzyły się jak najgorzej – jako przenoszenie rosyjskiej rewolucji na Polskę – i nie poświęcali tym wydarzeniom osobnych memuarów. Krótko mówiąc, niby sanacja uznawała rewolucję w 1905 r. za wystąpienie niepodległościowe, ale tradycja tamtej rewolucji się nie przyjęła. Wszystko to było zbyt skomplikowane, a jej bohaterowie zbyt kontrowersyjni – szczególnie po latach.

Od niedawna mam wrażenie, że coś podobnego może się stać z pamięcią o epopei Solidarności z lat 1980–1989. Właśnie dlatego, że łączyła ona „wszystkich”, dla każdego obozu ideowego ma jakieś kłopotliwe wątki. Dla lewicy w stylu Razem czy Krytyki Politycznej karnawał „Panny S” był zbyt mało postępowy i zbyt katolicki. Dla niepodległościowej młodzieży zgryztem są ówcześni bohaterowie. Albo wiemy już wiele złego o ich skrywanej przeszłości, tak jak w przypadku Wałęsy czy Jurczyka, albo trudno zapomnieć, jak Michnik czy Bujak firmowali rozmowy w Magdalence i przy Okrągłym Stole. Młodym trudno pogodzić zdjęcia z przypijaniem do Kiszczaka czy Stanisława Cioska z opowieściami, jak raptem parę lat wcześniej ci sami walczyli ostro z komuną. I wreszcie herosi z lat 1980–1989 dziś sami ośmieszają swoją przeszłość, utrzymując, tak jak np. Frasniniuk, że w „kaczyzmie” czują się jak w stanie wojennym.

Gdy wyrażam – nie od dziś – takie obawy, często spotykam się z ostrą ripostą obozu III RP. „No tak, obsesjami lustracyjnymi zbrukaliście legendę solidarnościową, a teraz obłudnie załamujecie nad tym ręce!”

Wą, a teraz obłudnie załamujecie nad tym ręce!”

Zadziwia krótkowzroczność takich pretensji. Czy bez Cenckiewicza czy Zyzaka młodzi nie dowiedzieliby się o przeszłości Wałęsy i kulisach pomocy z USA dla wybranych tylko grup w podziemiu?

Co zostanie z solidarnościowej legendy? Przede wszystkim w pamięci pozostaną ci, którzy ginąc, potwierdzili autentyzm swoich dążeń. Górnicy Wujka, zastrzeleni z Lubina, zakatowany Przemyk, zadreńczony ks. Popiełuszko. Potem ci, którzy dali dowód, że sprawy robotników traktowali serio – Anna Walentynowicz, Gwiazdowie, Kornel Morawiecki. Lech Kaczyński być może będzie pamiętany bardziej jako prezydent niż działacz Solidarności. Po lewej stronie przypominać się będzie Kuronia, ale tu bardziej jako autora listu otwartego do partii i działacza KOR niż doradcę Solidarności. Żywiol postkodowski wreszcie będzie bronił imienia Wałęsy.

Jednak jak z tych różnych skrawków ulepić jedną tradycję Solidarności? Na to pytanie odpowie kolejna generacja. Sam jestem ciekaw jej wyborów. © ©

REKORDOWA SUSZA WE WŁOSZECH

Wysokie temperatury i długotrwała susza – najbardziej dotkliwa od 200 lat – coraz bardziej doskwierają mieszkańcom włoskich miast i tłumnie odwiedzającym ten kraj turystom. Sytuacja jest na tyle poważna, że wyłączono najsłynniejsze fontanny (m.in. w Watykanie). Zakrecono też kurki z wodą pitną w ponad 300 popularnych „nasoni”. Mieszkańcom Wiecznego Miasta i okolic grozi racjonowanie wody, tak jak w czasie II wojny światowej. Prawdopodobnie dostawy wody będą odcinane na osiem godzin na dobę. (jap) © ©



FOT. DONATELLA GAGNORI/EPIDON FORUM



Zapewniamy energię

POŚWIĘCENIE TO WIELKA ENERGIA

PGE Mecenaszem Muzeum Powstania Warszawskiego

PGE. Sprzedawca prądu, gazu i ciepła.

epi.sas.pl



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wirtualna rewolucja

W samym szczycie ulicznej batalii toczonej przez opozycję totalną „w obronie sądów” spędziłem wczesnym popołudniem jakieś pół godziny na placu przed Sądem Najwyższym. Pogoda była piękna, tłumy ludzi parły we wszystkie strony, a ja kątem oka śledziłem kramik KOD i „Gazety Wyborczej”, gdzie rozdawano

Nawet miliony na ulicy niewiele w demokracji zmieniają

ulotki i wojenne wydanie wspomnianej gazety. Przez cały ten czas zainteresowało się nim może pięciu przechodniów – reszta mijają płachty ogłaszające ogólnonarodowy protest z kompletną obojętnością.

Owszem, wieczorami, kiedy schodzili się „spacerowicze” z całe-

go miasta, wyglądało to imponująco – stary pomysł Alberta Speera, by manifestacje urządzać nocą i wykorzystywać w nich magiczny urok płomieni, zawsze działa znakomicie. W końcu jednak Warszawa liczy oficjalnie 1,7 mln mieszkańców (a faktycznie podobno o milion więcej) i jest obok Poznania i Trójmiasta największym skupiskiem żelaznego elektoratu obalonej szczęśliwie dwa lata temu władzy. Nawet jeśli uznać, że na wezwanie do protestów odpowiedziało 20 lub 30 tys. ludzi i nawet jeśli przemnożyć to przez kilka innych miast – wciąż jesteśmy daleko od owych obiecywanych przez opozycję już drugi rok „milionów”. Zresztą nawet miliony na ulicy niewiele w demokracji zmieniają. Na demonstracjach przeciwko „małżeństwom” homoseksualistów, aborcji czy eutanazji w Europie Zachodniej były prawdziwe miliony i zupełnie je zignorowano. Prawdziwe miliony

protestowały w Londynie przeciwko wojnie z Irakiem – a Blair zrobił swoje, i bodaj nawet wygrał potem wybory.

Niezmierzona wiara liderów PO i .N, że zdołają cokolwiek zmienić, podburzając ulicę i zagranicę, ma więc w sobie dużą dozę rozpacz. W Polsce nie ma rewolucyjnych nastrojów. Mając tak silne środki propagandowe, można oczywiście wytwarzać takie wrażenie, ale ono pryska, gdy przełączy się kanał w telewizji, wyloguje z podkręcanego przez macherów od Internetu forum albo po prostu wyjdzie na spacer – normalny spacer – w porze innej niż wskazywana przez „media komercyjne” w ogłoszeniach, odezwach i manifestach. Ewa Kopacz niewiele powiedziała w swej karierze mądrych słów, ale akurat te, że władzę zdobywa się w wyborach, nie na ulicy, powinna sobie jej partia wreszcie wziąć do serca. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O schizofrenii i obłudzie

Wyznawcy kultu migranta znaleźli się w stanie schizofrenicznym, bo arcykapłani tej religii zaczęli mówić dwoma językami: jednym, że migrantów trzeba przyjmować, i drugim, że trzeba ich powstrzymać.

Na włoskie skargi, że możliwości dalszego przyjmowania migrantów się wyczerpują, Unia odpowiedziała, ogłaszając nowy dogmat – „O Libii”: trzeba sytuację w tym kraju ustabilizować, tak by libijska straż przybrzeżna mogła kontrolować swoje wody, a wojsko, we współpracy z pogranicznikami Mali, Nigru i Czadu, zapanowało

nad południowymi granicami i nie wpuszczało migrantów z południa Afryki do swego kraju. Stoi to w jawnej sprzeczności z poprzednimi dogmatami o nieuniknionej migracji i niepokalanym migrancie, który ubogaci i rozmnoży Europę, a jeszcze zarobi na europejskie emerytury.

Faryzeuszostwo polega na tym, że arcykapłani, jak wynika z ostatnich deklaracji, chcą powstrzymać migrantów, ale nie chcą sobie przy tym pobrudzić rąk. Ogłosili więc, że brudną robotą mają się zająć Libijczycy. Nietrudno wyobrazić sobie paranoiczną sytuację,

w której libijska straż przybrzeżna będzie na swoich wodach ścigać łódki z migrantami, a nieopodal będą czekać statki ratownicze Frontexu i organizacji pozarządowych.

Przed laty kolega spóźnił się na nocny dyżur w redakcji, co niestety fatalnie odbiło się na rezultatach naszej pracy i było wiadomo, że będzie awantura. Rzekł mi: „Musisz to wziąć na siebie, bo i tak masz nagrabione, a mnie mogłoby to poważnie zaszkodzić”.

Nie trzeba chyba dodawać, że kolega z sukcesami pracuje teraz dla UE. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Timmermans może nam skoczyć, ale...

Na zeszłotygodniowej konferencji prasowej wiceszefa Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa pojawiła się przyzwoitka w postaci Róży Thun. To niezwykle, ponieważ eurodeputowani nie zwykli przychodzić na konferencje prasowe urzędników KE.

Jednak obecność Róży Thun nie pomogła: Timmermans,

O co tu chodzi? Art. 7., przewidujący najcięższe sankcje wobec kraju naruszającego zasady praworządności – w tym zawieszenie prawa głosu w Radzie UE – jest ogromnie trudny do uruchomienia, a na ostatnim etapie konieczna jest zgoda wszystkich państw, poza krajem poddawany sankcji. Węgry zapowiedziały, że gdyby do tego ostatniego etapu doszło (co samo w sobie jest mało prawdopodobne), nie zagłosują za ukaraniem Polski. Gasiuk-Pihowicz miała nadzieję, że gdyby procedura była prowadzona łącznie wobec obu państw – Polski i Węgier – Budapeszt nie mógłby chronić Warszawy i odwrotnie.

Zatem, mówiąc lakonicznie, poza pokrzykiwaniem na konferencjach prasowych Timmermans i inni obrońcy polskiej demokracji mogą nam skoczyć.

Żeby jednak nie było tak pięknie – hulaj dusza, piekła nie ma – są jeszcze koszty miękkie. Nie konkretne procedury, sankcje, zabrane pieniądze, ale możliwość oddziaływania na innych, tworzenia koalicji, kwestia angażowania środków polskiej dyplomacji, żeby zmagać się z idiotycznymi zarzutami Timmermansa i innych z poczuciem misji. Tutaj niestety tracimy. I najwyższy czas, żeby pomyśleć o minimalizowaniu tych strat. ©

Timmermans stwierdził, że nie ma możliwości, aby Komisja Europejska poddała procedurze wynikającej z art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej łącznie Węgry i Polskę

mówiąc o Polsce, plół jak Piekarski na mękach. Stwierdził m.in., że zakończenie kadencji sędziego w Sądzie Najwyższym to to samo co usunięcie ze stanu sędziowskiego – co jest oczywistą bzdurą (jeśli w innych kwestiach komisarze są równie kompetentni, to biada nam!).

W jednej jednak sprawie Timmermans miał rację. Odpowiadając na pytanie korespondentki TVP Dominiki Ćosić, stwierdził, że nie ma możliwości, aby KE poddała procedurze wynikającej z art. 7 Traktatu o UE łącznie Węgry i Polskę. A takim wariantem zdążyła się już rozentuzjasmować na Twitterze Kamila Gasiuk-Pihowicz.

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

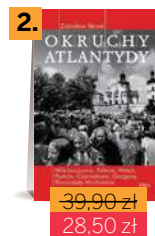
WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

JAK SANDRA Z HEJTEM WALCZY

Sandra Kubicka, modelka, która wyjechała do USA i tam robi dziś karierę, ubolewa, że uroda i sukcesy, które odnosi, utrudniają jej utrzymywanie dobrych relacji z ludźmi. Żali się, że straciła przyjaciółkę, która nie mogła znieść jej sukcesów w modelingu, oraz że za oceanem ludzie są mniej zawistni niż w Polsce. Najgorsze są dziewczyny, które są zazdrosne o swoich mężczyzn oglądających zdjęcia Sandry w Internecie. – Dziewczyny potrafią sobie coś uroić, kiedy ich facet wchodzi na mój Instagram. Dostają dziwne wiadomości, a mnie to nie interesuje – mówi. – Dziewczyny są wredne, nigdzie nie spotykam się z takim hejtem jak w Polsce – dodaje. I dlatego niemal codziennie udzielam wywiadów polskim portalom plotkarskim. Żeby pozbyć się tego hejtu!

NIE KOMENTUJĘ POLITYKI!

W ostatnich protestach antyrządowych wzięła udział cała plejada celebrytów – od Mai Ostaszewskiej przez Borysa Szyca do Anji Rubik. Wszyscy chętnie się fotografowali i umieszczali wesołe zdjęcia na Instagramie. Swojego poparcia protestującym udzieliła także Maja Sablewska, kiedyś skromna menedżerka Dody, dziś stylistka i celebrytka pełną gębą. Sablewska w wywiadzie przyznaje, że chętnie uczestniczy we wszelkich protestach w obronie praw kobiet i demokracji.

– Jestem za wolną Polską. Jestem za tym, żeby naprawdę potrafili się rozwijać w dobrym kierunku. Nie wchodzę w sprawę polityki i nie będę tego komentować, ale absolutnie jestem za tym, żeby nasz kraj był wolny i nikt nie ograniczał nam praw, jakie mamy – mówi Sablewska, nie widząc, że w jednym zdaniu zaprzecza sama sobie. – Chętnie uczestniczę w tych wszystkich demonstracjach. Wyjście na ulicę i pokazanie własnego zdania jest dobre – mówi. Zwłaszcza gdy się go nie ma. Wtedy krzyczeć trzeba najgłośniej!

LEKCJE HISTORII POTRZEBNE OD ZARAZ

W demonstrację o wiele bardziej od Sablewskiej zaangażowała się modelka Anja Rubik. W pewnym momencie nie mogła jednak wziąć udziału w proteście, bo przebywała akurat w Berlinie, skąd zaapelowała o solidarność i pomoc Niemców, by



wspólnie sprzeciwić się temu, co robi polski rząd. „Berlin – miasto tak doświadczone przez totalitaryzm, globalny symbol wolności, nasz najbliższy sąsiad – już wielokrotnie okazywał Polakom swoją solidarność w trudnych czasach. I tym razem liczymy na Waszą obecność i wsparcie” – ogłosiła Anja Rubik. Sądy sądami, ale nikt bardziej niż Anja nie przysłużył się PiS-owskiej reformie edukacji. Gdzie PiS znajdzie lepszy dowód na to, że trzeba więcej historii w szkołach, no gdzie?



MARZENIA A RZECZYWISTOŚĆ

Marcin Tysza, fotograf celebryta, wyznał, że nie zawsze marzył o takiej karierze. W przeszłości chciał być po prostu kimś ważnym. – Chciałem być ważny, nie chciałem być fotografem. Chciałem być biologiem i chemikiem. Skończyło się to, kiedy spowodowałem wybuch w piwnicy. Później było bardzo wiele pasji, chciałem zajmować się modą. Nie zostałem top modelką, fotografia była jedynym medium, które może przenieść mi modowe pasje – opowiada portalowi WP Gwiazdy. Można Tysze jedynie współczuć. Chciał być kimś ważnym, a skończył w show-biznesie. Gorzej się nie da.

TO ŻADNA USTAWKA

Rafał Maślak, były mister Polski, od kiedy pojawił się w show-biznesie, robi wszystko, byśmy o nim nie zapomnieli. Udziela wywiadów, pozuje na ściankach i sam zamieszcza codziennie swoje półnagie zdjęcia w sieci, relacjonując w mediach społecznościowych każdą najmniejszą aktywność. Mówi jednak, że nie bierze udziału w ustawkach z fotoreporterami. Więcej nawet, do niedawna nie wiedział w ogóle, co to jest!

– Nie sądziłem, że istnieje coś takiego jak ustawka. Z biegiem czasu, kiedy zacząłem się obracać w tym świecie, słyszałem o tym, ale nie robiłem stricte ustawek. Menedżer informował, że będę na lotnisku, to jest normalne. Ostatnio byłem na lodach i tam zostałem zupełnie przyłapany, ktoś robił mi zdjęcia, jak płaciłem i jadłem loda – opowiada. Menedżer informuje paparazzich, że celebryta będzie na lotnisku, ale nie jest to ustawka. Takie rzeczy tylko w głowie Maślaka! Lub w jego wywiadach. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, podejrzewamy, iż jednak nie wiecie, co należy myśleć o wecie osobodudy.

Postanowiliśmy więc Wam pomóc i prezentujemy kilka wzorców zachowań, które możecie przyjmować w rozmowach z frendami bądź w dyskusjach na fejsiku:

RADYKAŁ – krzyczysz lub piszesz caps lockiem, że miało być 3x weto, a poza tym to Duda niech sobie wetuje, co chce, nawet kota prezesa, ale pis natychmiast ma oddać władzę, a jeśli nie, to sam odsuniesz pis od władzy i w razie potrzeby skopiesz wszystkie barierki w zasięgu twoich conversów.

NIEDOWIAREK – tak naprawdę to powątpiewasz, czy Duda podjął decyzję samodzielnie, w końcu to taki, he, he, Adrian, he, he, który podpisałby nawet kota prezesa, gdyby zaszła taka potrzeba. Na pewno ktoś mu to podpowiedział, a tak w ogóle to słowa słowami, a swoje pewnie zrobią i nocą zawetują weto.

TROPICIEL SPISKÓW – upierasz się, iż weto jest tylko kolejnym elementem demontażu demokracji, bo za wszystkim stoi zło-wróźbny Kaczafi, który pociąga za wszystkie sznurki i ręcznie steruje wetem prezydenta, publicznie udaje oburzonego, ale w półmroku swojego gabi-

netu głaszcze kota i chichocze złowieszczo.

ENTUZJASTA – tak, to dzięki mnie jest to weto!!! Duda przestraszył się właśnie mnie i moich fren-dów, bez nas to by się nie udało, Duda boi się ulicy, ale mu pokazaliśmy, teraz wszystko załatwimy na ulicy, już się nas pisowcy zawsze będą bali!!!!

Ewentualnie jeśli jesteś Nowym z Tarnowa lub nie wyszło z Ciebie podkarpacie, komentując weto, używaj w dowolnej kolejności kombinacji słów: zdrada, tchórzostwo, mięczak, dodając dowolną liczbę wykrzykników.

Łączymy się w bulu i nadzieji z posłami opozycji, iż w polityce nic tak bardzo nie rozczarowuje jak spełnione oczekiwania. Myślicie, iż Duda o tym nie wie? Naszym zdaniem to całe weto jest perfidnym zagranem wymierzonym w jedność i totalność opozycji.

Na szczęście widzieliśmy wszyscy te rozczarowane wetem spojrzenia i miny, co dowodzi, iż opozycja zdaje sobie sprawę, w jak niedemokratycznej sytuacji postawił ją prezydent. Nie może być bowiem tak, iż prezydent będzie teraz sobie zgłaszał jakieś własne projekty.

Kolejny projekt powinien być wyłącznego autorstwa opozycji. Kiedy najtęjsze głowy z PO

i Nowoczesnej do niego usiądą, jak znalazł będzie na kolejną kadencję Sejmu.

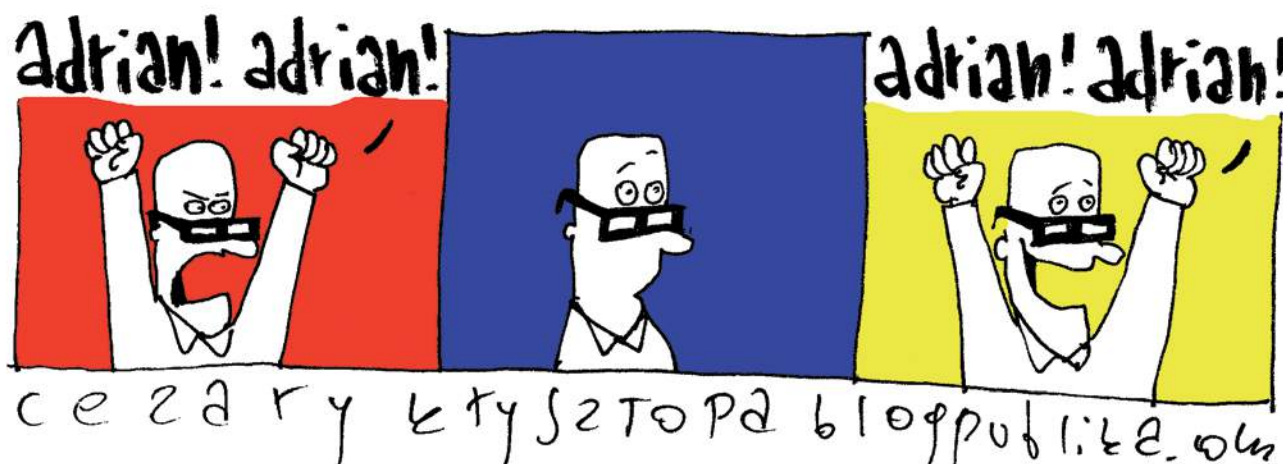
Of kors, pozostajemy czujni i zawłaszczanie przez pis i Dudę sądów nie sprawia, iż zapominamy o sprawach istotnych i kluczowych dla Zjednoczonej Europy.

Otóż zauważyliśmy, iż wiele krajów w Europie ma flagi, na których widnieje krzyż. Spodziewalibyśmy się tego po tym kraju, ale nie po postępowej Szwecji, Norwegii, Danii czy Anglii!!!!11one.

Czy w związku z tym ktośkolwiek pomyślał, jak się mają czuć islamopozytywni osobouchodźcy, którzy są zmuszani do egzystencji pod takimi katofashystoffskimi symbolami? Jak oni mają się dobrze u nas czuć? To są sprawy, które mogą być zre-kompensowane tylko sowitym zasiłkiem.

No i gdzie w tym wszystkim jest zasada świeckości Unii? Przeciesz takie flagi są nieneutralne światopoglądowo, czy Frans Timmermans da tym krajom miesiąc na to, aby uporządkowały te sprawy? ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO



A mówiliśmy, że kupujemy popcorn i napoje gazowane, żeby obserwować, jak uważnie prezydent Andrzej Sebastian będzie czytał ustawę o Sądzie Najwyższym i co z nią zrobi. Uważna lektura rubryki GG uchroniłaby sporą część dobrej zmiany przed niepotrzebną frustracją.

Z tego, że telewizja Kury wyemitowała najpierw orędzie premier Bełaty, a dopiero potem orędzie prezydenta Andrzeja Sebastiana, niektórzy wyciągnęli wniosek, że Andrzej ma przechłapanie i kandydatem na prezydenta w 2019 r. będzie Bełata. Niby tak, ale w „GazPolu Codziennym” najpierw wydrukowano wystąpienie Andrzeja, a dopiero niżej Bełaty. Tylko czy to o czymś świadczy? Przecież tam i tak najchętniej widzianym kandydatem na prezydenta jest pewnie Antoni. No, ostatecznie Sakiewicz.

Przy okazji – prosimy nie śmiać się z hasztagu #Suski2020. Pamiętamy, jak Kaczor-Dyktator powiedział kiedyś, że kandydatem PiS na prezydenta w 2025 r. mógłby być Marek Migalski.

Co do orędzia – wiewiórki z Woro twierdzą, że próbowano tam wycygnąć z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana jego orędzie jak najwcześniej, żeby odpowiednio przygotowała swoje premier Bełata, w odpowiedzi. Nie wierzymy tym wstrętnym wiewiórkom, bo nie wierzymy nikomu z TVP.

dwaj panowie g



Pprzedstawienia ciąg dalszy. Wicek Jaki nawrzucał prezydentowi, Krzysiek Łapka-Łapiński od prezydenta nawrzucał Jakiemu, Ziobro, broniąc Jakiego, nawrzucał Łapce, a Łapka odpowiedział, że będzie skromny i umiarkowany jak Ziobro. Nawet ciężarówka popcornu nam nie wystarczy.

Tymczasem trwa casting na posła PiS, który publicznie powiedziałby, że trzeba zdymisjonować Zizou Ziobrę. Na razie zgłosił się Bartłomiej Wróblewski, który już wcześniej próbował dystansować się od stylu, w jakim przyjmowano nieszczęsne ustawy o sądach. Więc uważnie będziemy śledzić gazety.

Wróblewski może jednak nie wiedzieć, że ma kłopot. Marzy bowiem o kandydowaniu na prezydenta Poznania z ramienia PiS. Bicie w Ziobrę może zaś zostać uznane przez Kaczora-Dyktatora za miększoństwo, bo obecnie winowajcą jest Andrzej Sebastian. A miększonów Kaczor-Dyktator nigdzie wystawiał nie będzie.

Wpałacu Andrzeja Sebastiana trwa natomiast casting na szefa zespołu ekspertów, który będzie pisał prezydenckie ustawy o sądach. Szefem podobno ma być kobieta, minister Anna Surówka-Pasek z Biura Prawa i Ustroju. Chciałby też Paweł Mucha, ale on już ma swoją działkę – referendum konstytucyjne.

Wszystkie rządowe wiewiórki zgodnym chórem przekonują, że całe zamieszanie nie przenosi się na prace rządu premier Bełaty, gdzie ministrowie PiS, Sol-Polu i Pol-Razu patrzą sobie w oczęta ufnie niczym owieczki na niebiańskim pastwisku. My oczywiście w to wierzymy. Tym bardziej wierzymy, im bardziej przekonują.

Nas oczywiście najbardziej w tym wszystkim bawią opowieści o nowej partii, którą miałby założyć prezydent Andrzej Sebastian. Sami nie wiemy, która wersja śmieszko bardziej: ta, że założy ją koło radnych PiS z województwa zachodniopomorskiego oddelegowanych aktualnie do Kancelarii Prezydenta, czy ta, że robi to

Krzysiek Szczerski do spółki z Kukizem, Korwin-Mikkem i narodowcami.

Znowu ci wstrętni dziennikarze. Nasza ulubiona minister szprycha Rafalska powiedziała chłopakom z „Superaka”, że rząd zastanawia się nad tym, czy jednorazowo nie dać emerytom po parę stówek ekstra na łebka. Wyszedł z tego tekst o tym, że będzie program „500 plus” regularnych dodatkowych wypłat dla emerytów od teraz aż po wieki wieków, amen.

Apropos dziennikarzy. Wiewiórki z MSZ twierdzą, że amerykański Departament Stanu ma w nosie to, co prezydent Andrzej Sebastian zawetuje albo podpisze, ale jego rzeczniczka ma fajne układy z Marcinem Wroną, korespondentem TVN. I stąd ustawka z tweetem o amerykańskim zaniepokojeniu. Może to i prawda – przecież Srebrny Lis Dyplomacji takiej sprytnej wymówki nie byłby w stanie wymyślić.

Żli ludzie opowiadają, a my oczywiście nie wierzymy, że ktoś napisał Antoniowi Tajaniemu list w sprawie Polski. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego bardzo troszczył się w tym dokumencie o stan wolności, demokracji i sądów w Polsce. Wedle ohydnych plotek za list odpowiada pracująca w europarlamencie Andżelika Chomicka, prywatnie partnerka życiowa Janusza Lewandowskiego z PeŁo. Nie wierzymy. Przecież przez osiem lat Lewandowski nie troszczył się o wolność, demokrację ani sądy w Polsce, więc skąd niby nagle teraz miałoby mu się odwidzieć.

Niszczenia niezależności sądownictwa ciąg dalszy. Prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf dostała 1,8 tys. zł podwyżki. Co ona sobie za to kupi? Zgrzewkę zniczy, pendrive’a, części do wiertarki i cztery plakaty z napisem konsTYtucJA?

Pamiętają państwo męża Myszkki Agresorki? Pan Pihowicz, który rzucił karierę w bankowości dla polityki, odpadł był, jak wiadomo, od

Nowoczesnej po skandalu ze złe rozliczoną dotacją i przestał być skarbnikiem. Nowej roboty jednak nie znalazł. Łazi więc i szuka etatu. Najciekawsze, że po miejscach opanowanych przez dobrą zmianę.

Myszka Agresorka jest ofiarą walki o demokrację, bo ma krwiaka na ręce od walenia w stół – pisaliśmy o tym tydzień temu. Są jednak i tacy, którzy ponieśli większe ofiary. Pewna posłanka Nowoczesnej Kropki musiała wysłać męża na zagraniczne wakacje samopas, bo sama musiała zostać w kraju i bić się o wolność. Martwimy się o męża, nie dość, że ma do dyspozycji codziennie po dwa śniadania i dwie kolacje, a nocą dwa łóżka, to jeszcze nie wiadomo, czy mu żony nie ściągną do Sejmu na niespodziewane dodatkowe posiedzenie.



Uspokajamy – dodatkowego posiedzenia nie będzie, bo posłowie (a nawet ministrowie) dostali SMS-y, że mają wolne do 13 września. W związku z tym czekają jeszcze tylko na okazję do pokazania się na obchodach rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, a potem fiuuuuu, na wakacje.

Jeszcze o ofiarach. Wiceminister Ju Rafalskiej, czyli nasz były kolega po fachu Bartosz Marczuk, padł ofiarą brutalnego ataku cyklistów. Biegał sobie spokojnie, kiedy wjechał w niego rozpędzony triathlonista znajdujący się w środku amoku rowerowego. No i teraz Bartosz musi rehabilitować bark.

Jesteśmy podejrzliwi – cykliści, triathlon, liczba trzy, hasło „3 x VETO”, przeciwnicy rządu – to nie mógł być przypadek.

Apropos przeciwników rządu. Okazuje się, że w Krakowie jedną z twarzy protestów przeciw dobrej zmianie jest niejaki Bogusław S. znany również jako konferansjer i aktor. Doskonale uzupełnia on galerię alimenciarzy i handlarzy żywym towarem. Rzecz w tym, że ma na koncie prawomocny wyrok za pedofilię, a właściwie kazirodztwo, bo molestował własnego syna. I nawet miniony reżim, do którego się łąsił, nie chciał mu załatwić kasacji w Sądzie Najwyższym.

Pracownicy Zamku Królewskiego w Warszawie powoli zaczynają mieć dosyć dobrej zmiany, ale jeszcze nie taranują wiceministrów. Rzecz w tym, że obecny szef tej placówki bardzo się w pracy dzień w dzień męczy. Do tego stopnia, że pracownicy zaczęli się nawet zastanawiać nad wezwaniem policji z urzędzeniem do mierzenia poziomu tego zmęczenia.

Zastanawia was postawa rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara? Nas nie. Rzecz w tym, że biuro RPO stało się przytuliskiem dla ludzi Bronisława Marii Komorowskiego, dawniej prezydenta, którzy musieli się pożegnać z robotą w kancelarii. Niektórzy nawet nazywają ich nowe miejsce pracy Kancelarią Prezydenta na Wychodźstwie.

Na koniec odrobina kultury. Jedno z wydawnictw chwali się po dziennikarzach, że podczas boju o sądy w Sejmie rozdało posłom kilkadziesiąt egzemplarzy książki „O tyranii” Timothy’ego Snydera. Ta praca „odwołuje się do tragicznych doświadczeń Europejczyków w XX w. – stuleciu naznaczonym krwawym panowaniem nacjonalizmu, faszyzmu i komunizmu”. Nie wiemy, czy odwołuje się także do tragicznych doświadczeń Jarosława Gowina, wyrzuconego przez to samo wydawnictwo z redakcji pewnego miesięcznika za sojusz z Kaczorem-Dyktatorem. ©©



Z Krystyną Pawłowicz, posłem PiS
rozmawia Agnieszka Niewińska

Opozycja żywi się nienawiścią



AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Mam z panią problem.

KRYSZYNA PAWŁOWICZ: Jaki problem?

Słyszałam, że była pani świetnym wykładownicą. Gdy dziennikarz do pani zadzwoni, może z panią ciekawie porozmawiać. Zdarzyło mi się nawet usłyszeć od pani dobre słowo o politycznych opo-
nentach. Jednak jak widzę, kiedy w Sejmie mówi pani do posłów opozycji „zamknijcie mordy”...

Za dużo TVN pani ogląda.

Która twarz Krystyny Pawłowicz jest prawdziwa?

Moje słowa były reakcją na to, co mówili posłowie opozycji, a tego telewizje nie pokazały. Czekaliśmy na przewodniczącego Stanisława Piotrowicza, rozpoczęcie posiedzenia komisji się przeciągało, bo wniesiono prawie tysiąc poprawek, biuro legislacyjne musiało to przygotować, a Petru i cała banda pań z Nowoczesnej głośno i beczelnie komentowali sytuację. „Pewnie siedzi na kolanach u prezesa”, „jest na jego smyczy” – coś w tym rodzaju mówili o przewodniczącym Piotrowiczu. To było tak chamskie, że nie dało się tego słuchać. Moje słowa były reakcją na to, co ta grupa wygadywała. I tak uważam, że łagodną. Powtórzyłam słowa prezesa Kaczyńskiego. TVN z całego zdarzenia wyciął fragment, aby to mnie pokazać w złym świetle.

„Po wakacjach weźmiemy się za was” – powiedziała pani do jednego z dziennikarzy.

Powiedziałam żartem do redaktora z Onetu, z którym to portalem zwykle nie rozmawiam, bo to kłamczuchy. Pytał mnie o sprawy sejmowe, o to, co będzie po wakacjach. „Po wakacjach weźmiemy się za was” – powiedziałam i od razu dodałam, że tak tylko żartuję, ale tego już w mediach nie pokazywano.

Ciężki żart jak na posła partii rządzącej.

Mam się w ogóle nie odzywać, nie żartować? Pokazuję pani, jak media manipulują prawie wszystkimi moimi wypowiedziami. Przyprawia mi się gębę, wykorzystując mój żywy i barwny sposób mówienia oraz zachowania, który moim zdaniem jest raczej zaletą niż czymś godnym nagany. Pracowałam jako nauczyciel akademicki, a ktoś, kto uczy młodzież, nie może być sztywniakiem. Mam 41 lat praktyki w tym zawodzie i nigdy się nie zmienię, a manipulacje jak były, tak będą.

■ Zdarła sobie pani głos, krzycząc w Sejmie.

Już pani tłumaczyłam, że nie krzyczę i nie mówię emocjonalnie. Od urodzenia mam taki donośny, silny głos.

Dobrze, zatem za przyczyną wypowiedzi wygłoszonych donośnym głosem, idzie pani na rekord, jeśli chodzi o uwagi i nagany Komisji Etyki Poselskiej. I po co to pani?

Mnie nie obchodzi komisja etyki i nigdy więcej tam nie pójde. Komisja ukarała mnie, a nie panią Gajewską, chociaż to ona nieustannie prowokowała i prowokuje posłów PiS, beczelnie

podoba, ma konstytucyjne prawo weto-
wania ustaw i tym razem je wykorzystał.
Żałujemy, że podjął taką decyzję, bo to
przeszkoda, a nawet silne zahamowanie
reformy władzy sądowniczej. Musimy
to przyjąć. Jestem zdania, że jeśli pan
prezydent miał wątpliwości, to mógł
skierować ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, zamiast zdawać się – z całym
szacunkiem – na panią Zofię Romaszewską i na swoje biuro prawne. Gdyby
sprawą zajęło się 15 sędziów TK, to pan
prezydent uniknąłby oskarżeń, które
teraz się pojawiają.

Pan prezydent mógł swoje wątpliwości rozwiązać choćby za pomocą nieformalnych spotkań, a nie karcić nas z Pałacu Prezydenckiego

i natrętnie filmując nasze twarze z bliska. Komisja ukarała mnie też za komentarz pod adresem ulicznego marszu lewaczek i feministek. Uważam, że komisja etyki poselskiej powinna być zlikwidowana. Ona służy bezkarnemu atakowaniu nas w Sejmie przez opozycyjną większość. Członkowie innych komisji są dobierani proporcjonalnie do składu Sejmu. W komisji etyki każdy klub ma jednego przedstawiciela, więc opozycja zawsze ma tam większość. W poprzednich latach, kiedy PO rządziła, jej posłowie się tam na nas wyżywali i teraz też tak jest.

Sama przecież pani składała skargę do tej komisji – na Stefana Niesiołowskiego.

No i co z tego? Oni tam swoim odpuszczają. Jak Sikorskiemu i Trzaskowskiemu w poprzedniej kadencji. W komisji etyki naruszają wszelkie reguły i prawa. Wydają ocerniające opinie o charakterze politycznym i nie można z tym potem iść do sądu, by się bronić. Regulamin sejmowy tego nie przewiduje. W Sejmie wystarczyłaby komisja regulaminowa i spraw poselskich, która zajmuje się łamaniem ustawy o wykonywaniu mandatu przez posłów. Komisja etyki to rodzaj patologii parlamentarnej, gdyż żaden system wspólnych wartości nie łączy propolskiej władzy PiS z totalną opozycją, czyli targowicą.

Zostawmy komisję etyki. Zaskoczyło panią weto Andrzeja Dudy?

Bardzo niemiło mnie zaskoczyło, doprowadziło niemal do łez. Oczywiście prezydent, nawet jeśli nam się to nie

Może prezydent nie odesłał ustaw do TK, bo sympatia Trybunału jest po stronie PiS?

Dłaczego pani tak mówi o sędziach? Jaki pani ma na to dowód, że orzekliby politycznie po myśli PiS?

A jakie można mieć w tej sprawie dowody? To moje przypuszczenie.

Raczej bezpodstawne oskarżenia, a nawet pomówienie sędziów Trybunału. A nie było sędziów TK, którzy sprzyjali PO?

Ja pomawiam sędziów, ale pani – twierdząc, że wybrani w poprzednich kadencjach sprzyjali PO – już nie?

Każdy komuś sprzyja, każdy ma jakieś poglądy. Takie oskarżenie można postawić każdemu. Na przykład ostatni z wybranych przez nas sędziów był kandydatem bardzo dalekim od polityki, a pani mówi, że TK nam sprzyja. Powtarza pani to, co mówią ci, którzy walczą z wynikami demokratycznych wyborów. Nazywają legalnie wybranych sędziów „dublerami”. Powtarzam: jeśli prezydent sprzyja naszym reformom, to mógł skierować sprawę do TK. Mielibyśmy werdykt całego składu. Wcale nie wykluczam tego, że TK podzieliłby niektóre poglądy pana prezydenta. Mielibyśmy jednak wskazówkę, wiedzielibyśmy, które konkretne przepisy sędziowie uznali za niekonstytucyjne. Byłoby to łatwiejsze do przyjęcia i naprawienia.

Już w trakcie prac legislacyjnych, kiedy prezydent mówił o koniecznych poprawkach, stwierdziła pani, że poczuła się tym upokorzona.

Dzisiaj powiedziałabym, że czuję się dotknięta. Wszyscy, którzy byli w Sejmie, widzieli, w jakich warunkach przebiegały te prace. Bardzo się staraliśmy, nie spaliśmy, harowaliśmy, pokonywaliśmy terroryzm parlamentarny i chuligańskie działania części posłów. Kiedy usłyszałam słowa pana prezydenta o tym, że trzeba to robić rozsądniej, mądrzej, to poczułam się dotknięta. Jestem zdania, że pan prezydent powinien był zgłosić swoje uwagi wcześniej, a nie w końcówce prac nad ustawą o SN. I tak je uwzględniliśmy, choć być może nie wszystkie, ale pan prezydent mógł swoje wątpliwości rozwiązać, choćby za pomocą nieformalnych spotkań, a nie karcić nas z Pałacu Prezydenckiego na oczach nienawistnej ulicy. Teraz prezydent dał jej jedynie paliwo do nasilenia ataków na nas. Ostatecznie nawet nie wytłumaczył, jakie ma zastrzeżenia. Rozumiem, że chciał mieć większy udział w powołaniu sędziów i tym samym uznał, że należy ograniczyć wpływ ministra sprawiedliwości w tej sprawie, ale udział ministra w reformie SN miał być przecież tylko chwilowy, przejściowy. Nie ma się jednak co dłużej użalać, czekamy na to, co teraz nam pan prezydent przedstawi. Czuję niesmak, choć podkreślam: prezydent ma prawo weta, skorzystał z możliwości, jakie daje konstytucja. My też działamy w ramach konstytucji. Powtórzę za premierem Szydło: ta reforma będzie przeprowadzona.

Pani jest prawnikiem, ukończyła pani aplikację sędziowską. Z czystym sumieniem podnosiła pani rękę za tymi trzema ustawami?

Z najczystszy sumieniem. Takiej reformy nie przeprowadza się przy pięknej muzyce, z kwiatami, perfumami i siedząc w garniturach. Środowisko sędziowskie jest jedynym, które od PRL – poza pewnymi fasadowymi przekształceniami – nie przeszło reform. Kiedy byłam na aplikacji, sędziowie mieli na przykład dyspozycję karania ludzi handlujących w bramie cukrem. Był wtedy na kartki. Żał serce ścisnąć, karani byli zwykli, często starsi ludzie, którzy dorabiali do emerytury. To jednak nie wszystko, już drugą kadencję jestem członkiem Krajowej Rady Sądownictwa. Nie można się tam doprosić o karę dla żadnego sędziego, o których ukaranie wnoszą zdesperowane ofiary ich wyrokowania. Mam bardzo dużo takich zgłoszeń. A sprawa kasacji do Sądu Najwyższego? 98 proc.

z nich nie jest w ogóle uwzględnianych. Oznacza to, że ludzie nie mają dostępu do tego środka prawnego. Sędziowie z KRS robią wszystko, aby tylko nie wytknąć swoim kolegom błędów. Przy sprawach dyscyplinarnych kary są rzadkością. A zachowania sędziów Milewskiego, Łączewskiego, Tulei? Nie udało się ich potępić nawet słownie. Wszyscy nadal orzekają. Zjazdy sędziowskie to jaskrawy przykład łamania konstytucji przez sędziów, którzy aktywnie biorą udział w polityce.

Rzeczywiście środowisko prawnicze jest ostatnio bardzo rozpolitykowane...

To dlaczego pani pyta, czy z czystym sumieniem głosowałam za ustawami?

Ponieważ dziwi mnie, że pani proponowanych zmian nie uważa za zbyt daleko idące. A gdyby pani wybrała karierę sędziego i dziś była prezesem sądu? Co by pani mówiła, gdyby została odwołana ze stanowiska, bo nie spodobałaby się pani ministrowi?

A dlaczego mnie pani stawia w takiej sytuacji, jakbym miała coś na sumieniu?

Nie stawiam. Hipotetycznie mogłaby się pani nie spodobać jakiemuś ministrowi.

Ja bym się bardzo podobała każdemu ministrowi. Wie pani, czym się różni niezależność od niezawisłości? Niezależność sądów to niezależność od ingerencji, możliwości sterowania instytucją sądu, prezesa, wymiaru sprawiedliwości. Niezawisłość, którą każdy sędzia powinien się cechować, to wolność i orzekanie tylko na podstawie konstytucji, ustaw i sumienia. Jeśli sędzia kieruje się ustawami, jeśli nie patrzy na to, czy z gdańskiego sądu okręgowego zadzwonią wywierać na niego wpływ pani zwana Carycą albo ktoś inny, tylko uczciwie orzeka, to nikt do takiego sędziego nie ma pretensji. To nie w niezawisłość sędziowską wymierzona jest reforma. Nie naruszamy jej,

Nie mogą się wychylać, zmuszani są niekiedy popierać polityczne działania prezesów albo brać udział w równie politycznych zjazdach. To musi się skończyć i nie da się tego zrobić w taki sposób, żeby wszystkim było miło.

Nikt nie trwa wiecznie przy władzy. Będzie inny minister, wymieni sobie prezesów i wtedy podniesiecie larum.

Nie sądzę. Nasze zmiany muszą zagrać. Słyszałam od niektórych adwokatów, że już sama obawa, iż te ustawy wejdą w życie, poprawiła nieco atmosferę w salach sądowych. W niektórych miejscach wyraźnie ograniczyło się chamstwo sędziów na rozprawach. Jeśli te reformy uda się przeprowadzić, to będzie to dla nas duży plus przy następnych wyborach. Reformy byłyby groźne, gdybyśmy chcieli wchodzić w głowy sędziów, ingerować w ich niezawisłość. Nie robimy tego, nie dajemy żadnych wytycznych co do sposobu orzekania. Chcemy zmienić organizację sądów. Ludzie z tych zmian będą zadowoleni. Nawet jeśli skutek manipulacji zewnętrznej i wewnętrznej przegralibyśmy wybory, to nowy rząd nie cofnąłby zmian w sądownictwie, tak jak nie cofnie programu „Rodzina 500+”, obniżenia wieku emerytalnego. Wyborcy na to nie pozwolą.

Skoro to takie korzystne dla obywateli, to po co forsowaliście sądowe ustawy w wakacje? To znany trik. Wprowadza się kontrowersyjne projekty wtedy, kiedy ludzie bardziej interesują się pogodą i wysypem kleszczy w lasach.

Gdybyśmy złożyli projekt w grudniu, toby pani powiedziała, że przed Bożym Narodzeniem.

Pani poseł, uchwalanie ustaw sądowych to była szalona gonitwa.

Jaka gonitwa? Pani nie myśli politycznie, a my tak. Realizujemy nasz program

Opozycja się skarży, że nawet nie daliście jej czasu na dokładne przeanalizowanie projektów.

Posłowie opozycji zgłaszali bzdurne poprawki, zmieniali przecinki i szyk wyrazów. Im nie chodziło o żadne czytanie ani o poprawki, tylko o zablokowanie prac.

Kiedy w poprzedniej kadencji PO w podobny sposób przepychała ustawę o OFE, to protestowaliście. Ziobryści mówili, że blokowe odrzucanie poprawek jest niezgodne z konstytucją. Dzisiaj robicie to, co jeszcze niedawno krytykowaliście.

Skoro wcześniej przyjęto taką praktykę parlamentarną, to my z niej dziś korzystamy. Nie ma w tym nic dziwnego, to jest dopuszczalne, gdyż także zwyczaj parlamentarny określa to, jak wyglądają nasze prace w Sejmie. Takie standardy stworzył rząd PO.

A wy korzystacie z tego, co niedawno oprostowywaliście!

Oprotestowaliśmy szybki tryb podwyższania wieku emerytalnego przez PO-PSL, ale tamte działania były podejmowane przeciwko ludziom. Wydłużanie czasu pracy bez żadnej konsultacji ze społeczeństwem jest czymś złym. My wprowadzamy zmiany jednoznacznie dla dobra ludzi, żeby zakończyć ich krzywdy w sali sądowej. Niech pani nie porównuje dobra ze złem!

Przypominam, że mieliście być lepsi od poprzedników.

Pani ciągle nie widzi celu. Reformy wymiaru sprawiedliwości są dla dobra ludzi, przywrócenia uczciwych sądów.

Poddaję się. Trudno panią przegadać, przekonać pani pewnie graniczy z cudem, więc zostawmy to. Zdziwiła panią skala protestów ulicznych?

Nie, bo one trwają od 2015 r. Im większe mamy sukcesy zwłaszcza w dziedzinie socjalnej, obronnej, w energetyce czy odbudowie tożsamości narodowej, przypomnieniu naszej historii i tamowaniu strumienia pieniędzy wypływających nielegalnie z budżetu, tym większy jest atak tych, których interesy naruszamy. Zaskoczyła mnie skala targowickiej mentalności części Polaków, dopuszczania się zdrady Polski jedynie z nienawiści do prezesa Kaczyńskiego, donoszenia na Polskę za granicą.

Nie wierzy pani, że ludzie wyszli na ulice spontanicznie?

Najpierw wyszli prowodyrzy, lewackie bojówki. Widać było, że są dobrze

Reformy byłyby groźne, gdybyśmy chcieli wchodzić w głowy sędziów, ingerować w ich niezawisłość. Nie robimy tego

przeciwnie – zwiększamy gwarancje tej niezawisłości przez uwolnienie sędziów orzekających od cząstego terroru prezesów. A ten jest faktem. Moja koleżanka jest sędzią w sądzie wyższej instancji i od niej wiem o tym, jak często sędziowie są terroryzowani przez prezesów sądów.

wyborczy. Ludzie muszą wiedzieć, że robimy to szybko i skutecznie. Gdybyśmy sprawę odłożyli do września, toby były narzekania, że pojechaliśmy na wakacje. Mamy swój harmonogram, na wrzesień mamy zaplanowane inne prace, dlatego te ustawy trzeba było uchwalić teraz.

■ zorganizowani. Mówię tu choćby o bardzo wysokiej jakości sprzecznie nagłaśniającym, którym zagłuszano posiedzenia Sejmu, Senatu, komisji. Ci prowadzący mają za sobą media, za pośrednictwem których manipulują, dezinformują i w ten sposób zachęcają do udziału w demonstracjach tak wielu ludzi. Wierzę w dobre intencje wielu osób, które protestowały. Jednak jeśli wiedziałyby o tym, jak chcemy zreformować sądownictwo, to nie wyszłyby na ulice. Jaki sens ma hasło „wolne sądy”? Tak, one są wolne. Można i kilkanaście lat czekać na wyrok. Wielu protestujących nie ma żadnych argumentów, mówią tylko, że walczą o wolność i demokrację. Kiedy się ich zapyta, w jaki sposób jest im zabierana wolność i demokracja, nic nie potrafią odpowiedzieć.

Czyli co, poległście informacyjnie?

Bardzo możliwe, że nie byliśmy wystarczająco przygotowani do „wojennie-dezinformacyjnego” ataku na ten rząd. Być może powinniśmy zastosować

wyborców, że za chwilę rząd upadnie. Chodzi o to, by przestali nas popierać. Temu służą hasła totalnej opozycji wzywające do obalenia rządu, do natychmiastowego oddania władzy, zagrożenie nam więzieniem.

Skarży się pani na agresję przechodniów.

„Ty mendo piż...cka” – powiedział do mnie dziś mężczyzna, który obok mnie przechodził. Miał zaciśniętą pięść, myślałam, że mnie uderzy. W poprzedniej kadencji byłam rzadko zaczepiana, teraz agresja i groźby zdarzają się bardzo często. Zaczepiają mnie zwłaszcza starsze osoby: „A ta to jeszcze żyje?”, „Będziesz wisieć” – grożą. Podobnie jest na Facebooku. Groźby padają bez skrępowania: „W grudniu mieliśmy cię na widelcu”, „Utopimy cię”, „Odstrzelimy cię”. Nasi przeciwnicy – zachęceni przez liderów opozycji – posuwają się nawet do gróźb spalania domu, zdewastowali też grób moich rodziców. Pocięcza mnie jednak to, że spotykam się z wieloma

Sama pani podgrzewa atmosferę. Ostatnio groziła pani na Facebooku Schetyńie i Neumannowi: „Będziecie siedzieć!”

Gdyby pani przeczytała cały wpis, toby pani wiedziała, że wykpiwam ich groźby. Z takich bzdur można tylko kpić.

Przeczytałam cały.

Nie wsadzam nikogo do więzienia, tylko drwię i śmieję się z polityków opozycji. To oni mówią, że wsadzą nas do więzień. Tymczasem afery z czasów ich rządów są badane, choćby Amber Gold. My nikogo nie obrażamy ani nie atakujemy. To tylko medialne ramie totalnej opozycji stwarza takie wrażenie. Każde nasze odezwanie się jest zmanipulowane, przedstawiane jako skandal. Nawet gdybyśmy siedzieli i milczeli, toby było źle, bo mówiliby tak, jak mówią o prezesie, że nienawistnie milczymy. Nie przejmuję się tym.

Senator PiS Waldemar Bonkowski, mówiąc o protestujących: „Stare upiory bolszewickie i ubeckie wdowy”, nie podgrzewał emocji?

Powiedział w dużej przenośni o czymś, co ma pokrycie w faktach. Interesy PO zbiegły się z interesami postkomuny i służb specjalnych. Pamięta pani protesty esbeków? Stanęli na jednej scenie z politykami PO i mówili, że muszą połączyć siły. I tak teraz resztki opozycji lewicowo-liberalnej i antychrześcijańskiej stoją ramie w ramie z wdową Kiszczakową i panem Mazgłą, który mówi, że stan wojenny był kulturalny. Przejmują symbolikę Solidarności i jej hasła. Pan Mazgła skanduje „Solidarność, Solidarność”, poseł PO Marcin Świąciecki, były członek KC PZPR, krzyczy w Sejmie: „Precz z komuną”, a na scenie pani Stalińska, nieznana jako opozycjonistka, wrzeszczy: „A mury runą, runą, runą”, obrażając muzykę.

Rzeczywiście mówi pani barwnie. To jeszcze niech pani zdradzi na koniec, czy zdarza się pani czasem nie zgodzić z partią?

Punktem odniesienia jest dla mnie prezes Kaczyński, choć członkiem PiS nie jestem. Mam do niego ogromne zaufanie. Jeśli prezes mówi, że reforma sądów będzie przeprowadzona, to ja to przyjmuję i nie poddaję się zniechęceniu. Sądy to filar naszego programu, to filar demokratycznego państwa prawa.

Demonstrujący krzyczą: „Wolność, równość i demokracja”, a chcą obalić legalną władzę rozruchami ulicznymi.

Według opozycji demokracja jest wtedy, kiedy ona wygrywa

adekwatne – również „wojenne” – formy komunikowania się ze społeczeństwem. Jeszcze bardziej wykorzystywać publiczne radio i telewizję do misji edukacyjnej.

Chyba już wystarczająco wykorzystujecie media publiczne.

Bez przesady. Po drugiej stronie są dziesiątki stacji telewizyjnych i radiowych, portale internetowych, a my mamy ledwo chwilę po „Wiadomościach”, telewizję Republikę, telewizję Trwam i Radio Maryja.

Pani poseł, TVP przez całą dobę pokazuje świat widziany oczami rządzących.

Bez przesady. Nasze siły są ograniczone. Media sprzyjające totalnej opozycji kontrują nas zwielokrotnionym kłamstwem i fake newsami: a to o tym, że Sejm ma się rozwiązać, że Straż Marszałkowska jest uzbrojona, że pracujemy pod presją otaczającej parlament policji. To wszystko kłamstwa służące przekonaniu

reakcjami pozytywnymi ludzi, mówią mi: „Trzymajcie się”, „Jesteśmy z wami”, robią sobie ze mną zdjęcia.

Nie sądzi pani, że politycy przyczynili się do takiej sytuacji? Może już czas wyciszyć złe emocje w Sejmie?

Wyciszyć powinni się posłowie opozycji. My staramy się nie reagować na ich zaczepki i prowokacje zarówno w Sejmie, jak i poza nim. Politycy opozycji zachęceni przez Grzegorza Schetynę żywią swoich ludzi nienawiścią. Opozycja – podobnie jak zewnętrzne ośrodki pasożytujące dotychczas na Polsce – ciągle nie jest w stanie przyjąć tego, że przegrała wybory. Demonstrujący krzyczą: „Wolność, równość i demokracja”, a chcą obalić legalną władzę rozruchami ulicznymi. Według opozycji demokracja jest wtedy, kiedy ona wygrywa. A jeśli nie, to dąży do obalenia zwycięzców „pięścią i zagranicą”. Potrafi pani podać choć jeden przypadek ataku na opozycję z naszej strony?

XXVII Forum Ekonomiczne

5 - 7 WRZEŚNIA 2017, KRYNICA-ZDRÓJ



Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

PROJEKT EUROPA - JAKI PRZEPIS NA NASTĘPNE DEKADY?



Najważniejsza konferencja organizowana
od ponad 25 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.



Ponad 3000 gości - liderów świata polityki
i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.



Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes
i zarządzanie, energetyka, innowacje.



Najbardziej znane miejsce spotkań
elit gospodarczych w tej części Europy.



Rafał A. Ziemkiewicz

PiS musi wreszcie zauważyć, że wojna ze wszystkimi i radykalna retoryka partii rządzącej działają na korzyść opozycji

Chociaż politycy i wierni wyznawcy Prawa i Sprawiedliwość próbowali na różne sposoby zdeprecjonować uliczne protesty, nie można nie przyznać, że czwartkowy wieczór 20 lipca przyniósł istotną zmianę na froncie politycznej „wojny polsko-polskiej”. Jeszcze rankiem tego samego dnia protesty pod Sejmem nie różniły się od dotychczasowych marszów KOD ani „kontrmiesięcznic”. Pod Sejmem pojawiło się to samo co podczas grudniowego „ciamajdanu” grono starszych pań i krzepkich emerytów wspieranych przez zorganizowane grupy feministek, organizacji LGBT i partii Razem.

POŻAR OD ŚWIECY

Tłumy, które pojawiły się tego wieczora na warszawskim Krakowskim Przedmieściu i w wielu miastach Polski, by potem wracać w kolejnych dniach, zaskoczyły jednak wszystkich – nawet samych manifestujących. Każdy, kto się im przyjrzał, musi przyznać, że nawet jeśli liczebnością nie przewyższyły protestów KOD z począt-

ków sporu o Trybunał Konstytucyjny, to zgromadziły zupełnie innych ludzi. Takich, którzy dotąd od ulicznych demonstracji trzymali się z dala, wyczuwając w nich „siarę” i manipulację.

Obie strony politycznego sporu mają problem z realistyczną oceną tego faktu. „Opozycja totalna” po raz kolejny przeskoczyła w swym maniacko-depresyjnym cyklu zmian nastrojów w fazę pobudzenia, ogłaszając po raz enty, że „PiS się kończy”, że to początek fali, której Kaczyński „już nie powstrzyma”, że w ślad za tymi tysiącami niebawem wylegną na ulicę obiecywane od dwóch lat miliony i „pisowcy będą musieli skakać z okien”.

Gdy zaś prezydent zawetował ustawy, usiłowano stworzyć wrażenie, że był to sukces społecznego zrywu, ugięcie się PiS przed obywatelskim naciskiem, omalże na miarę porozumień sierpniowych – choć dla każdego obserwatora jest oczywiste, że decyzja Andrzeja Dudy wynikała z łatwych do zrozumienia przyczyn politycznych, głównie z próby uszczuplenia jego

prerogatyw, i manifestacje nie miały na nią większego wpływu.

PiS też nie zaskoczył: usiłował protesty zbagatelizować czy wręcz im zaprzeczyć, uspokajając się ewidentnie zaniżonymi danymi policji o frekwencji i mówiąc o „spacerowiczach”, a zarazem tradycyjnie już nazywając protestujących ubekami i komunistami.

Jeśli władza oceniła, że tłumy z zapalonymi świeczkami nie są w stanie na ten moment zatrzymać jej legislacyjnego walca, to oczywiście miała rację. Potwierdziły to zresztą pierwsze sondaże przeprowadzane już po przegłosowaniu ustaw i ich zawetowaniu – „opozycja totalna” nic na protestach nie zyskała, a PiS dostał nawet kilkuprocentową premię. Mimo to lekceważenie protestu będzie ze strony PiS ogromnym błędem. Nie dlatego, że te tysiące świeczek mogą mu w tej chwili w czymkolwiek przeszkodzić, ale dlatego, że są sygnałem alarmowym, iż PiS traci kontakt z umiarkowanym elektoratem. I jeśli szybko nie zmieni komunikacyjnych

Czym PiS



wkurza suwerena?

nawyków, to w wyborach strata może się już okazać nie do odrobienia.

ZŁY MAŁŻONEK

PiS łamie bowiem uparcie kilka podstawowych zasad demokratycznego rządzenia. Po pierwsze tę, że wyborcę trzeba do siebie przekonywać nie co kilka lat, na okoliczność wyborów, ale bezustannie. Pod tym względem sprawowanie władzy w demokracji przypomina małżeństwo, o którym Raymond Chandler pisał (pięknie skądinąd), że jest jak gazeta, którą – choć istnieje od wielu lat – codziennie trzeba napisać, zredagować i wydrukować od nowa. PiS zaś przypomina takiego małżonka, który uważa, że skoro kiedyś powiedział żonie, iż ją kocha, i obdarował kwiatami, to już zawsze może chodzić przy niej w dziurawych gaciach i nawet nie udawać, że słucha, co do niego mówi. A potem będzie oczywiście niezwykle zdumiony, jak mogła jego, któremu tyle zawdzięcza, zostawić dla kogoś innego.

PiS, który w czasie wyborów miał sprawny sztab PR-owców, przemyślaną strategię

wizerunkową i doskonale komunikował się ze zwolennikami w Internecie, zupełnie to wszystko zatracił. Sposób, w jaki wykorzystuje przejęte media państwowe, budzi litość i trwogę, bombastyczne slogany na paskach TVP śmieszą, a po społecznościówkach hula jakieś pospolite ruszenie świrów, agregujących wizję świata à la dr Targalski. W tej sytuacji szukanie przyczyn, dla których wśród młodych rozszerza się moda na bycie antypisem, w „astroturfingu” i innych manipulacjach wrogich ośrodków dywersyjnych Sorosa nieodparcie przypomina PRL-owskie demaskowanie powiązań opozycji z „rewizjonistami z Bonn” i CIA.

Reakcja na wizerunkowy kryzys, jaką było orędzie premier Szydło, tylko pogłębiła wrażenie, że władzy brak pomysłu na samą siebie. Tradycyjna narracja o „zwykłych ludziach” (przy tych słowach zawsze premier robi szeroki, wystudiowany gest obydwojoma rękami), po których stronie jest PiS, i złych, samolubnych elitach w nowej sytuacji zgrzyta – bo ani prezydenta nie da się szybko wykreować

na ową zepsutą postkomunistyczną elitę, ani nie kojarzyli się z nią młodzi przeważnie ludzie na ulicy.

Inną podstawową sprawą, o której zapominać nie wolno, jest ta, że w swej masie ludzie szukają przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa. Właśnie to, że im to poczucie zaburzał, było przez długie lata przyczyną „niewybieralności” PiS. Dopiero pokazanie nowych liderów i zmiana retoryki odblokowały możliwość wyjścia poza żelazny „smoleński” elektorat. Od wyborów jednak, jak wielokrotnie na tych łamach zauważaliśmy, PiS obsługuje wyłącznie emocje owego żelaznego elektoratu, zupełnie lekceważąc „normal-sów”. Dopóki sprawy szły w dobrą stronę, dopóty rezultaty tej polityki nie rzucały się w oczy. Przy próbie „legislacyjnego blitzkriegu” – musiały.

Inaczej niż poprzednia władza, gdy równie szybko ścieżką dokonywała skoku na OFE, PiS nie zadbał o obudowanie swej reformy jakąkolwiek komunikacją. Uwierzył po prostu, że inflacja protestów za



■ sprawą KOD i Obywateli RP zaszła tak daleko, iż nikt w czasie wakacji nie da się do nich zmobilizować. Zlekceważył przy tym doświadczenie czarnego protestu. Wtedy wystarczyła fala medialnych alarmów, że PiS chce karać kobiety za poronienie, zabraniać im dostępu do leków etc., aby błyskawicznie na ulicach znalazły się tysiące. Szybkie wyjaśnienie sprawy i ucięcie prac nad społecznymi projektami w kwestii aborcji nie pozwoliły opozycji powtórzyć tego sukcesu, ale władza po-

dopuszczając do konsultacji ani dyskusji, po nocy, to szykuje jakąś podłość. Oskarżenia pod adresem PiS miotane przez PO i Nowoczesną, te same, które zwykle nie znajdowały posłuchu, tym razem podziały – bo uwiarygodniła je swoim postępowaniem partia rządząca.

NA WŁASNE ŻYCZENIE

Krótko mówiąc, po raz kolejny PiS zafundował sobie wizerunkowy kryzys na własne życzenie. Zostawmy na boku

hurtem wszystkich protestujących, zamiast okazania im zrozumienia, to wręcz prośbienie się o kłopoty w przyszłości.

Do zupełnie już niekontrolowanego wybuchu brzydkich emocji doszło po wecie prezydenta, kiedy to niepotrafiący się zatrzymać w radykalizmie PiS-owski „hard core” i jego zaliczył do „obozu zdrady narodowej”, razem ze wszystkimi, którzy decyzję tę pochwalili. Trudno o lepszy prezent dla mediów starających się przekonać młodych Polaków, że Jarosław Kaczyński jest psychicznie zaburzony i podobnie zaburzonymi osobnikami się otacza.

Jest jeszcze jedna zasada, którą PiS notorycznie łamie. Ujmowana w starym powiedzeniu: kiedy trzeci człowiek ci mówi, że jesteś pijany, przestań dyskutować i idź do łóżka. PiS niestety żadnej krytyki ani rad nie przyjmuje. Nawet od osób i środowisk sobie najżyczliwszych. Nawet od własnego prezydenta. Oszłołmiony sondażami, znieczulony na wszelkie wątpliwości rewolucyjną retoryką i przekonaniem, że „zwykli ludzie” tyle mu zawdzięczają, iż na pewno nigdy się nie odwróci, brnie w radykalną retorykę i wojnę ze wszystkimi, wedle zasady: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”.

Ma jednak jeszcze czas na opamiętanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PiS niestety żadnej krytyki ani rad nie przyjmuje. Nawet od osób i środowisk sobie najżyczliwszych. Nawet od własnego prezydenta

winna była już wtedy wyciągnąć wniosek, że rodzącemu się poczuciu zagrożenia trzeba przeciwdziałać natychmiast i żadnych działań nie wolno podejmować bez ich jednoczesnego wytłumaczenia wyborcom. Tym bardziej że w przypadku reformy sądów media „opozycji totalnej” nie musiały wiele zmyślać, poczucie bezpieczeństwa obywateli wystarczająco zaburzył sam nagły tryb wprowadzenia pod obrady i procedowania ustawy. Dla przeciętnego człowieka jest jasne, że skoro władza coś przepycha kolanem, nie

pytanie: Dlaczego właściwie? Nie widać bowiem żadnej merytorycznej przyczyny, by oczekiwaną i popieraną przez społeczeństwo reformę przeprowadzać w tak hucpiarski sposób, bez żadnego przygotowania, objaśnienia celów etc. Dodatkowo władza pogłębiła ten kryzys, ulegając odruchowi obrażania przeciwników. Emocjonalny wybuch Jarosława Kaczyńskiego był może nie do uniknięcia – prezes zawsze reagował impulsywnie na zniewagi pod adresem brata i opozycja nie jeden już raz to wykorzystywała – ale obrażanie



NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ PILOTAŻOWE ODCINKI NA

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

1 SIERPANIA

**CZĘŚĆ POŚWIĘCONA DZIECIOM
PODCZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**

PARTNER CYKLU:



Na przeczekanie



Wojciech Wybranowski

PiS chce uspokoić stosunki z prezydentem Andrzejem Dudą. Z tym może być problem – krew i okazję do medialnego zaistnienia zwęszyli politycy z drugich i trzecich rządów obu obozów. Kaczyński i Duda są jednak skazani na współpracę



Nie wiem, co się dzieje. To jest koniec. Nie mogę się dodzwonić do kolegów, nic nie mówią” – dramatyzowała jedna z ważnych posełek PiS z bliskiego otoczenia Jarosława Kaczyńskiego, kiedy kilkadziesiąt minut po ogłoszeniu przez prezydenta Andrzeja Dudę decyzji o zawetowaniu dwóch z trzech ustaw mających w sposób zasadniczy zreformować wymiar sprawiedliwości pytaliśmy ją o sytuację w partii i rozwój wydarzeń. Nie jest to odosobniony przypadek. Zaskoczenie decyzją prezydenta, nieprzygotowanie na nią, brak pomysłu na to co dalej i brak informacji z partyjnej „góry” wywołały w dalszych szeregach PiS chaos, nerwowość i poczucie absolutnej klęski. Jeszcze przez kilka godzin po prezydenckim wecie niektórzy posłowie PiS przekonywali dziennikarzy, że niewykluczony jest wariant wcześniejszych wyborów.

– Jak grom z jasnego nieba – mówi o prezydenckim wecie nasz informator z klubu PiS, polityk zaliczany do wąskiego kręgu decyzyjnego przy Jarosławie Kaczyńskim. – Andrzej, wbrew temu,

co mówi teraz, znał dobrze wszystkie projekty ustaw, kręcił nosem, ale zobowiązał się, że podpisze. Była jego zgoda na zmianę sędziów Sądu Najwyższego. Kiedy więc powiedział „nie”, wszystko się posypało, takiego chaosu, nerwów i bałaganu u nas chyba nie było od lat – mówi nasze źródło.

Chaos i nerwy widać było w PiS również podczas spotkania prezydenta Andrzeja Dudy z marszałkami Sejmu i Senatu, choć wbrew informacjom „Newsweeka” pogrózek ani szantażu („masz godzinę”) wobec prezydenta nie było.

– Było natomiast bardzo nerwowo i bez pomysłów na zakończenie impasu. Tak samo podczas spotkania na Nowogrodzkiej. Hasło, że nie musimy rządzić, bo wybrano nas, byśmy zmieniali Polskę, a nie dla samej władzy, że nikt nikogo na siłę w PiS nie trzyma itd. Ale żadnych konkretnych „w takim razie teraz należy zrobić to” – opowiada inny z naszych rozmówców, polityk z centrali partii. Kpi też z prezydenta Dudy. – Opowiadano mi, że ponoć użył argumentu: „Wizerunkowo na tym wygrałem”. No cóż, jeśli Dudzie chodzi wy-

łącznie o jego wizerunek, to sugerowałbym przemyślenie zachezki – szydzi.

Ostatecznie we władzach PiS – jak opowiadają nasi rozmówcy – przeważała koncepcja, którą ugrupowanie Kaczyńskiego wybierało wcześniej w podobnych, choć nie aż tak kryzysowych sytuacjach. Przeczekania, wygaszenia emocji społecznych, wykorzystania tego, że okres wakacyjny siłą rzeczy nie sprzyja politycznym wydarzeniom. – Cofnąć się trzy kroki. Odpocząć – mówi nam jeden z przybocznych Kaczyńskiego. Inny dodaje: – Wyciszyć niepotrzebne, złe emocje we własnej partii. I liczyć na to, że Duda zrobi to samo w swoim środowisku. Teraz piłka jest po stronie. A my czekamy na ruch i gest prezydenta.

Na razie – przynajmniej do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” – gestu Dudy nie ma. Nasi informatorzy mówią, że PiS nie otrzymał na razie żadnej informacji od prezydenta o ewentualnych rozmowach na temat nowych projektów ustaw, mimo że bez poparcia partii Jarosława Kaczyńskiego prezydent nie będzie w stanie przeprowadzić w Sejmie żadnej inicjatywy legislacyjnej.

Prawu i Sprawiedliwości nie będzie też łatwo wyciszyć wojenek i konfliktów nie tylko na linii PiS–Pałac Prezydencki, lecz także we własnym gronie.

BÓJ TO NIE JEST OSTATNI

Między ekipą PiS a Andrzejem Dudą iskrzy od dłuższego czasu i nie jest to tylko pokłosie awantury o reformę wymiaru sprawiedliwości. Andrzej Duda od pewnego czasu szuka sposobu na pozyskanie poparcia szerszych środowisk politycznych, spotyka się na nieoficjalnych naradach z Pawłem Kukizem, zaskoczył PiS obietnicą przeprowadzenia referendum konstytucyjnego, a w jego realizacji na razie współpracuje przede wszystkim z kukizowcami. Niedawno sam Paweł Kukiz w rozmowie z „Do Rzeczy” sugerował, że jeśli prezydent rzeczywiście przestanie być wyłącznie przedstawicielem PiS, to on sam nie wyklucza, że przeciw Dudzie w wyborach nie wystartuje. Tym razem i Nowogrodzka, i Pałac Prezydencki sięgnęły już po politycznych harcówników. Marek Suski w wywiadzie dla jednej z internetowych telewizji zasugerował wręcz, że Andrzej Duda może nie być kandydatem PiS w wyborach prezydenckich, a zamiast niego partia może wystawić Beatę Szydło.

– Pożyjemy, zobaczymy. Dla mnie nie jest oczywiste, że naturalnym kandydatem w wyborach prezydenckich będzie Andrzej Duda. Uważam, że każdego czy posła, czy premiera, czy ministra powinno się w jakimś sensie oceniać w podsumowaniu kadencji i na podstawie całej kadencji, a nie jednego zdarzenia negatywnego – mówił Suski. Wypowiedź posła niecieszącego się wielkim poważaniem nawet wśród wyborców prawicy wywołała falę kpin ze strony również popierających partię Jarosława Kaczyńskiego internautów. Niektórzy w PiS mówią, że w kularowych rozmowach ostro skrytykowali go też partyjni koledzy.

– Bądźmy poważni. Jeśli chcemy wygrać wybory prezydenckie i parlamentarne, to PiS i Duda muszą grać w jednej drużynie. Nawet jeśli nie będziemy się już kochać – mówi nasze źródło z Nowogrodzkiej.

Gołębkiem pokoju mogło być wystąpienie marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, który na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej podkreślił, że Andrzej Duda jest jego kandydatem na prezydenta w kolejnych wyborach. – Będziemy oczywiście współpracować z prezydentem – mówił

dziennikarzom Karczewski. Sęk w tym, że kilka dni później znów doszło do kolejnych utarczek. Wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki ostro krytykował Andrzeja Dudę, zarzucając mu, że przy najważniejszych sprawach – takich jak dekomunizacja – zawsze ktoś robi krok wstecz. Usłyszał ostrą ripostę Krzysztofa Łapińskiego, rzecznika prasowego prezydenta. – Gdyby tego zwycięstwa nie było, to pewnie wiceminister Jaki albo byłby poza parlamentem, albo siedziałby w ławach opozycji. Nie wypada, żeby wiceministrowie pouczali prezydenta czy mówili to w takich słowach. Jeśli któryś z wiceministrów osiągnie taki wynik wyborczy jak prezydent, czyli zdobędzie ponad 8,5 mln głosów wyborców, to wtedy będą partnerami do dyskusji z prezydentem – stwierdził Łapiński w wywiadzie w TVN24. „Partnerem do dyskusji dla mnie nie będą ludzie od PR-u. Bo oni nigdy nie rozumieją, dlaczego trzeba robić »nie-PR-owe« reformy państwa” – zareagował na Twitterze Jaki.

Pełna emocji sprzeczka wykroczyła poza trwający od 2011 r. konflikt na linii ziobryści–Andrzej Duda. Bliscy współpracownicy Zbigniewa Ziobry pamiętają prezydentowi, że choć sam był uważany za członka ich frakcji i został wtajemniczony w plany tworzenia własnego ugrupowania Solidarna Polska, w ostatniej chwili zdecydował o pozostaniu w PiS, a nawet – jak twierdzą niektórzy – poinformował Kaczyńskiego o planach secesjonistów. W dawny spór zaangażowali się wieloletni politycy PiS mający wpływ także na młodszych działaczy ugrupowania.

„Publiczne okazywanie braku szacunku dla Prezydenta RP Andrzeja Dudy przez wiceministra sprawiedliwości osłabia przede wszystkim PAŃSTWO” – oburzył się na Twitterze poseł Jerzy Polaczek, były minister transportu w rządzie Kaczyńskiego.

„Panie Prezydencie. Pilnie oczekujemy Pana reakcji! Nie ma przyzwolenia na taką butę i arogancję rzecznika!” – zagrziała również na Twitterze poseł Jolanta Szczypińska.

Reakcji prezydenta na to wezwanie nie było, natomiast natychmiast nasilił się spór pravicowych sympatyków „reformatorów” i „obozu prezydenckiego”.

ROZŁAMU NIE BĘDZIE

PiS ma jeszcze jeden problem. O ile na razie w gronie osób z otoczenia Kaczyńskiego niechętnie, ale z pewnym lekcewa-

żeniem patrzy się na próbę zawiązania trwalszego sojuszu Dudy z Kukizem, o tyle próby podczepienia się pod ten obóz środowiska Jarosława Gowina (Polska Razem) zaczynają być postrzegane jako zagrażające ewentualnemu przyszłemu zwycięstwu PiS. Tajemnicą poliszynela w partii jest to, że gowinowcy od pewnego czasu sondują, na ile powstanie „obozu Dudy” jest realne i jakie środowiska „pozapisowskie” mogłyby się do niego przyłączyć. Jarosław Gowin, lider Polski Razem, zagłósował za przyjęciem ustaw sądowniczych. „Liczone, że ulegnę presji, rząd się rozpadnie, establishment wróci do władzy. Wytrzymałem. Dobra Zmiana trwa” – napisał na Twitterze.

Według nieoficjalnych informacji z obozu dobrej zmiany emisariusze Polski Razem mieli jednak podczas nieoficjalnych spotkań przekonywać Dudę, by ustawy wetował wbrew oczekiwaniom PiS. Już po prezydenckim wiecu politycy tego ugrupowania wydali oświadczenie, w którym napisali, że przyjęli ze zrozumieniem weto prezydenta Andrzeja Dudy wobec ustawy o Sądzie Najwyższym i dzielą ją jego zastrzeżenia.

Co teraz robi PiS? Będzie wyczekiwał na ruch prezydenta. – Prezydent wyraźnie powiedział, że chce przejąć inicjatywę i w żadnym wypadku nie będziemy mu przeszkadzać. Sejm nie podejmie żadnych działań do września. Warto poczekać na propozycję prezydenta, mam wrażenie, że będzie to daleko idąca zmiana i wtedy nie będzie żadnego problemu – mówił w czwartek w telewizji Trwam Jarosław Kaczyński. Jeśli będą realne szanse, że prezydenckie projekty ustaw wyjdą naprzeciw oczekiwaniom partii w sprawie reformy sądów, wówczas Prawo i Sprawiedliwość wykorzysta to, by przypisać sobie część zasług. Bez poparcia tego ugrupowania Duda nie przepchnie ich przez Sejm. Jeśli nie będą spełniały oczekiwań, to PiS będzie mógł przetrzymać je w „zamrażarce” do końca kadencji.

– Duda powiedział „szach”, my możemy powiedzieć „mat”, tyle że tak naprawdę i on, i my, a przede wszystkim społeczeństwo będzie wtedy przegrane – uważa polityk z Nowogrodzkiej. Na pytanie o rozłam na prawicy wzrusza ramionami i nazywa to „medialnym absurdem”. – Matematyka jest nieubлагana. Ani my bez Dudy, ani Duda bez nas nie przeprowadzimy najważniejszych reform. Związek trwa, tylko miłości w nim coraz mniej – mówi.



Łukasz Warzecha

Jest mało prawdopodobne, żeby w 2020 r. PiS nie poparł Andrzeja Dudy. Nie jest to jednak niemożliwe. Żeby zmniejszyć ryzyko takiego rozwoju wypadków, prezydent musi zacząć pracować nad własną partią. Oczywiście nie w sensie dosłownym

Małżeństwo z rozsądku



Poniedziałek 24 lipca był dniem zwrotnym w polskiej polityce epoki rządów PiS. Dotychczas – mimo momentami krytycznych wobec rządu, lecz zarazem zachowawczych wypowiedzi, a także mimo weta przeciw ustawie o regionalnych izbach obrachunkowych – prezydent był traktowany przez swoją macierzystą partię jako pomijalny element układu władzy. „Owszem, może powie coś nie po naszej myśli, może nawet coś tam skieruje do Trybunału Konstytucyjnego albo nawet złoży jakieś weto w mniej ważnej sprawie, ale co do zasady w kwestiach naprawdę ważnych nie trzeba się z nim liczyć” – takie było rozumowanie większości polityków PiS, w tym lidera partii.

PREZYDENT PREZESA

Jego źródło tkwiło w drodze Andrzeja Dudy do prezydentury. Centrowy, elegancki kandydat, wyciągnięty z trzeciego szeregu, szerzej nieznany, w Parlamencie Europejskim niemal przez nikogo dziś niepamiętany, miał tylko osiągnąć przyzwoity wynik, po czym wrócić na fotel eurodeputowanego. Stało się inaczej. Było przy tym jasne, że choć Duda wygraną zawdzięcza swoim cechom osobistym, w tym wielkiej pracowitości, bez poparcia PiS i decyzji Kaczyńskiego nie miałby najmniejszych szans. Prezes PiS zaś od swoich współpracowników w zamian za wsparcie oczekuje bezwzględnej lojalności. Jeśli nałożyć na to brak zaufania Kaczyńskiego do rozwiązań formalnych, instytucji i ich hierarchii, to stanie się jasne, że mandat Andrzeja Dudy, pochodzący z wyborów powszechnych, nie budował w oczach prezesa PiS jego pozycji. Dla Kaczyńskiego prezydent był wciąż jego protegowanym, w dodatku znacznie młodszym, co również ma tu znaczenie.

Do pewnego momentu to działało. Ba, przez jakiś czas przejawiało się nawet tak żenująco jak w przypadku pamiętnego wystąpienia prezydenta podczas wręczania nominacji Beacie Szydło w listopadzie 2015 r. „Panie premierze – zwrócił się wówczas Andrzej Duda do Kaczyńskiego – każdy, kto obserwuje scenę polityczną z uwagą, nie ma wątpliwości: jest pan wielkim politykiem, strategiem oraz wielkim człowiekiem”. Wielu komentatorów wskazywało później, że prezydent, wybrany właśnie w powszechnych wyborach, nie powinien składać tego typu hołdów prezeso-

wi partii, nawet jeśli faktycznie tak myśli i wiele mu zawdzięcza.

PiS i jego lider swoją dominującą pozycję wobec prezydenta bezlitośnie wykorzystywali. Albo w sytuacjach oficjalnych, tak jak wtedy, gdy Andrzej Duda ugiął się pod presją i po nocy zaprzysięgał wybranych przez PiS sędziów TK – co do końca będzie nad jego prezydenturą ciążyć. Albo w nieoficjalnych, o których w większości opinia publiczna nie wie, takich jak ta, gdy 10 kwietnia tego roku Jarosław Kaczyński nie chciał pojawić się na uroczystości przed Pałacem Prezydenckim przed prezydentem, choć to głowie państwa przysługuje przywilej przychodzenia w ostatniej kolejności.

Cierpliwość Andrzeja Dudy była w ten sposób wystawiana na coraz poważniejszą próbę. Zarazem prezydent coraz pewniej czuł się w swojej roli. Zwłaszcza gdy pozbył się z kancelarii uznawanej za obcy element Małgorzaty Sadurskiej. Nie jest przypadkiem, że Sadurska po odejściu od prezydenta dostała lukratywną posadę w firmie, o której mówi się, że jest w kręgu wpływów Zbigniewa Ziobry – prezydent jest i był z nim wcześniej w ostrym konflikcie, choć to przecież Ziobro był jego pierwszym przewodnikiem po polityce.

Podwójne prezydenckie weto wobec ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i o Sądzie Najwyższym ustawia prezy-

denta dla podtrzymania spójności ugrupowania. W przypadku PiS podstawowa mapa sojuszy i konfliktów jest względnie czytelna. Najsilniejsze spięcia z Pałacem Prezydenckim dotyczą Antoniego Macierewicza i Zbigniewa Ziobry, którzy z kolei walczą ze sobą.

Szef MON w niektórych przypadkach starał się odciąć prezydenta od informacji należnych mu z racji bycia zwierzchnikiem sił zbrojnych, nie odpowiadał na pytania ani monity, nie dawało się z nim dojść do porozumienia w kwestii nominacji. Jednak – ze względu na konflikt z Ziobrą – w sprawie prezydenckiego weta zajął stanowisko jak na siebie relatywnie umiarkowane.

Za sojusznika w rządzie może Andrzej Duda uważać Mateusza Morawieckiego, a więc także Jarosława Gowina (i, dodatkowo, Annę Streżyńską, ale minister cyfryzacji nie ma własnej wagi politycznej). Z kolei pomiędzy Morawieckim a Ziobrą trwa zimna wojna, przejawiająca się choćby w rywalizacji o wspomniany już PZU, wygrana – z aprobatą Jarosława Kaczyńskiego – przez Ziobrę. Między prezesem PiS a prezydentem stosunki są natomiast chłodne od dawna, choć teraz prawdopodobnie staną się zimne.

Jak zawsze w sytuacji rosnącego politycznego napięcia echa wewnętrznych konfliktów docierają na zewnątrz. Wiceminister sprawiedliwości Patryk

Każdy obóz władzy z czasem dzieli się coraz wyraźniej na frakcje. Zwłaszcza w polskich warunkach, gdzie instytucje są wciąż bardzo słabe, a polityka bardzo upartyjniona

denta w całkiem nowej konfiguracji: nie jest już ani pomijalnym, ani nawet pewnym elementem systemu zmieniania państwa według autorskiej koncepcji Jarosława Kaczyńskiego. Andrzej Duda ma własną koncepcję, w wielu punktach zbieżną z koncepcją lidera partii rządzącej, ale też w wielu odmienną. Zaczęły się więc schody dla obu stron świeżego w tej skali konfliktu na politycznej scenie.

Obóz rządzący – co całkiem oczywiste – nie jest monolitem. Każdy obóz władzy z czasem dzieli się coraz wyraźniej na frakcje, zwłaszcza w polskich warunkach, gdzie instytucje są wciąż bardzo słabe, polityka bardzo upartyjniona, a frukta wiążące się z rządzeniem bardzo ważne

Jaki oznajmił, że prezydent „wymiekl”, a wiceminister Michał Wójcik – że złamał publicznie daną obietnicę. Poirytowany rzecznik Pałacu Prezydenckiego Krzysztof Łapiński odparował, że wiceministrowie będą dla prezydenta partnerami do rozmowy, gdy zdobędą w wyborach powszechnych porównywalną liczbę głosów.

Najciekawsza z punktu widzenia przyszłości prezydentury Andrzeja Dudy była reakcja Marka Suskiego, który w studiu wPolisce.pl powiedział, że wprawdzie prezydenta powinno się oceniać na podstawie całej jego kadencji, ale wcale nie jest oczywiste, że to obecna głowa państwa będzie kandydatem PiS w wyborach

■ w 2020 r. Suski, jeden z członków starej, zaufanej gwardii Kaczyńskiego, może być uznany za wyraziciela nastrojów panujących na Nowogrodzkiej. Przy czym jego słowa należy raczej uznać za próbę wywarcia presji na Andrzeja Dudę niż za realny scenariusz polityczny. Dlaczego?

PIS POTRZEBUJE DUDY...

Oczywiście wszystkie polityczne prognozy, sięgające poza datę wyborów parlamentarnych w 2019 r., są obciążone dużym ryzykiem błędu. Mimo to trudno sobie wyobrazić, jak Prawo i Sprawiedliwość miałoby uzasadnić wycofanie poparcia dla urzędującego prezydenta i zastąpienie go kimś innym.

Po pierwsze – byłoby interpretowane jako przyznanie się PiS do błędu. Andrzej Duda był aż tak złym prezydentem, że trzeba go wymienić po pierwszej kadencji? To byłby w polskiej polityce precedens.

Po drugie – co obecny prezydent świetnie rozumie – wybory prezydenckie wygrywa się w centrum, bo druga tura to konieczność zdobycia ponad połowy głosów. Tym różnią się one od wyborów parlamentarnych, w których centrum gra nieco mniejszą rolę przy posegmentowanej scenie politycznej. Gdyby zaś obecnego prezydenta miał zastąpić inny kandydat, byłoby to interpretowane jako wycofanie wsparcia ze względu na zbyt dużą niezależność Dudy. Nowy kandydat byłby więc postrzegany jako ktoś, kto będzie bezwzględnie słuchał poleceń z Nowogrodzkiej. To oznacza ograniczenie poparcia do twardego elektoratu.

Po trzecie – kto miałby być kandydatem zastępującym dobrze odbieranego prezydenta? Andrzej Duda został wyciągnięty z kapelusza w 2015 r., ale wtedy sytuacja była inna. Ten, kto miałby wystartować zamiast niego, musiałby swoimi dokonaniem, wizerunkiem, kwalifikacjami przebić urzędującą głowę państwa, a o to będzie bardzo trudno. Start Kaczyńskiego można wykluczyć. Beata Szydło, o której tu i ówdzie napomykano, ma inne plany polityczne – podobno celuje w stanowisko unijnego komisarza. Przede wszystkim jednak wizerunkowo dopasowała się do roli premiera – gospodyni, osoby zarządzającej państwem, ale nie pierwszej w nim osoby. Trudno byłoby jej przekonać do siebie elektorat centrum.

Niepoparcie Andrzeja Dudy byłoby zatem dla PiS przepisem na niemal pewną porażkę. Szczególnie gdyby w 2019 r. PiS wygrał ponownie – wówczas wyborców mogłaby kusić chęć zrównoważenia tego zwycięstwa przez oddanie prezydentury komuś z przeciwnego obozu.

Po decyzji prezydenta wylała się na niego fala krytyki. Publicyści – m.in. ze środowiska tygodnika „W Sieci” – nagle zaczęli liczyć dni do spełnienia prezydenckiej obietnicy przedstawienia własnych projektów ustaw, mimo że nie byli tacy skrupulatni w rozliczaniu choćby rządowych obietnic dotyczących stu pierwszych dni.

Twardy elektorat PiS nie przebiegał w słowach. W mediach społecznościowych „pan prezydent” w ciągu jednego dnia dla wielu stał się „Adrianem”, „zdrajcą”, „idiotą”. Twardzi zwolennicy partii rządzącej obrzucali prezydenta określeniami, za które wcześniej mieszały z błotem twardą opozycję. Pojawiały się pytania, czy Andrzej Duda nie stracił właśnie żelaznego PiS-owskiego elektro-

I tu pojawia się koncepcja „partii prezydenckiej”, a właściwie silnego obozu wsparcia. Ponieważ im mocniejszy będzie Andrzej Duda sam z siebie, im więcej zgromadzi wokół siebie ludzi, im większą zyska popularność niezależną od poparcia PiS, tym trudniejsza i bardziej ryzykowna będzie rezygnacja z niego jako kandydata tej partii w wyborach.

Widać, że jest chemia między ugrupowaniem Pawła Kukiza a prezydentem. Tu jednak Andrzej Duda musi kroczyć ostrożnie – nie może zostać przypisany do obozu kukizowców.

Okazją do budowy niezależnej pozycji będą najpierw obiecane projekty reformy wymiaru sprawiedliwości – bardzo trudne zadanie, bo Pałac Prezydencki będzie musiał wyważyć różne racje i rozegrać sprawę tak, żeby w jakimś stopniu zadowolić i tych, którzy oczekują daleko idących zmian, i tę część środowiska prawniczego, która jest gotowa do konstruktywnej rozmowy.

Potem zaś nadejdą rok 2018 i zapowiedziany przez prezydenta termin

Widać, że jest chemia między ugrupowaniem Pawła Kukiza a prezydentem. Tutaj jednak Andrzej Duda musi kroczyć ostrożnie – nie może zostać przypisany do obozu kukizowców

ratu. To jednak mało prawdopodobne. O ile obecny prezydent wystartuje z poparciem PiS w 2020 r., o tyle najpóźniej w drugiej turze twardy elektorat odda głos właśnie na niego. Trudno sobie wyobrazić, aby rozczarowanie obecnym prezydentem było tak duże, że „żelazniaki” będą wołały – choćby nie głosując – oddać Pałac Prezydencki kontrkandydatowi opozycji.

... A DUDA PiS

Prezydent musi jednak zadbać o to, żeby PiS swojego poparcia wycofać nie mógł. A przecież nie jest to całkiem nieprawdopodobne, bo Jarosław Kaczyński jest politykiem racjonalnym, ale bywa też mściwy. Lojalność pojmowana jako karne wykonywanie poleceń jest dla niego największą wartością. W oczach prezesa PiS prezydent lojalny być przestał, nie można więc wykluczyć, że wbrew przedstawionym wyżej kalkulacjom Kaczyński będzie dążył do wyeliminowania go z wyścigu prezydenckiego.

referendum konstytucyjnego. To świetna okazja dla Andrzeja Dudy do umocnienia własnego poparcia, ale też dla PiS, aby pomieszać prezydentowi szyki. Wyzwaniem będzie już ustalenie terminu referendum, a od tego w dużej mierze będzie zależeć frekwencja. PiS nie musi iść prezydentowi na rękę. Może też dyskretnie sabotować jego wysiłki na rzecz zorganizowania kampanii referendalnej. Przedsmak tego mieliśmy, gdy TVP, wbrew oczywistym zasadom, w dniu ogłoszenia decyzji o wetach przez prezydenta wyemitowała najpierw wystąpienie Beaty Szydło, a dopiero potem Andrzeja Dudy.

Czy jest możliwe, że prezydent stanie się patronem nowego obozu republikańskiej, konserwatywnej prawicy, w odróżnieniu od rewolucyjno-socjalnego PiS? Raczej nie przed wyborami 2019 r. Przy najmniej do tego czasu PiS potrzebuje Dudy, a Duda PiS. Tyle że to już będzie małżeństwo wyłącznie z rozsądku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Ryszardem Legutką, europosem PiS
rozmawia Wojciech Wybranowski

Syndrom targowicy

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Wierzy pan, że politycy opozycji nazywającej się dziś totalną i środowiska sędziowskie przygotowują z prezydentem rozwiązania systemowe, które w pewien sposób uderzą w interesy obecnego mainstreamu sędziowskiego?

RYSZARD LEGUTKO: Od pewnego czasu wiadać było, że jest różnica zdań między prezydentem a posłami PiS na temat ustawy o KRS i SN. Prezydent skorzystał ze swoich prerogatyw, zawetował dwie z ustaw, co spowodowało dyskusję wśród zwolenników rządu, a także w samym rządzie. Mam nadzieję, że szybko sprawa zostanie rozwiązana, bo takiej sytuacji nie wolno przedłużać. Natomiast nie wierzę, by udało się teraz przygotować – wspólnie ze środowiskiem sędziowskim – takie projekty legislacyjne, które wymiar sprawiedliwości zreformują. Sędziowie wojujący z rządem są w stanie silnego nieuznawania oraz furii antypisowskiej i żaden kompromis ich nie interesuje. Oni chcą, żeby było tak, jak było, a na to się zgodzić nie wolno. Część środowiska sędziowskiego jest bardziej zainteresowana mocno energetyzującą to środowisko wojną z rządem niż załatwieniem sprawy. Projekt PiS reformy wymiaru sprawiedliwości nie jest polityczną fanaberią, ale wynika z krytycznej diagnozy stanu sędziowskiego. Z taką krytyczną oceną zgadza się większość Polaków, zwłaszcza ci, którzy mieli kontakt z sądami. Niestety, sami sędziowie ową ocenę odrzucają, uważając się za grupę niepodlegającą krytyce.

Zresztą cała sprawa pokazuje stopień ich degradacji intelektualnej. Wywijają oni jak pałką określeniem „niezawisłość”, co pozwala im każdą krytykę i każdą realną reformę zmierzającą do poprawy stanu rzeczy nazwać zamachem na sędziowską niezawisłość. To jest ślepy i nierozum-

Gdy Platforma zaanektowała cały Trybunał Konstytucyjny, im nawet nie drgnęła powieka. Podwójne standardy to zasada naczelną w instytucjach unijnych

ny instynkt obronny, a nie stanowisko racjonalne, jakie winno charakteryzować sędziów. Na temat opozycji nie będę się wypowiadał, bo to dziś siła wyłącznie destrukcyjna, przekraczająca kolejne granice obrzydliwości.

Zanim prezydent podjął decyzję, mieliśmy do czynienia z licznymi protestami w Polsce i za granicą. Z presją ulicy i zagranicy. Niektórzy prawnicy komentatorzy uważają, że była to zorganizowana akcja.

Tego nie można wykluczyć. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że sędziowie dzwoniли do swoich zagranicznych ko-

legów i przekonywali ich, że „ten nacjonalistyczno-faszystowski rząd zrówna sądy z ziemią, więc musicie zaprotestować”. Sprawa jest jednak ogólniejsza. Po pierwsze, opinia publiczna w krajach Unii Europejskiej jest silnie uprzedzona do Polski, a po drugie cechuje ją niebywała ignorancja tego, co się dzieje w naszym kraju. Podam przykład: dzień po przyjęciu przez Sejm ustawy o KRS moi koledzy z Parlamentu Europejskiego wydali oświadczenie, jaka to straszna ustawa i jak niszczy wymiar sprawiedliwości w Polsce. Nikt mi nie wmówi, że oni wiedzieli, co było w tej ustawie, co ona zmieniła oraz z jakich powodów i jakie były ogólniejsze przyczyny reformy. Nie znają polskiego, nie mieli żadnych ekspertyz prawnych, nie wysłuchali drugiej strony. Ćwiczyłem to z nimi wcześniej przy okazji Trybunału Konstytucyjnego. Olbrzymie połacie ignorancji i odruch psa Pawłowa zbudowany na uprzedzeniach: skoro coś robi konserwatywny rząd PiS, to musi to być autorytaryzm. Gdyby takie zmiany jak te, które zaproponował gabinet premier Beaty Szydło, wyszły z drugiej strony, od partii należących do grupy socjalistów albo EPL (Europejska Partia Ludowa), to w ogóle by się tym nie zainteresowali albo mówiliby, że to świetny projekt ewentualnie, że UE nie może ingerować w kompetencje rządów i parlamentów narodowych. Po swojej stronie skłonni są tolerować najgorsze rzeczy. Gdy



► Platforma zaanektowała cały Trybunał Konstytucyjny, im nawet nie drgnęła powieka. Podwójne standardy to zasada naczelna w instytucjach unijnych.

Mówimy jednak nie tylko o reakcjach polityków, lecz także komentarzach prasy w Europie i Stanach Zjednoczonych.

Dobrze, że pan o tym wspomniał. Niewiedzę i wrogość zbudowane na uprzedzeniach, a przez to skrajną nierze-

telność relacjonowania sytuacji w Polsce dobrze widać w mediach europejskich, a także wielu amerykańskich. Zamiast przedstawienia faktów i podawania informacji, mamy pełne negatywnych emocji oceny. Tam nawet nie próbuje się wyjaśnić, na czym polega spór w Polsce, skąd się wziął, jakie są racje stron. Padają niemal wyłącznie inwektywy – brzydki, nacjonalistyczny, antyeuropejski. Nic dziwnego, że opinia publiczna w Europie

nie wie, o co chodzi w Polsce, oprócz tego, że „rodzi się dyktatura”. Podam panu przykład: pytałem moich kolegów, europarlamentarzystów z Niemiec, czy gazety w Niemczech informowały, z jakich powodów polski rząd sprzeciwił się kandydaturze Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej. Nie. Nie było ani jednej informacji. Zastąpiły ją stwierdzenia, że PiS nie lubi Tuska, a Jarosław Kaczyński ma do niego



Protest w Brukseli przeciw reformie sądownictwa zaproponowanej przez PiS, 23 lipca 2017 r. FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

krzyczą o „niszczeniu wymiaru sprawiedliwości w Polsce”, ale gdyby zapytać o nasz stan systemu sprawiedliwości, to pewnie nikt by nie wiedział, że Polska jest w czołówce krajów, które mają największą liczbę przegranych postępowań w Strasburgu. A to jest fakt kompromitujący, bo oznacza, że sądy w Polsce pracują źle, lekceważąco i niechlujnie.

Komisja Europejska grozi Polsce „opcją atomową” i nałożeniem sankcji z art. 7 traktatu UE. W praktyce ich uruchomienie jest bardzo trudne, ale tym argumentem szermują dziś unijni politycy: Guy Verhofstadt i Frans Timmermans.

Verhofstadtowi wystarczy podsunąć przed oczy napis „Prawo i Sprawiedliwość”, a od razu wpadnie w amok. W walce z polskim rządem jest on w Parlamencie Europejskim jednym z głównych harcówników. Dla kontrastu można zestawiać go z przewodniczącym Antoniem Tajanem, który niewiele, lub zgola nic nie wiedząc o Polsce, wystosował pod naciskiem politycznych grup list do prezydenta Dudy, ale treść listu była wyważona. Można to robić tak jak Tajani, a można w sposób, w jaki robią to Verhofstadt lub Frans Timmermans. W przypadku tego ostatniego sprawa wygląda nieco inaczej. Timmermans nieustannie podnosi kwestie Polski i Węgier, bo tylko dzięki temu może istnieć politycznie. Jego partia przestała się liczyć, a on sam istnieje o tyle, o ile może się publicznie pojawiać z czymś przykuwającym uwagę. Stąd to nieustanne czeplanie się Polski. Gdyby nie było rządu PiS, to nikt by nie wiedział, kto to Timmermans.

Uważa pan, że Timmermans czy szerzej KE stały się głównym narzędziem opozycji do walki z polskim rządem?

Z rządami innych krajów rząd Polski ma stosunki dobre, oparte na wspólnych korzyściach. Polska jest doskonale rozwijającym się krajem z coraz solidniejszą strukturą prawno-instytucjonalną, a więc jest atrakcyjnym partnerem. Nie wszystko jest jednak różowe. KE rzeczywiście bywa wykorzystywana do politycznych wojenek z Polską. Komisja jest zależna od najważniejszych graczy politycznych, przede wszystkim od Niemiec i Francji. To, że Timmermans sobie hasa, to znaczy, że ma przyzwolenie. Tusk także sobie hasał, a to też znaczyło, że miał przyzwolenie. Z czego ono wynika? Nie ma to nic wspólnego z Trybunałem ani reformą sądownictwa. Wielcy rozgrywający w Unii pochodzący z Europy Zachodniej oba-

wiają się aktywizacji Europy Wschodniej, a Polska w tym procesie odgrywa ważną rolę, bo przecież i Grupa Wyszehradzka, i Trójmorze. To może zmienić architekturę władzy w Europie, a tego zachodnia strona nie chce, przyzwyczajona, że to ona rozdaje karty. Jest jeszcze i druga strona KE. W UE stosunek do traktatów bywa dość frywolny. Korzystając z tego, Komisja Europejska stara się zwiększyć zakres swojej władzy, wychodząc poza traktaty. Sprawa Polski czy Węgier jest tego dobrym przykładem. Komisja metodą faktów dokonanych i mając zgodę większości, uczyniła się sama władzą nadrzędną wobec państw narodowych (tych mniej ważnych oczywiście, bo ważnym nie ośmieli się przeciwstawić), a Timmermans zaprasza ministrów do siebie na dywanik. To jest oczywiście kompletne bezprawie.

Uderzyły mnie wpisy na Twitterze kilku posłów opozycji, którzy z zadowoleniem pisali, że KE pracuje nad rozwiązaniem pozwalającym na wykluczenie przedstawicieli naszego kraju i Węgier z głosowania nad nałożeniem sankcji na Polskę.

Kojarzy mi się to z taką sceną z „Potopu” Sienkiewicza. Już po zdradzie Janusz Radziwiłł urządził biesiadę dla tych, którzy przy nim zostali. Uczta trwa i nagle Radziwiłł dostaje pocztę. „Panowie, Warszawa wzięta przez Szwedów, cieszymy się” – krzyczy radośnie. Następuje konsternacja, ale w końcu większość dołącza do wiwatów. Sienkiewicz dobrze to uchwycił – jest w polskiej tradycji syndrom targowicy. Rozumiem to jako silną skłonność do załatwiania polskich spraw przez podmioty zewnętrzne, które jako mądrzejsze i lepsze powinny w Polsce zrobić porządek. Czasami ma to charakter zdrady, czasami głupoty, czasami naiwności. W każdym jednak przypadku takie radosne wrzaski typu: „Hurra, Warszawa wzięta” czy „Wspaniale, Polska będzie ukarana” to dowód degrengolady politycznej. A także moralnej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Ryszard Legutko – filozof, publicysta, polityk. Były senator i wicemarszałek Senatu, minister edukacji narodowej, sekretarz stanu w KP Lecha Kaczyńskiego. Poseł do Parlamentu Europejskiego. Wiceprzewodniczący grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

psychiczny uraz. Stąd ważna argumentacja polskiego rządu o łamaniu przez Tuska reguł, jakie winien respektować przewodniczący Rady, nie angażując się w spory wewnętrzne krajów, a szczególnie własnego, oraz o trzymaniu się zasady, że nie można wybierać przewodniczącego Rady wbrew woli rządu kraju, z którego pochodzi – to wszystko nie dotarło do opinii publicznej. Podobnie jest teraz. Europejskie media i politycy



Co dalej z sądami?



Kamila Baranowska

Podwójnym wetem i obietnicą złożenia własnych projektów ustaw prezydent Andrzej Duda wziął na siebie polityczną odpowiedzialność za zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Najostrzejszym recenzentem jego pracy będzie nie opozycja, lecz PiS

Spór, jaki rozgorzał między głową państwa a jego zapleczem politycznym, ma charakter w dużej mierze ambicjonalny. Jednak to także spór o to, jak ma wyglądać reforma wymiaru sprawiedliwości. Obie strony zgadzają się co do tego, że głębokie zmiany w sądownictwie są potrzebne. Był to jeden z postulatów kampanii wyborczej prezydenta i jest to od lat jedno z głównych założeń programowych PiS. Dla przedstawicieli PiS prezydenckie weta wobec ustawy

o KRS i Sądzie Najwyższym to hamulec dalszych gruntownych reform systemu sądownictwa. Dla bardziej umiarkowanej części opinii publicznej szansa, by reformy przeprowadzić lepiej, skuteczniej, w mniej konfrontacyjnej atmosferze.

Co zatem czeka nas tuż po wakacjach, gdy zgodnie z obietnicą prezydenta do parlamentu trafią przygotowane przez niego projekty ustaw, reformujące wymiar sprawiedliwości?

1. ZMIANY, KTÓRE PRZYJMUJE PIS

Zdaniem polityków PiS najbardziej prawdopodobny scenariusz to taki, w którym prezydent Andrzej Duda przygotowuje przepisy nieznacznie poprawiające funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. – To będzie takie pudrowanie patologicznej rzeczywistości, kosmetyczne zmiany, które będzie można dobrze wizerunkowo sprzedać, ale które de facto niczego nie zmieniają – utyskuje jeden z polityków obozu rządzącego.

Chociaż rozczarowanie decyzją prezydenta jest duże, to ze strony przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości płyną zapewnienia, że obstrukcji nie będzie. Jeśli projekty będą sensowne, to zostaną

przez resort pozytywnie zaopiniowane, choć bez entuzjazmu i bez nadziei na to, że cokolwiek zmienią. W kierownictwie ministerstwa panuje głębokie przeświadczenie, że bez fundamentalnej zmiany kadrowej niewiele da się w sądownictwie zdziałać, a to zawsze będzie budzić opór. To pogląd, który od lat głosi także Jarosław Kaczyński. – Skrajną naiwnością jest sądzić, że gdyby ustawy były procedowane inaczej albo były mniej radykalne, to buntu by nie było. Oczywiście, że by był, dokładnie taki sam. Chodziło o pretekst i każda reforma sądownictwa, robiona szybko czy wolno, byłaby dobrym pretekstem. Przecież w grudniu pretekstem do rozróby był budżet – nie kryje złości nasz rozmówca z PiS.

– Sami schrzanili sprawę, wyprowadzili ludzi na ulice, myśląc, że prezydent na koniec podpisze, pozwoli, by całe odium spadło na niego, i zostanie z tym wszystkim sam. A potem zdziwienie, że nie chciał się na to zgodzić – odpowiada na te zarzuty współpracownik prezydenta.

2. PIS ODRZUCA PROJEKTY

Jeśli emocje między obozem prezydenckim a partią i rządem będą nadal



FOT. JACEK DOMAŃSKI/REPORTER

by wytłumaczyć taką sytuację twardym wyborcom prawicy.

3. PiS RADYKALNIE ZMIENIA PREZYDENCKIE PROJEKTY

To scenariusz, o którym można usłyszeć w dywagacjach nie tylko posłów PiS, lecz także ludzi z otoczenia prezydenta. PiS, chcąc postawić na swoim, może poprawkami mocno ingerować w prezydenckie projekty i w nowej wersji odesłać je do Pałacu Prezydenckiego. Jeśli prezydent Duda znów zawetuje ustawy, to łatwiej będzie przedstawiać go w roli „zdraycy obozu zmian”. Jednakże prezydent zarzuci PiS brak dobrej woli i chęci współpracy, pokazując, kto tak naprawdę nie chce porozumienia. – Żadnej prawdziwej reformy już nie będzie, bo nikt się jej nie podejmie. Nie po to PiS i Ziobro narażają się na atak, opluwanie i hejt, by na koniec prezydent w imię walki o swój wizerunek wetował kluczowe projekty. Kto po czymś takim będzie chciał firmować swoją twarzą jakiejkolwiek niepopularne reformy, z reformą sądów na czele? – pyta jeden z polityków obozu rządzącego.

Dlatego jest mało prawdopodobne, by PiS chciał ryzykować kolejne prezydenckie weta, bo na całym konflikcie, który wówczas rozgorzałby na nowo i ze zdwojoną siłą, traciłyby także sam rząd i PiS.

4. PROJEKTY, KTÓRE ZDZIWIĄ PiS I ROZCZARUJĄ OPOZYCJĘ

Rozwiązanie optymalne dla rozładowania obecnego klinczu w obozie władzy. Prezydent Andrzej Duda proponuje rozwiązania, które zaskakują wszystkich – zarówno jego kolegów z PiS, opozycję, jak i środowiska sędziowskie. Jakie mogłyby to być rozwiązania? Na przykład powrót do pierwszego pomysłu Zbigniewa Ziobry na reformę Krajowej Rady Sądownictwa. Zakładał on m.in. powszechny i bezpośredni wybór przez sędziów swoich reprezentantów w KRS, co pozwoliłoby wyrównać siłę głosów sędziów różnych szczebli, ograniczenie liczby kadencji w radzie do jednej, zasadę niełączenia stanowiska w KRS ze stanowiskiem prezesa lub wiceprezesa sądu, a także kontrowersyjny zapis o skróceniu kadencji obecnego składu KRS. Tamten projekt oprotestowały wszystkie stowarzyszenia sędziów, w efekcie czego ministerstwo zaostrzyło kurs i zaproponowało ustawę, według której skład KRS wybiera parlament.

Powrót do poprzedniego projektu Ziobry stawiałby ministra w niezręcznej sytuacji, nie wzbudziłby też zachwytu ani sędziów, ani opozycji. Z punktu widzenia prezydenta, kreującego się na polityka ponad podziałami, to sytuacja idealna. Zreformowana KRS wskazywałaby prezydentowi kandydatów na sędziów Sądu Najwyższego, z pominięciem roli ministra sprawiedliwości, co tak bardzo krytykował Andrzej Duda, uzasadniając weta.

Problemem może się stać kwestia skrócenia kadencji obecnym członkom KRS i Sądu Najwyższego. To warunek, który będzie stawiał PiS. – Wcześniej zgodziliśmy się na wszystkie pomysły prezydenta, na większość trzech piątych przy wyborze członków KRS, co już stawiało reformę pod znakiem zapytania, a nas w koszmarniej sytuacji. Zgodziliśmy się też na poprawki dotyczące zwiększenia roli prezydenta przy wyborze członków Sądu Najwyższego. To tak à propos tego, że nic nie było niby z prezydentem konsultowane – mówi osoba z okolic resortu sprawiedliwości. – Dzisiaj po tym, co zrobił prezydent, sytuacja jest diametralnie inna, nie sądzę, byśmy teraz zgodzili się na tamte pomysły – dodaje.

Prezydent, wetując dwie kluczowe dla PiS ustawy, wziął na siebie odpowiedzialność za reformę wymiaru sprawiedliwości. Jeśli nie uda się jej przeprowadzić, przez część wyborców, a także kolegów z PiS, będzie wskazywany jako winny tej sytuacji. Przez niektórych już jest. Nieprzypadkowe są krytyczne pod adresem głowy państwa wypowiedzi przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości czy daleko idące złośliwości pośta Marka Suskiego. Naiwnością jest sądzić, że dzieje się to bez wyraźnego sygnału Jarosława Kaczyńskiego.

Przyszłe relacje głowy państwa z PiS, a zwłaszcza liderem tej partii, nigdy już nie wrócą na poprzednie tory. Przy okazji weta przeciwko ustawie o regionalnych izbach obrachunkowych jeden z bliskich współpracowników prezydenta mówił „Do Rzeczy”, że tej decyzji partia długo nie zapomni, ale może wybaczy, a weta wobec ustaw o sądach nie wybaczyłaby na pewno. Możliwości są dwie – albo prezydent i prezes PiS mimo to ułożą relacje na nowo z bardziej podmiotową rolą Andrzeja Dudy, na co liczy Pałac Prezydencki, albo czeka nas ciągły konflikt, rozgrywany przez opozycję i nieprzychylny PiS środowiska, na którym tracić będzie cały obóz „dobrej zmiany”. Na razie obiema stronami sporu rządzą wielkie emocje. A te okazują się zwykle złym doradcą. © Wszelkie prawa zastrzeżone

tak napięte, to nie można wykluczyć, że PiS, który ma większość w parlamencie, odrzuci projekty Andrzeja Dudy, zarzucając im to, że zostały napisane „pod sędziowskie elity”, a nie „pod obywateli”. Taka narracja pojawiła się już w orędziu premier Beaty Szydło. – Nieprzypadkowo to właśnie premier została rzucona na pierwszy ogień zwarcia z prezydentem. Szydło jest dziś najpopularniejszym politykiem PiS, pochodzi z tej samej drużyny co Andrzej Duda, blisko razem współpracowali w kampanii i oboje mieli ten sam program, oboje odwoływali się do zwykłych Polaków – mówi nam jeden z polityków PiS. W orędziu premier przedstawiła się jako obrończyni interesów obywateli, ustawiając prezydenta w roli reprezentanta elit. „Cenne są spotkania i dyskusje z prawnikami, filozofami i politykami. Ale aby dobrze zreformować polskie sądy, trzeba przede wszystkim słuchać głosu zwykłych Polaków” – mówiła premier. Z polityczno-wizerunkowego punktu widzenia odrzucenie przez PiS prezydenckich projektów byłoby prostsze, gdyby poparły je np. opozycja albo stowarzyszenia sędziów. Prezydent miałby z kolei kłopot,

Działaczka opozycji antykomunistycznej w PRL, krytyczna wobec III RP. Także wobec sędziów. Znała z tego, że nie owija w bawełnę. Ponoć nie lubi być w centrum uwagi mediów. Zawsze raczej wolała działać, niż o tych działaniach mówić. Nic więc dziwnego, że gdy – być może w najważniejszym przemówieniu swojej kadencji – prezydent Andrzej Duda wymienił jej nazwisko, niemal jednocześnie na kilku najpoczytniejszych portalach i w wydaniach internetowych ogólnopolskich gazet pojawiły się artykuły pod – tak się złożyło – tym samym tytułem: „Kim jest Zofia Romaszewska?”. No to przypomnę i ja: razem z mężem Zbigniewem współtworzyła Biuro Interwencyjne KSS KOR (zajmujące się rejestracją przypadków łamania praw człowieka w PRL i niesieniem pomocy osobom represjonowanym) oraz Radio Solidarność. W latach 1991–1993 była sędzią Trybunału Stanu. Rok po katastrofie smoleńskiej weszła w skład rady stowarzyszenia Solidarni 2010. Dwukrotnie PiS próbował bezskutecznie przeforsować jej kandydaturę na stanowisko rzecznika praw obywatelskich. Dama Orła Białego. Od września 2015 r. jest doradcą społecznym prezydenta Dudy. Jej mąż, nieżyjący od 2014 r. Zbigniew Romaszewski, był senatorem PiS, córka, Agnieszka Romaszewska-Guzy, dziennikarka Telewizji Polskiej, jest dyrektorem stacji TV Biełsat.

„CZY SĘDZIOWIE SIĘ NIE WSTYDZĄ?!”

„Odbyłem wiele konsultacji z prawnikami, socjologami, filozofami, politykami, ale przede wszystkim rozmawiałem z panią Zofią Romaszewską. Powiedziała tak: ja żyłam w państwie, w którym prokurator generalny miał silną pozycję i nie chcę do takiego państwa wracać” – tak Andrzej Duda tłumaczył się ze swojej decyzji o zawetowaniu dwóch z trzech ustaw reformujących sądownictwo autorstwa Prawa i Sprawiedliwości. Zapytana w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” o to, jakich argumentów użyła, by przekonać do swojej myśli prezydenta, skromnie bagatelizowała swoją rolę: „Po pierwsze czuję się zażenowana, po drugie zaszczyczona, a po trzecie to nie do końca prawda. Prezydent konsultował się w tej sprawie z wieloma ludźmi o bardzo różnych poglądach. Ja zwracałam uwagę, że ustawa, zwłaszcza o tak dużym znaczeniu, nie może być pisana na

Legenda murem za Dudą



Maciej Pieczyński

„Ja chcę po prostu ratować instytucję prezydenta!” – tak Zofia Romaszewska tłumaczyła córce, dlaczego poradziła Andrzejowi Dudzie zawetować ustawy o sądownictwie

kolanie. Poza tym – oddanie absolutnej władzy ministrowi sprawiedliwości? To po prostu niedopuszczalne”. Zdaniem Romaszewskiej: „Jeden człowiek nie może mieć władzy nad wymiarem sprawiedliwości [...] szczególnie jeśli jednocześnie jest on prokuratorem generalnym, bo od razu nasuwa się podejrzenie, że także prokuratura będzie miała wpływ na to, jaka będzie linia orzecnicza”. Zapytana, jak w takim razie powinna wyglądać reforma sprawiedliwości, odpowiada, że „nie jest fachowcem w tej kwestii” (legendarna obrończyni praw człowieka w PRL studiowała fizykę). Nie oznacza to jednak, że nie dostrzega potrzeby zmian. W wywiadzie za największe problemy wymiaru sprawiedliwości uznaje niezrozumiałość uzasadnień do wyroków oraz przewle-



FOT. BARTOSZ KRUPA/FAST NEWS

kłość postępowań. Wiele tygodni wcześniej na antenie TVP Info krytykowała sędziowskie środowisko: „Zachowują się jak ludzie poniżej wszelkiej krytyki, tak się wygłupiają. Nie wstydzą się?!”. Warto też pamiętać, że to właśnie Zofia Romaszewska wystosowała w obronie Polski list do Amnesty International, zapewniając, że żyjemy w kraju demokratycznym, czego zaprzeczeniem nie są miesięczniki smoleńskie ani wprowadzone przez PiS prawo, ale próby blokowania legalnej manifestacji przez przeciwników Kaczyńskiego.

– Moja mama ma ogromne poczucie sprawiedliwości. Tłumaczyła mi: „Ja chcę po prostu ratować instytucję prezydenta, bo to ważna instytucja, nie może być marginalizowana” – mówi „Do Rzeczy” Agnieszka Romaszewska-Guzy. – Jako umysł ścisły mama nie daje się uwieść ideologicznym iluzjom. Wychodzi z biblijnego założenia, że „mowa nasza ma być prosta: tak, tak, nie”. Dlatego kiedy widzi, że ustawa odbiera prezydentowi jego konstytucyjne prerogatywy, po prostu mówi głośno, że ta ustawa jest zła, i nie zmieni tego żadne górnolotne hasło „walki dobra ze złem” – dodaje. O tym, że Zofia Romaszewska woli konkretne czyny od górnolotnych słów, przekonuje pewna historia z czasów opozycji antykomunistycznej. Spotkania komisji redakcyjnej KOR, zajmującej się pisaniem komunikatów w imieniu komitetu, odbywały się w mieszkaniu sędziwej mecenas Anieli Steinsbergowej. Gospodyni była samotna i schorowana, nie miała dzieci. Jej mieszkanie było więc w opłakanym stanie. To Zofia Romaszewska wpadła na pomysł, by je wyremontować. Zorganizowała zbiórkę pieniędzy na fachowców, zebrała kolegów do pomocy. Sama wraz z przyjaciółką Barbarą Różycką szorowała podłogi i myła okna. Remont był niespodzianką dla pani mecenas, która niczego nieświadoma wyjechała akurat na urlop. Gdy wróciła, jej mieszkanie było nie do poznania. – Jako pierwsza w tej grupie zrozumiała, że walcząc za ideę, nawet nie zauważyli, jak zdeptują komuś mieszkanie. To jest właśnie cała moja mama: twarde stąpając po ziemi, pamiętała nie tylko o wielkich, lecz także o małych sprawach – mówi Agnieszka.

W domu Romaszewskich patriotyzm był czymś tak oczywistym, że nie trzeba było o nim mówić. Przejawiał się raczej w czynach niż w pełnych tromtadacji deklaracjach. – Rodzice wiedzieli, że łatwiej jest przekazać pewne wartości za

pośrednictwem przykładu, a nie zakazów czy nakazów. W dzieciństwie uwielbiałam czytać „Czterech pancernych i psa” Janusza Przymanowskiego. Tata, żeby mnie zniechęcić do lektury, powiedział mi, że ojciec Janka nie pochodził z Gdańska, tylko ze Lwowa, i nie walczył na Westerplatte, ale zginął w Katyniu. Poskutkowało – wspomina Agnieszka. Ojciec był od mądrych odpowiedzi na pytania, matka zaś od pilnowania codziennych spraw. Dbała o to, by pomimo konspiracji życie rodzinne toczyło się normalnie. Zrezygnowała zresztą ze studiów, żeby zająć się dzieckiem. Dorabiała, udzielając korepetycji z matematyki, której ponoć potrafiła nauczyć każdego.

W OBRONIE JEDNOSTKI

Nie oznacza to jednak, że działalnością opozycyjną Zofia Romaszewska zajmowała się niechętnie. Wręcz przeciwnie. Wychowanie dziecka oboje z mężem łączyli z walką na antykomunistycznym froncie o prawa człowieka. Z mężem Zbigniewem byli nierozłączni, nie tylko w życiu małżeńskim, lecz także opozycyjnym. Córka

Rodzice bronili różnych ludzi: Moczulskiego, Frasnika, Świtonia, niezależnie od tego, czy się zgadzali z ich poglądami, czy nie – mówi Agnieszka Romaszewska-Guzy

ten polityczny aspekt ich związku określa tak: „Tata był na pierwszej linii frontu, a mama dostarczała amunicji, ewentualnie naprowadzała na cel”. Czasem też, ze swojej pozycji twardo stąpającej po ziemi pragmatyczki, pilnowała, by panu senatorowi woda sodowa nie uderzyła do głowy. Gdy w prywatnych rozmowach chwalił się nadmiernie swoimi osiągnięciami, często dopytywała: „A czy tak na pewno było? Czy aby nie przesadzasz?”. Byli jednak bardzo zgranym duetem.

– To Zbyszka traktowaliśmy jak ikonę opozycji, ale zawsze, gdy tylko podejmował jakąś inicjatywę, było pewne, że będzie w niej uczestniczyć także Zosia i że trzeba będzie także z jej zdaniem się liczyć – wspomina Jan Olszewski, przyjaciel Romaszewskich. Poznali się, organizując wspólnie akcję pomocy uczestnikom protestów w Radomiu i Ursusie. W pewnym

sensie jednak mieli ze sobą do czynienia już wcześniej. – Zosia i Zbyszek, mimo że chodzili do tej samej szkoły, bliżej poznali się podczas zjazdu założycielskiego Związku Młodzieży Rewolucyjnej, który z ramienia redakcji „Po Prostu” prowadziłem. W pewnym sensie byłem więc ich swatem – śmieje się Jan Olszewski.

Zofia Romaszewska to w jego oczach osoba energiczna, bezpośrednia i żywiołowa. Agnieszka Romaszewska-Guzy do tego zestawu cech dodaje jeszcze: „Mama nigdy nie owija w bawełnę, wali prosto z mostu, zawsze mówi to, co myśli. To tata był od eleganckich słów, mama ma kolokwialny styl”.

– Zawsze bardzo twardo broniła swoich racji. Dlatego gdy w latach 80. broniłem przed sądem Romaszewskich, byłem pełen podziwu dla Zosi, że przy swoim porywczym temperamentie nie dała się sprowokować oskarżycielom – mówi Jan Olszewski.

W czasach, gdy Zofia i Zbigniew Romaszewscy działali w KOR, przez ich dom, szukając pomocy w starciu z systemem, przewinęło się wielu ludzi o różnych poglądach. Co zresztą znamienne, jednym z pierwszych aktów sprzeciwu wobec władzy w życiu Romaszewskich było zbieranie podpisów pod petycją w obronie relegowanego z uczelni Adama Michnika (rok 1967). – Rodzice bronili różnych ludzi: Moczulskiego, Frasnika, Świtonia, niezależnie od tego, czy się zgadzali z ich poglądami, czy nie. Za Świtoniem mama nie przepadała, ale miała świadomość, że jest pokrzywdzony – mówi Agnieszka Romaszewska-Guzy. – Z drugiej strony, poznała – i łąpała z nią świetny kontakt – panią Zub-Zdanowicz, żonę komendanta Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Mimo że jako człowiek o tradycjach i wartościach AK-owskiej lewicy i PPS nie cierpi narodowców, to jednak w tym wypadku ważniejsze było to, że ma do czynienia z patriotką, niż że nie zgadza się z jej wizją Polski.

Jak mówi Agnieszka, od mamy nauczyła się prawdziwej tolerancji, takiej, która nie oznacza – tak jak w swojej sprostytuowanej, lewackiej formie – akceptacji wszystkiego, tylko dobrze pojętą otwartość na drugiego człowieka, chrześcijańskie uznanie godności jednostki. – Moja mama jest po prostu wrażliwa na społeczną krzywdę – mówi. A pyta o największe wartości w życiu Zofii Romaszewskiej wymienia: – Demokracja i propaństwowość. Szacunek dla obywatela.



Krzysztof Masłoń

Cokolwiek by PiS-owski rząd zrobił, będzie to wyśmiane, zanegowane, zdeprecjonowane

Zdawalioby się, że pomysłowość totalnej opozycji sięgnęła zenitu i po racach humoru Macieja Stuhra nic już nas nie zdziwi. Wyraźnie jednak nie doceniłem inwencji gwiazd polskiej sceny, które wprost proporcjonalnie do upływu wieku odkrywają w sobie nieprzebrane wręcz pokłady talentów oratorskich, wokalnych oraz – co niekoniecznie musi zaskakiwać – politycznych. W ostatnich wydarzeniach, które przykuły uwagę opinii publicznej i rozpałyły emocje na całym Trakcie Królewskim w Warszawie, a i poza nim, pierwszoplanową rolę odegrała Dorota Stalińska, której wykonanie sławnych „Murów” z całą pewnością przejdzie do historii. Na marginesie przypomnę, że była PSL-owska radna i niedoszła posłanka z ramienia tychże ludowców 36 lat temu wcieliła się na ekranie w postać Hanki Ordonówny, co naród przyjął ze zdumieniem i zgrozą, by jednak nie popadł w całkowite osłupienie, w śpiewaniu przyszłą gwiazdę serialu „07 zgłoś się” wyręczyła Hanna Banaszak, dzięki czemu udało się to wszystko przeżyć.

Na manifestacji „Stalowa” nie tylko śpiewała (?), lecz także wygłaszała tyrady w obronie zagrożonej demokracji, strasząc powrotem komuny, którą zamierza ponoć reanimować Kaczor-Dyktator z Ziobłą pospołu. O tym, że najważniejsze dokonania artystki datują się na pierwszą połowę lat 80., nie wspominała jakoś, bo w końcu to, że jest córką PRL-owskiego posła, nie jest tu najważniejsze. Grunt, że dziś stała się nie tylko podporą teatru Krystyny Jandy, lecz także nową twarzą totalnej opozycji. I najbliższych wyborów do Sejmu pamiętna „Perełka”, gitowa z „Krzyku” Barbary Sass-Zdort, z całą pewnością już nie przegra. Jedynek ma jak w banku.

Do artystycznej rywalizacji o miano najbardziej wyrazistego przeciwnika PiS-owszczyzny włączył się również Wojciech Pszoniak, recytując sławny wiersz Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś”. Manifestanci z aplauzem przyjęli

Spisane będą czyny i rozmowy



Na manifestacji przed Sądem Najwyższym Dorota Stalińska nie tylko śpiewała, lecz także wygłaszała tyrady w obronie zagrożonej demokracji. FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

zwłaszcza puentę utworu: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy / i sznur i gałąź pod ciężarem zgięta”, gdyż – jak wiadomo – taką właśnie przyszłość obmyśliła totalna opozycja dla Kaczora-Dyktatora. Warto może tu przypomnieć, że cytata z tego wiersza: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego, / Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając, / Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta / Możesz go zabić – narodzi się nowy, / Spisane będą czyny i rozmowy” został umieszczony w Gdańsku na jednym z najważniejszych polskich pomników – Poległych Stoczniovców 1970. Interpretacja Pszoniaka wskazuje, że prostymi ludźmi, którzy będą pomśczeni, są obecnie sędziowie: Andrzej Rzepliński, Igor Tuleya i Ryszard Milewski.

NIE JESTEŚMY W PORTUGALII

Powiedzmy, że niezapomniany wykonawca roli Moryca Welta z „Ziemi obiecanej” Wajdy z rzeczywistością polską nieco się rozszedł, mieszkując w Paryżu. Niewykluczone też, że za bardzo przejął się swego czasu inną kreacją u Wajdy – Robespierre’a w „Dantonie”. Grunt, że tak jak Petru i jemu podobni poczuł w „wydarzeniach lipcowych” krew, tak aktorowi zapachniało rewolucją. A że mam zupełnie niepoprawne skojarzenia, to po popisach Stalińskiej i Pszoniaka przypomniał mi się fragment „Sentymentalnej Panny S.” Jana Krzysztofa Kelusa. A brzmiał on tak:

*I byłem głupi tak jak inni
wciąż tylko bojąc się jednego:
– że mogą zerwać przedstawienie
sąsiedzi z kraju ościennego...
Nie był potrzebny żaden sąsiad
– rodzimej dosyć jest kanalii –
by wytłumaczyć nam na zawsze,
że nie jesteśmy w Portugalii,
żeby przekonać nas raz jeszcze,
że może Polak do Polaków,
że nie jesteśmy w Portugalii,
że to nie rewolucja kwiatów.*

Zwłaszcza fraza „rodzimej dosyć jest kanalii” przyklepiła się do mnie niczym rzep. Ciekawe dlaczego.

Nie powinienem także pomijać milczeniem stałej aktywności innego bohatera „Ziemi obiecanej”, czyli Karola Borowieckiego. Oczywiście, Daniel Olbrychski nie pozwala zapomnieć o sobie i np. w jednym z ostatnich wywiadów stwierdził, że Piotr Gliński jest najgorszym ministrem kultury w czasach,

które obejmuje pamięcią. Ponieważ aktor przekroczył siedemdziesiątkę, porównywać musiał Glińskiego z takimi postaciami jak m.in. Stanisław Wroński, Zygmunt Najdowski, Janusz Wilhelmi, Tadeusz Galiński, Lucjan Motyka, a nawet Włodzimierz Sokorski. Jeśli bowiem chodzi o ministrów III RP, to – jasna sprawa – z Andrzejem Celińskim, Izabelą Cywińską i Waldemarem Dąbrowskim Olbrychskiemu było po drodze. A wygląda na to, że ze Zdzisławem Podkańskim, Joanną Wnuk-Nazarową oraz obcym ideowo Jerzym Góralem także.

Agnieszka Holland przynajmniej niczego nie owija w bawełnę i obcesowo się domaga, by – po prostu – znów było tak jak onegdaj. Co nas bowiem czeka pod rządami PiS, z grubsza wiadomo. Już Edward Redliński wyartykułował to przed laty w „Konopielce”: „Wilki [będą] latać, bociany pływać, słońce wszędzie na zachodzie, zajdzie na wschodzie”. Reszta prorocтва wprowadzie nie bardzo się zgadza, bo jeśli chodzi o to, że „chłop z chłopem spać będzie, baba z babą”, to wizja ta raczej pasowała do poprzedniej ekipy sprawującej władzę, ale nie spierajmy się o detale.

ZAMACH STANU

Takie demonstracje, jakie odbyły się ostatnio pod Sejmem i Pałacem Namiestnikowskim, mają swoją wewnętrzną, bardzo wysoką temperaturę i zdecydowanie wiecowy klimat. To, naturalnie, poniekąd usprawiedliwia pewne charakterystyczne dla podobnych masówek zachowania, choć w stosunku do ludzi kultury powinny obowiązywać podwyższone standardy. W zgodzie z nimi zaprezentował się np. jakiś czas temu pisarz Jacek Dehnel, który po manifestacjach KOD nie krył swego zniesmaczenia, punktując „infantylnie zaczepki albo rzeczy, od których prędzej bym się zapadł pod ziemię, niż je skandował. Jakieś fekalne wierszyki [...], porażająca mizeria, przerażająca prowincjonalność”.

I może to nie przypadek, że właśnie – bardzo aktywny w ostatnich tygodniach – Jacek Dehnel (przypomnę: autor „Lali” i „Matki Makryny”) był jednym z inicjatorów apelu ludzi kultury do prezydenta Andrzeja Dudy, by ten nie podpisywał ustaw, które – cytuję – „podporządkowują władzę sądowniczą władzy ustawodawczej i wykonawczej”. W liście nie brakuje wielkich słów: „My, polscy pisarze, artyści, naukowcy, wiemy aż

za dobrze, że w bezpośrednim starciu słowa są słabsze od siły. Nie możemy jednak milczeć, kiedy podstawy naszego wspólnego państwa są burzone. Byliśmy świadkami obezwładnienia Trybunału Konstytucyjnego, teraz jesteśmy świadkami wprowadzenia niekonstytucyjnych przepisów, które likwidują zasadę trójpodziału władzy i stoją w sprzeczności z zasadami demokracji, spychając Polskę w ustrój autorytarny. Odpowiednim na to określeniem jest »zamach stanu«. Na to nie ma i nie będzie naszej zgody”.

Można się spierać o dokonaną tu diagnozę, ale forma tego protestu jest jak najbardziej odpowiednia, a masowe dla niego poparcie (już 1,2 tys. osób podpisało się pod apelem) wyrażane przez ważne dla kultury polskiej osoby sprawia, że należy traktować ten głos z całą należną mu powagą. Podpisały go zresztą takie osobistości naszego życia kulturalnego jak m.in.: Jerzy Bralczyk, Janusz Gajos, Janusz Głowacki, Maria Janion, Wojciech Smarzowski, Wiesław Myśliwski, Marian Pilot, Eustachy Rylski oraz Andrzej Seweryn. A i prezydencki szwagier, Jakub Kornhauser.

Nie należy też jednak zapominać o liście profesorów z Akademickich Klubów Obywatelskich domagających się pilnego podpisania przez prezydenta ustaw reformujących polski wymiar sprawiedliwości. „Na reformy te – czytaliśmy – społeczeństwo polskie oczekuje ponad ćwierć wieku”.

TO JUŻ SIĘ NIE SKLEI

Za sprawą społecznych protestów staliśmy się domorosłymi specjalistami w dziedzinie prawa. Niedługo żartowano, że każdy Polak zna się na medycynie i sporcie, teraz okazało się, że i na prawie. A konstytucję będziemy niedługo znali na wyrywki, najlepiej może preambułę do niej (Wałęsa nazywał ją „paambułą”), z przejęciem odczytaną manifestantom przez Joannę Szczepkowską, Bóg raczy wiedzieć dlaczego przedstawianą m.in. jako byłą felietonistkę prawnicowego tygodnika, choć w „Do Rzeczy” pojawiła się niczym efemeryda, kończąc współpracę po tym, jak na okładce zamieścili Tuska w barwach – jak je nazwała aktorka – „afrykańsko-indiańskich”. O tym natomiast, że wcześniej przez lata całe pisywała w „Wysokich Obcasach”, milczano, a przecież to stamtąd właśnie wyrzucono ją po tym, jak logicznie pytała, dlaczego to



To ta, a nie inna władza przekroczyła wreszcie 1 proc. wydatków budżetu państwa na kulturę. Na zdjęciu wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

■ w naszym pięknym kraju – w teatrze na przykład – „można nazwać papieża ch..., a geja pederastą nie?”.

Dla porządku dodam, że ustawy zasadniczej nauczają dzisiaj na wiecach także inne znakomitości aktorskie z Krystyną Jandą, Danutą Stenką i Mają Ostaszewską na czele. W ogóle dzieją się dziwne rzeczy, gdyż na straży konstytucji staje ten sam prezydent, który całkiem niedawno zapowiadał ogólnonarodową debatę konstytucyjną, referendum, a w konsekwencji uchwalenie nowej ustawy zasadniczej, ta ma bowiem już 20 lat. I, jak się zdaje, to wystarczy.

Kiedyś jednak – co nie znaczy, że wiemy kiedy – fala gwałtownego zainteresowania prawem nad Wisłą i Odrą opadnie, a wtedy władza i totalna opozycja zetrą się ze sobą na innym polu. Z całą pewnością areną takiego starcia będzie – być może między innymi – kultura. Skoro tak

wybitny aktor jak Jerzy Radziwiłowicz uważa, że pod rządami Prawa i Sprawiedliwości odbierana jest mu wolność, to dopóki rządów nie przejmie opcja lewicowo-liberalna, dopóty nie ma mowy o tym, by we wzajemnych relacjach konserwatywnej władzy i rewolucyjnych twórców (i odtwórców) nastąpiło jakieś ocieplenie. Ba, nawet o krótkotrwałym rozejmie próżno marzyć. Jarosław Marek Rymkiewicz cztery lata temu profetycznie stwierdził: „To, co nas podzieliło – to już się nie sklei”. Ano nie.

WIerność IMPONDERABILIOm

Ten sam poeta, komentując ostatnie wydarzenia, powiedział: „W niedzielę rano w TVP Info pokazano obrazek z manifestacji pod domem Jarosława Kaczyńskiego. Piękny, czarny kot siedział w oknie, trzymał w łapce pilnik, piłował pazurki i patrzył na awanturę, która

odbywała się na ulicy. Bardzo inteligentne i zręczne zwierzę. Też mamy takiego czarnego kota w domu, w Milanówku, co prawda nie umie posługiwać się pilnikiem, ale patrzy na nas bardzo mądrym okiem. Kot Kaczyńskiego nasunął mi myśl, że powinniśmy się zachowywać tak jak on, wobec tego, co się teraz dzieje w Polsce. Jest za dużo słów, za dużo gadania. Za dużo awantur. Wszystko to ginie w wirze, który wytwarza nasz język. Powinniśmy zachowywać spokój, mniej mówić albo niemal nic nie mówić, nie przekonywać ich, nie dyskutować z nimi. Oni i tak nie dadzą się przekonać, nie usłuchają żadnych argumentów. Patrzmy na to okiem kota Kaczyńskiego i róbmy swoje. Polskę trzeba oczyścić z komunistycznego śmiecia”.

Trudno się nie zgodzić z autorem „Końca lata w zdziczałym ogrodzie”, z tym że to ostatnie zdanie niemal wprost nawiązuje do Mickiewiczowskiego wezwania: „A przed uczcą potrzeba dom oczyścić z śmieci; / Oczyścić dom, powiadam, oczyścić dom, dzieci!”. I zaraz też przypomina się „Pan Tadeusz”, tyle że pana Wajdy z tym właśnie dwuwierszem i ostatnią wielką rolą... Daniela Olbrychskiego.

To, że rządzący z natury rzeczy stają się nieprzyjaciółmi opozycjonistów, w polityce można zrozumieć, a nawet zaakceptować. Kiedy jednak własny, demokratycznie wybrany rząd obywatel traktuje jako wroga, narzuconą mu opresyjną władzę, przestajemy rozumieć cokolwiek. Co np. chcieli udowodnić redaktorzy miesięcznika „Znak”, usuwając ze składu zespołu Jarosława Gowina, dziś wicepremiera oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego, a w latach 1995–2005 redaktora naczelnego tegoż samego „Znaku”? Oto 11 ludzi, których nazwiska z jednym może wyjątkiem nie mówią czytelnikowi nic, gromko oświadczając, że poczynili ten krok, gdyż „ostatnie działania obozu rządzącego, wspierane przez wicepremiera i ministra Jarosława Gowina, zmierzające do pozbawienia niezależności władzy sądowniczej, stoją w sprzeczności z imponderabiliami, którym środowisko »Znaku« było i pozostaje wierne”. Tak to konia kują, a żaby podstawiają nogi.

TAKI MAMY KLIMAT...

Po kongresie PiS, na którym Jarosław Kaczyński wymienił kilka działań planowanych przez rząd w sferze kultury,

Marek Beylin w „Gazecie Wyborczej” orzekł, że polityk ten robi z kultury narodowej cepeliadę, co oczywiście zostało podchwyczone przez niechętne władzy środowiska artystyczne. Tymczasem prezes Prawa i Sprawiedliwości wyartykułował to, co wydaje się oczywiste: że istnieje sztuka dobra i zła, pierwsza wzmacnia wspólnotę, druga ją osłabia. To chyba jasne, że ta druga rządowych dotacji nie otrzyma, podobnie jak nie ma powodów, by finansować brutalne ataki na narodową tradycję. „Najgorszy minister kultury” – zdaniem Olbrychskiego – czyli Piotr Gliński, złagodził jeszcze wymowę słów Kaczyńskiego. W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” powiedział: „Resort wspiera setki różnych instytucji na zasadzie otwartych konkursów grantowych. W Polsce zdecydowana większość instytucji kultury, w tym Teatr Dramatyczny w Warszawie, jest samorządowa. MKiDN nie ma żadnego wpływu na ich funkcjonowanie. Powiem więcej – to dobrze, że tak się dzieje, bo sztuka musi opierać się na niezależności i autorskiej kreatywności. Możemy później, ex post, jako widzowie i urzędnicy oceniać i wyciągać różnorakie wnioski. Do tego oczywiście mamy prawo,

mimo że wielu próbuje go nam odmówić. Krzyczą, że jestem »cenzorem« i wprowadziłem »stalinowskie czystki« – to autentyczne cytaty z wypowiedzi moich adwersarzy. Taki mamy klimat... Moja działalność polegająca na mecenacie państwa, zgodnie z tym, co zapowiedzieliśmy, przejawia się w pewnej korekcie w porównaniu z polityką poprzedników”.

Cokolwiek by jednak PiS-owski rząd zrobił, będzie to wyśmiane, zanegowane, zdeprecjonowane. Tak było przecież z prawdziwym powodem do dumy tej ekipy, czyli kupnem za relatywnie małe pieniądze kolekcji Czartoryskich. A skoro o pieniądzach mowa, to ta, a nie inna władza przekroczyła wreszcie 1 proc. wydatków budżetu państwa na kulturę. To wszystko się jednak nie liczy, nie ma w Polsce wolności! Na warszawskiej Cytađeli powstaje Muzeum Historii Polski, w innych miastach już niebawem funkcjonować będą: Muzeum Kresów, Muzeum Sybiru, Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Ci, którzy zawsze wszystko wiedzą lepiej, wyśmiewają się z tej „muzeomanii”, prorokując w roku stulecia odzyskania polskiej państwowości otwarcie Muzeów Niepodległości w każdej gminie. I, oczywiście, robiąc

z tego bekę, tak jak z odległego na razie pomysłu odbudowy zamków kazimierzowskich.

Nie wszystkie plany Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego są trafione. Moim skromnym zdaniem z tworzeniem Akademii Literatury należałoby dać sobie spokój na przynajmniej kilkanaście lat, o ile nie na zawsze. Po co bowiem samemu prowokować spory, których i bez tego jest aż nadto? Ale już na razie sygnalizowana zaledwie możliwość powrotu do obniżonych do 50 proc. kosztów uzysku dla twórców, wydaje się ważna i z całą pewnością nieobojętna dla ludzi kultury, nauki, sztuki.

Tyle że ci, którzy uważają się za koryfeuszy kultury polskiej, jakże często z własnego nadania, w głębokim poważaniu mieć będą takie czy inne decyzje podejmowane przez nieakceptowaną władzę. Zawsze bowiem da się wyciągnąć z rękawa jakiegoś skandalistę w rodzaju Olivera Frlijicia, podnieść jego sceniczne obrzydliwstwa do rangi sztuki, a ze stosunku do nich uczynić sprawdzian naszego poczucia i rozumienia wolności. By potem rozdzierać szaty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KWINTESENCJA MĘSKIEGO STYLU OD **SWISS MILITARY HANOWA**

GDYBY ZEGARKI Z KOLEKCJI PATRIOT CHRONO MIAŁY PRZYBRAĆ LUDZKĄ FORMĘ, BYŁYBY MĘŻCZYZNAMI. PRAWDZIWYMI MĘŻCZYZNAMIZI KRWI I KOŚCI. CZASOMIERZE OD SWISS MILITARY HANOWA ZOSTAŁY BOWIEM ZAPROJEKTOWANE TAK, BY W PEŁNI ODDAWAĆ MĘSKIEGO DUCHA.

Oficjalnie licencjonowany przez Konfederację Szwajcarską brand jest utożsamiany z najlepszymi wartościami szwajcarskich sił zbrojnych – solidnością, wytrzymałością oraz wysoką precyzją. Kolekcja SWISS MILITARY HANOWA to doskonałe połączenie tradycyjnego szwajcarskiego rzemiosła, sportowego designu oraz funkcjonalności. Zegarki stworzone, aby pomóc przetrwać w trudnych warunkach, przyciągają również wzrok dynamiczną stylistyką. Na tarczy każdego zegarka umieszczony został szwajcarski krzyż, będący gwarancją najwyższej jakości. Sześć niezwykle modeli Patriot Chrono posiada imponującej wielkości 43-milimetrowe koperty ze stali szlachetnej. Odporne na zarysowania szafirowe szkło oraz wodoszczelność aż do 100 metrów sprawiają, że Patriot Chrono doskonale sprawdzi się na każdej wyprawie. Cała kolekcja wyposażona została w wysokiej jakości szwajcarskie mechanizmy, gwarantujące dokładność i precyzję. Dzięki temu zegarek SWISS MILITARY HANOWA to idealny kompan aktywnego mężczyzny, niezawodny w każdej sytuacji!



swiss.com.pl
cena 980zł / 1180zł



Piotr Gociek

Nowy film Luca Bessona jest oszałamiająco piękny. Tylko że widzowie nie chcą na niego chodzić

Valerian w opałach

Cara Delevingne (Laurelina) oprócz urody zachwyca także łobuzerskim błyskiem w oku FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Powiedzieć, że Luc Besson po 20 latach od „Piątego elementu” wraca do fantastyki, to grubo przesadzić. Fantastycznego świata nigdy przecież nie opuszczał, bo całe jego kino przesycane jest cudownością. U Bessona nawet realizm jest fantazją. Nie bez powodu mówią na niego „Georges Méliès XXI wieku” – w jego rękach film okazuje się naprawdę latarnią magiczną, Besson zaś z entuzjazmem dziecka i eksperymentatora jednocześnie testuje jej możliwości.

O ekranizacji swego ukochanego komiksu „Valerian” myślał już wiele lat temu, a podczas pracy nad „Piątym elementem” zaprosił do współpracy jednego z twórców (był to rysownik Jean-Claude Mézières). Besson musiał jednak poczekać z realizacją swojego marzenia, bo brakowało mu odpowiednich narzędzi, dopiero po premierze „Avatara” Jamesa Camerona uznał, że technologia pozwala już na zrealizowanie filmu o Valerianie z należytym rozmachem. Dzisiaj właśnie ten rozmach jest podkreślany w materiałach promocyjnych: budżet niemal 200 mln dol.

(najdroższy film europejski) i morze efektów specjalnych.

Dwa słowa o komiksie, który leży u korzeni projektu „Valerian i Miasto Tysiąca Planet”: czasoprzestrzenny agent Valerian pojawił się w 1967 r. na łamach magazynu „Pilote”, potem do roku 2010 ukazało się ponad 20 albumów. Seria szybko zmieniła nazwę na „Valerian i Laurelina”, bo piękna agentka, z którą na stałe współpracuje Valerian, okazała się równie ważna dla cyklu, a przez czytelników kochana chyba nawet bardziej. Polscy czytelnicy spotkali tę parę w roku 1990 za sprawą albumów publikowanych w serii „Komiks. Fantastyka” (Prószyński i S-ka), w ostatnich latach mogli zaś zapoznać się z całością serii dzięki siedmiotomowej edycji zbiorczej (wydawnictwo Taurus Media).

Valerian urodził się w XXVIII stuleciu i jest obywatelem Terrańskiego Imperium Galaktycznego, Laurelina jest dziewczyną ze średniowiecza (XI w., Ziemia). Los mógł ich połączyć, dlatego że dla specsjuzby przyszłości czas i przestrzeń nie są żadną barierą. Akcja wielu albumów serii rozgrywa się w różnych

okresach historii naszej planety. Ten czasowy aspekt historii (tak jak pochodzenie bohaterów) jest w filmie pominięty – poznajemy po prostu sympatyczną parę agentów do zadań specjalnych wyruszącą rozwiązać zagadkę w gigantycznym kosmicznym mieście Alpha.

CUDOWNE OBRAZKI

Sekwencja otwierająca film Bessona jest jedną z najbardziej optymistycznych wizji przyszłości, jakie mieliśmy okazję widzieć na dużym ekranie. Na naszych oczach orbitalna Międzynarodowa Stacja Kosmiczna rozrasta się, gromadzi przedstawicieli kolejnych ziemskich narodów, do których dekady później zaczynają dołączać także odwiedzające Układ Słoneczny rasy obcych. Wreszcie, kiedy stacja jest już tak gigantyczna, że jej obecność staje się zbyt niebezpieczna dla sąsiadującej z nią Ziemi, Alpha zostaje wysłana w kosmiczną podróż. Odtąd płynie przez bezmiar kosmosu, rozwijając się, rosnąc i przyciągając kolejne rasy, które pospół handlują, dokonują odkryć, ale przede wszystkim żyją obok siebie w tym jedynym w swoim rodzaju miejscu.

Po ładunku optymizmu dostajemy za chwilę ładunek piękna – akcja przenosi się na barwną i wyglądającą doprawdy cudownie obcą planetę Mul, gdzie żyją smukłe istoty przypominające nieco pozaziemskich bohaterów „Avatara” Camerona. I zaczyna się uczta dla oczu, która trwać będzie aż do końca filmu – strona wizualna „Valeriana” jest po prostu oszałamiająca.

Akcja obraca się wokół trzech łączących się ze sobą tajemnic. Pierwsza to sekret mieszkańców planety Mul, których idylliczna planeta ulegnie zniszczeniu – bardzo długo nie wiemy dlaczego i z czyjej winy. Drugim sekretem jest dziwaczne zwierzątko zwane Konwerterem. Agenci Valerian i Laurelina otrzymują polecenie wykradzenia ostatniego we Wszechświecie egzemplarza Konwertera i dostarczenia go do Alphy. Nie wiemy właściwie dlaczego. Trzeci sekret kryje się w samym Mieście Tysiąca Planet – wewnątrz Alphy pojawiła się tajemnicza strefa radioaktywnego skażenia, która nieustannie się rozrasta i grozi zagładą całej stacji.

Ciekawa rzecz – kiedy po kilku dniach od seansu dla prasy myślę o „Valerianie”, nie mam w głowie filmu, nie mam opowieści, którą chciałbym się podzielić z innymi („słuchajcie, jest taka oto historia...”), za to o palmę pierwszeństwa rywalizuję ze sobą poszczególnymi fragmentami. Co przyniosło mi więcej frajdy? Wizyta bohaterów na wielkim bazarze istniejącym naraz w dwóch rzeczywistościach (by docenić jego urok, trzeba założyć specjalne gogle, by coś stamtąd wynieść, trzeba mieć specjalną międzywymiarową skrzynkę) i genialne wykorzystanie potencjału, jaki niesie ze sobą ten gag? A może szalony bieg-skok-lot Valeriana przez stację Alpha (fragment widzieliście w zwiastunie)? Czy też odwiedziny w sektorze kontrolowanym przez obcą rasę uwielbiającą traktować innych jako przystawki? Poszukiwanie niezwyklej meduzy w mrocznym oceanie pełnym gigantycznych bestii w łodzi podwodnej, której kapitan wygląda jak żywcem wyjęty z groteskowych fantazji Jeana-Pierre’a Jeunete’a? Wszystkie te sekwencje są zaskakujące, zabawne, porywające i zachwycające. Czy składają się jednak w film?

Liczbą obcych ras, wynalazczością, ekstrawagancją, feerią barw „Valerian” bije konkurencję na głowę. Tej niezwyklej superprodukcji brakuje jednak charyzmatycznego głównego bohatera. Dane DeHaan (Valerian) jest sympatyczny i odpowied-

nio sprawny fizycznie. Cara Delevingne (Laurelina) oprócz urody zachwyca także łobuzerskim błyskiem w oku i jest od Valeriana mądrzejsza. Brakuje jednak między nimi chemii – brakuje jej tym bardziej, im bardziej Besson próbuje nas przekonać, że taka chemia jest. Kobięciarz Valerian ma na swoją partnerkę chrapkę, ona jest nieufna, a rozgrywka między nimi niespodziewanie przesłania wszystkie cudowne stacje Alpha i innych ukazanych światów.

BESSON RZADKO SIĘ MYLI

Justin Chang w recenzji dla „LA Timesa” narzeka, że choć bez wątpienia warto „Valeriana” zobaczyć, to nie ma w nim czego słuchać – ma na myśli słabawe dialogi i wątpliwą intrygę. Dwadzieścia lat temu zarzuty były podobne, byli i tacy krytycy, którzy obwołali „Piąty element” chałwą roku. Pamiętam, gdy sam po prapremierze (bodaj na konwencie komiksu w Łodzi) dzieliłem się pierwszymi wrażeniami. „Cudowne obrazki, ale całość jakaś błaha” – narzekałem. Po latach okazało się, że to jeden z moich ulubionych filmów, a pierwsza ocena była zbyt surowa.

Czy podobnie może być w przypadku „Valeriana”? Głowiłem się nad tym mocno, wychodząc z kina. „Valerian” w wielu miejscach podobny jest do „Piątego elementu”, Besson sięga po te same chwytły. Dwadzieścia lat temu zachwycił widzów niespodziewanym popisem operowym błękitnej diwy (bohaterka o nieziemskim głosie zwała się Plavalaguna), w „Valerianie” tymczasem mamy przebieganki Rihanny i jej taniec na rurze. W „Piątym elemencie” miłość, brakujący dodatkowy żywioł (tytułowy piąty element), miała ocalić świat. W „Valerianie” stawka jest niższa – czy pan major w końcu przeleci panią sierżant?

Amerykańska publiczność miała kłopot z zachwyceniem się nowym dziełem Bessona. Film wprowadzony do kin w ten sam weekend co „Dunkierka” Christophera Nolana zarobił zaledwie 17 mln dol. i zajął dopiero piąte miejsce w box ofisie. W Niemczech już w pierwszy weekend przegrał z graną od trzech tygodni kreskówką „Gru, Dru i Minionki”, a wpływ

z biletów wyniosły niecałe 3 mln dol. Czy szykuje się zatem finansowa kłapa, która utopi studio EuropaCorp? Niekoniecznie. Fachowa prasa z Hollywood donosi, że wedle nieoficjalnych informacji 96 proc. wydanych na film pieniędzy odzyskano już na etapie sprzedaży praw do dystrybucji na światowych rynkach. Nie dziwi więc stoicki spokój Bessona, który pytany o finansowe ryzyko wzrusza ramionami. Poczekajmy, jaki ostatecznie będzie księgowy bilans.

Zauważmy, że dotąd Besson mylił się rzadko i był z reguły mądrzejszy od swoich krytyków. Nawet idiotyczny thriller SF „Lucy” zmienił się pod jego ręką w komercyjny hit. Krytykowana niegdyś „Joanna D’Arc” po latach wciąż dostarcza widzowi wielkiej satysfakcji. „Nikita”, „Leon zawodowiec”, „Wielki błękit” to po prostu klasyka. Kreskówki o Arturze i Minimach przyniosły morze pieniędzy. Tak naprawdę Besson ponosił klęskę tylko wtedy, gdy zabierał się do kina realistycznego: „Lady”, czyli biografia Aung San Suu Kyi, była śmiertelnie nudna, a komedia gangstersko-rodzinna „Porachunki” po prostu nieśmieszna.

Im bardziej Besson odrywał się od rzeczywistości, tym lepsze filmy mu wychodziły. Z tego punktu widzenia przed „Valerianem” jasna przyszłość – będzie obrastał kultem i specjalnymi edycjami DVD. Reżyser „Władcy pierścieni” Peter Jackson już chwali nowe dzieło Bessona, obwołując je „magicznym doświadczeniem” i jednym z najlepszych filmów od wielu lat. Tymczasem akcje EuropaCorp pikują i studio Bessona już jest warte o kilkanaście milionów dolarów mniej niż jeszcze kilka dni temu.

A ja pójdę na „Valeriana” jeszcze raz, by na spokojnie rozkoszować się niezwyklej światem wykreowanym na ekranie. Dla takich wizji warto nawet zaryzykować ból głowy wywołany okularami 3D. Są w tym filmie kadry tak ładne, że kupiłbym bilet, nawet gdyby wyświetlano je bez fabuły, jako półgodzinny pakiet pt. „IMAX zaprasza na kolorowe obrazki”. Czy „Valerian” mimo wszystko wrośnie w popkulturę i stanie się legendą jak „Piąty element”? Umówmy się na rozmowę za 20 lat. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
REŻ. LUC BESSON
„VALERIAN
I MIASTO TYSIĄCA
PLANET”
(„VALERIAN
AND THE CITY
OF A THOUSAND
PLANETS”)
FRANCJA/USA
2017

wyst. Dane DeHaan,
 Cara Delevingne,
 Clive Owen

PIOTR GOCIEK: Valerian w komiksach to twardziel przypominający mi skrzyżowanie Javiera Bardema z Vincentem Casselem. W twoim filmie ma wygląd i urok nastoletniego urwisa. Skąd ta zmiana?

LUC BESSON: Dane DeHaan ma 30 lat, więc nie jest taki młody, ale wygląda młodziej. Tak sobie wyobrażałem Valeriana, a poza tym w tę stronę idzie świat. Spójrz na nastoletnich kierowców Formuły 1, nastoletnich pilotów myśliwców, na to, jak 10-latk radzą sobie z komputerami. W mojej głowie ta postać zawsze była bardzo młoda, dowcipkująca, niekiedy pretensjonalna.

Dlaczego Dane DeHaan? Kiedy zorientowałeś się, że to twój Valerian?

Kiedy tylko go spotkałem. Wiedziałem wcześniej, że jest świetnym aktorem, ale oczywiście by podjąć ostateczną decyzję, musisz sprawdzić, jakie wrażenie robi na tobie w realu. Ton jego głosu, niebieskie oczy, uśmiech małego czarusa – był po prostu doskonały, zrozumiałem to, kiedy znaleźliśmy się razem w jednym pokoju i zaczęliśmy rozmawiać. Według mnie to następny Leonardo DiCaprio.

Niskie wpływy z kin amerykańskich mogą oznaczać, że film nie zarobi tyle, żeby zwrócić się koszty produkcji. Nie martwi cię to? 200 mln dol. to wielki budżet.

170 mln dol. I w ogóle się tym nie martwię. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się troszczą o to, czy zarobimy na „Valerianie”.

Finansowa klapa może oznaczać koniec twojego studia EuropaCorp.

I co z tego? Dwadzieścia lat temu to studio nie istniało. To są nieważne sprawy. Liczy się to, co po sobie pozostawiamy. Tydzień temu byłem na festiwalu, na którym pokazywano „Piąty element”. Sześć tysięcy widzów znało na pamięć każdą linię z filmu. To ważniejsze od pieniędzy. Robię filmy po

Z Lukiem Bessonem, reżyserem „Leona zawodowca” i „Piątego elementu”, o jego najnowszym filmie „Valerian i Miasto Tysiąca Planet”

rozmawia Piotr Gociek



Robię filmy po swojemu

swojemu. Losy studiów filmowych nikogo nie interesują. Ludzie pamiętają filmy: „Nikita”, „Wielki błękit”, „Piąty element”. Van Gogh sprzedawał obrazy po franku za sztukę. Czy pamiętasz o tym, oglądając jego dzieła w muzeum?

Myślę, że widzowie polubią Valeriana, ale przede wszystkim pokochają kinową Laurelinę.

Jestem pewien, że tak będzie. Tak stało się zresztą wcześniej w przypadku komiksowego oryginału.

Wedle stereotypu to kobiety są impulsywne i nieobliczalne. Tymczasem to Laurelina uczy Valeriana, jak postępować właściwie.

Tak jak w życiu. My, mężczyźni, jesteśmy zbyt nadęci, pretensjonalni, zarabiamy zbyt wiele i przywiązujemy za dużą wagę do pieniędzy i statusu. Chwalimy się: „To jest mój samochód, to jest mój dom”. Nie usłyszysz takich rzeczy od kobiety. One postrzegają świat inaczej. To nie kobiety wypowiadają wojny innym krajom. Znają cenę życia, więc są od nas rozsądniejsze. My jesteśmy tylko myśliwymi. One zajmują się dziećmi, domem i innymi ważnymi sprawami. My walczymy, one myślą.

To jednak dla nich staramy się być bohaterami.

Valerian bywa heroiczny, ale nie jest superbohaterem. Trochę kłamie, trochę się głupia. Kiedy jednak znajduje się w sytuacji, która wymaga, by był bohaterski, bierze w ręce dwa miecze i rzuca się sam na bandę obcych, z których każdy jest od niego trzy razy większy. Łatwo się utożsamiać z taką postacią. Wiem, że gdyby ktoś zagroził mojej rodzinie, potrafiłbym zdołać się na bohatera.



skie czyny, może nawet głupie, w jej obronie, ale to nie znaczy, że jestem superbohaterem. Za to z gościem w obcisłych spodniach i pelerynie nie potrafię się utożsamiać wcale. Pytałeś o specyfikę amerykańskiego rynku – tam widzów karmi się opowieściami typu „ja, superheros, wezmę na klatę walący się wieżowiec, a ty, człowieku, stój cicho z boku i patrz”. Zupełnie to do mnie nie dociera. „Valerian” zbudowany jest na innej filozofii – bohaterem się bywa, kiedy jest potrzeba.

Co było najtrudniejsze przy pracy nad „Valerianem”? Zdarzył się taki moment, kiedy drapałeś się w głowę przy jakiejś scenie, mówiąc: „Kurczę, nie wiem, jak to zrobić”?

Nie chcę się przechwalać, ale nie było takiej chwili. Przygotowywaliśmy się tak długo i tak dokładnie, że podczas kręcenia filmu wszystko grało już doskonale. Jedynym kłopotem było to, jak utrzymać odpowiednią temperaturę emocjonalną i spójność opowieści, której akcja rozgrywa się w czasie 24 godzin, a którą my kręcimy przez siedem lat.

Co powiedzieli autorzy komiksu, kiedy zobaczyli gotowy film?

Pierre Christin powiedział, że go znokautowałem. Jean-Claude Mézières zaniemówił na 20 minut. I ja rozumiem to wzruszenie – po 50 latach oglądasz swoje dzieło na dużym ekranie, zrealizowane w takiej skali. Potem poszliśmy na drinka i gadaliśmy o filmie pięć godzin.

Czy będzie cię dalszy?

Wszystko zależy od widzów. Jeśli film im się spodoba, to będzie następny. Skończyłem już pisać scenariusz do drugiej części, mam ochotę od razu napisać trzecią.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA PIOTRA GOĆKA „KRETA SUBIEKTYWNIE”



Kreta subiektywnie – czyli wesołe zapiski dyletanta.
Przewrotna opowieść o wyspie, na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia.

- Co można robić nad zatoką, przy której tańczył Grek Zorba?
- Dlaczego król Grecji musiał nocować w wąwozie Samaria?
- Czego absolutnie nie należy mówić Kreteńczykom?
- Czy Knossos to archeologiczny Disneyland?
- Jak trafić na urodziny Giorgiosa i pozostać trzeźwym?
- Co polscy żołnierze w służbie rosyjskiego cara robili na Krecie?
- Które miasto wyspy było dumą Rzymu i dlaczego nic o tym nie wiecie?
- Dlaczego autor spacerował po Rethymnonie w górze od pidżamy, żółtych szortach i z fuksjową parasolką?

138 zł

oszczędność 81 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 82f4e782d1

Szyderstwo i wierność



Andrzej Horubała

Tylko do 6 sierpnia będzie trwać w Warszawie korespondencyjny pojedynek dwóch wystaw polskiej sztuki współczesnej: „Późnej polskości” wystawianej na Zamku Ujazdowskim i „Historiofilii” w Starej Drukarni Naukowo-Technicznej

Instalacje Jerzego Kaliny „Topos” oraz „Terrain Ahead” można oglądać na wystawie „Historiofilia”

FOT. AGATA CIOŁEK

Warto zajrzeć w oba miejsca, choć pojedynek to nierówny: sale wystawiennicze CSW, goszczące lewicową z ducha ekspozycję, to przestrzeń profesjonalna, nasyciona techniką, pozwalająca na odpowiednie wyeksponowanie dzieł, grę przestrzeni, oświetleniem, dźwiękiem, praskie sale dawnej drukarni przy Mińskiej 65, przypominające raczej jakąś salę gimnastyczną, niosą zaś skojarzenie z amatorskim przedsięwzięciem z przypadkowym światłem i chaotycznym układem dzieł.

BEZRADNOŚĆ TWÓRCÓW

A jednak „Późna polskość” to znak klęski artystów, którzy z przedrzeźniania symboli narodowej tożsamości próbowali uczynić dominantę swych dzieł. Obecna tu na portrecie Igora Omuleckiego, patronująca części twórców prof. Maria Janion, żałosna – niczym jakiś nadwiślański Fukuyama – w swej diagnozie o końcu paradygmatu romantycznego, buńczuczni szydercy kwestionujący religijne rytuały, artyści bezczeszczący narodowe barwy i godła pozostają bezsilni wobec potęgi zbiorowej wiary i zbiorowych mitów. I przecież widać to już od początku wystawy: witająca zwiedzających Mickiewiczowska Wielka Improwizacja w wykonaniu Gustawa Holoubka z filmu „Lawa” prezentowana na wielkim ekranie jest tak mocna, że na jej tle wiele prezentowanych w kolejnych salach dzieł współczesnych przypomina ujadanie szczeniaków wobec olbrzyma.

Wystawa „Późna polskość” nie jest wyłącznie manifestacją bezmyślnej negacji. Dialog, który twórcy ekspozycji podejmują ze zbiorowymi mitami, miewa też inspirujące i niejednoznaczne oblicze. Spierać się można o interpretację poszczególnych dzieł, a także wymowę kolejnych sal. „Oto jest głowa zdrajcy” Grzegorza Klamana ze ściętą głową Lecha Wałęsy, z której wystają jakieś kable, i cały blok dzieł ukazujących klęskę Solidarności, „Gimnastyka profana” Oskara Dawickiego czy fotografie Doroty Nieznalskiej na grobie spokrewnionego z nią Romana Dmowskiego prowokować mogłyby do ciekawych dyskusji. Nie wspominam już o przeniesionej jakby z innego wymiaru fascynującej Sali Stanisława Szukalskiego.

Dla osób pragnących odbyć pouczającą wędrowkę po meandrach polskiej sztuki krytycznej wizyta w CSW niewątpliwie może okazać się świetnym pomysłem na letni czas. Oczywiście niektórzy będą musieli przezwyciężyć wstręt, schować gdzieś głęboko poczucie dumy: sporo eksponatów po prostu obraża smak i godność, ale gdy już przejdziemy obok papieży krasnali ogrodowych, zapisu głośnej „Mszy” Żmijewskiego i gejowskich manifestacji z salą poświęconą Tęczy i nie zaleje nas krew, gdy z pobłażaniem podejmiemy do szyderczej manifestacji teatralnej „Powstanie 1944. Siedzenie 2009”, to przecież na pewno skorzystamy i z esejów filmowych przygotowanych przez Jakuba Majmura, i z prezentacji wybitnych spektakli teatralnych ostatnich lat.

Zgoda, twórcy wystawy – Ewa Gorzdek i Stach Szablowski – gdzieś tam dawali znaki otwarcia, choćby prezentując instalację Jakuba Woynarowskiego i Jakuba Skoczka „Epoka błękitu”, której towarzyszą projekcja ekstrawaganckiego tańca feretronów z Kaszub oraz lektura tekstów prymasa Wyszyńskiego zmieszanych z Gombrowiczem w wykonaniu Małgorzaty Gorol. Zauważmy, że dzieło to, które powstało przy współpracy Pawła Rojka, dawnego szefa konserwatywnych krakowskich „Pressji”, uzyskało bilet wstępu dzięki wpisaniu się w nurt autoironiczny, nieoczywisty. Za cenę braku powagi, niejednoznaczności można przejść przez sito selekcyjne. Patriotyzm czy wiara traktowane serio nie mają prawa wejścia na salony CSW, chyba że prezentowane są jako brutalne kibolskie lub quasi-faszystowskie manifestacje.

Prymas Wyszyński? Tylko zniksowany z Gombrowiczem. Papież? Jako ogrodowy krasnal, kiczowaty totem lub szkaradny pomnik (smaczku dodaje fakt, że partnerem wystawy jest Centrum Myśli Jana Pawła II).

Jest więc wystawa w Zamku Ujazdowskim dziełem mocno niepełnym, jednostronnym, de facto nieukazującym dialogu o tradycji i tożsamości.

MASYWNA SZUBIENICA

Ciekawym dopełnieniem „Późnej polskości” może się stać „Historiofilia” ukazująca dzieła zrodzone z innej wrażliwości. Gdy artyści eksponowani

w CSW podstawowym gestem swej sztuki czynili bekę z narodowych symboli i zbiorowej tożsamości, twórcy prezentowani w praskiej drukarni przez kuratora Piotra Bernatowicza kierują się przede wszystkim wiernością historycznemu dziedzictwu.

Owszem, wystawa zdaje się dość uboga, ale dzieła Zbigniewa Warpechowskiego (który odmówił udziału w wystawie w CSW, obawiając się – słusznie – iż kontekst zniekształci jego recepcję), odwołujący się do rzezi wołyńskiej „Uspiony dzwon”, „Solidaruch” czy „Flagi”, instalacje Jerzego Kaliny „Terrain Ahead” (biało-czerwona plandeka uformowana na kształt przybrudzonego zmiażdżonego kadłuba samolotu) i „Topos” (Okragły Stół jako potężna tarcza piły z zębami grozącymi zasiadającym wokół ludziom), a przede wszystkim instalacja Jacka Lilpola „Generał «Nil»” składająca się z masywnej szubienicy w skali 1:1, migających neonów z nazwiskami sprawców mordu sądowego na tytułowym bohaterze oraz protokołu wykonania wyroku śmierci, zepsułyby dobre samopoczucie kreatorom wystawy „Późna polskość”. Tak mordowano polskich patriotów. A i twórczość Nony Cyplik-Olejniczak, sięgającej do historii rodzinnej, zakwestionowałyby dość infantylne podejście do tradycji prezentowane w CSW. Bo dzieła z praskiej drukarni – szorstkie, materialne, konkretne, wspierające się na faktach, przypominające Norwidowe „Przeszłość to jest dziś, tylko cokolwiek dalej” – wywalają w powietrze nowomodne bez troskie narracje z Zamku Ujazdowskiego, upominają się o prawdę, przywołując twarze pomordowanych, konkret pogiętego biało-czerwonego kadłuba samolotu, relacje harcerzy katowanych przez stalinowskich oprawców zarejestrowane przez Grzegorza Królikiewicza czy samospalenie Ryszarda Siwca odtworzone w filmie Macieja Drygasa oraz wpisane w obraz „Gorący” Jerzego Ryszarda Zielińskiego „Jurry’ego”. Tradycja jawi się na wystawie jako coś, co nie podlega swobodnemu kształtowaniu ani obróbce, gdyż jest z prawdy. I nie da się jej dowolnie lepić, wyginać, karykaturować. Dla artysty jest wyzwaniem trudnym, ale i czyni z niego kogoś serio, a nie swawolnego Dyzia, który chce okpić przesłanie płynące z najnowszej historii, ograć je zwodem, zmyłką, konceptem.

Twórcy prezentowani w praskiej drukarni też posługują się językiem nowoczesnym, wchodzą w układy intertekstualne, grają dystansem, cytatem, dialogiem,

ale przecież realne twarze powstańców patrzące z plakatów cyklu „Warsaw ’44” Wojciecha Korkucia czy postaci wymordowanych konkretnych żołnierzy wyklętych na obrazach Ignacego Czwartosa pokazują, że historia i dziedzictwo nie są sferą czystej fantazji i kreacji, jak zdają się sugerować artyści w CSW.

Opozycja wobec Centrum Sztuki Współczesnej to także historia konkretnych zderzeń artystów z oficjalnymi instytucjami kultury. Ślady owego sporu odnajdujemy w programie.

„Tak pisał Jacek Lilpop o pomyśle instalacji »Generał «Nil»« w 2014 r.: Przypadkiem natknąłem się w Zachęcie na instalację poświęconą Jedwabnemu. Pomyślałem wtedy, że skoro Zachęta zainteresowana jest historią, złożę projekt instalacji odnoszącej się do postaci gen. »Nila« Fieldorfa. Ówczesna dyrektorka Zachęty pani Agnieszka Morawińska odpowiedziała, że życzy mi, abym zrealizował ten projekt, ale niestety, nie będę mógł podjąć go w Zachęcie, ponieważ terminarz wystaw jest wypełniony i zajęty na wiele lat wprzód. Podobną negatywną odpowiedź na propozycję wystawy, instalacji poświęconej gen. Fieldorfowi otrzymałem z Centrum Sztuki Współczesnej od nieżyjącego już Wojciecha Krukowskiego. Jedwabne – tak, Fieldorf – nie. Czasami ma się wrażenie, jakbyśmy wciąż żyli pod okupacją, tyle że już nie militarną czy polityczną, ale polegającą na jakiejś osobliwej, duchowej tresurze”.

Ciekawe doświadczenie z CSW miał także Jacek Adamas: „W 2010 r. – czytamy w programie – przygotował pracę »Tarcze

strzelnicze« (»Tarcze smoleńskie«). Miałą ona mówić o rozkładzie państwa pod rządami PO i PSL. W czasie, gdy artysta wiozł ją do Warszawy, usłyszał o katastrofie smoleńskiej. W ciągu czterech godzin ustawił »Tarcze strzelnicze« pod Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie z napisem »Smoleńsk«. Bardzo szybko CSW zdecydowało o usunięciu dzieła. Jak mówi artysta: Uznano, że nie można sugerować, że ja od razu rozwikłałem sprawę Smoleńska, a ona jest bardzo zawiła. No i jest zawiła do dziś”.

Katastrofa smoleńska reprezentowana na praskiej wystawie szeregiem dzieł to zupełnie inny rozdział sporu o najnowszą historię. Katastrofa zaowocowała niesamowitym wykwitem kiczu, epigoństwa, a także fałszywymi analogiami, które stawiały się samospełniającymi się prorocztwami, kreując aberracyjne postawy społeczne (uff, tak to ujmę, nie chcąc teraz rozwijać wątku).

MARZĄC O NATALII SIWIEC

Wielki zwrot ku historii i tradycji, który stał się niesłychanym doświadczeniem społecznym, rozgrywającym się mimo oficjalnej polityki, a czasem wbrew niej, sygnalizowany jest na wystawie plakatami Ruchu Higieny Moralnej, autogalerią Jacka Adamasa, zapisami akcji Naszości i próbkami komiksów Jakuba Kijuka. Nie jest to z pewnością reprezentatywne dla rozmiaru zjawiska, o spektrum znacznie szerszym, obejmującym chociażby paradoks Euro 2012. Igrzysk, które w zamyśle rządzących miały być kolejnym etapem rozpuszczania polskości w jednoczącej się Europie, a stały się manifestacją silnej identyfikacji z narodową symboliką. Gdyby dokumentować to zjawisko, należałoby umieścić na wystawie wielki fotogram Natalii Siwiec w szarym T-shircie Roberta Kupisza z orłem w koronie. Owo ujęcie ze Stadionu Narodowego definitywnie grzebało przecież pomysły modernizatorów na wymazanie polskich symboli z przestrzeni publicznej i prywatnej.

No tak, ale fotogram ów wśród ze zdjęciami pięknych Polek z wymalowanymi na policzkach polskimi barwami narodowymi, przemieszanymi z fotkami dziarskich chłopców z Marszu Niepodległości, to koncept na zupełnie inną wystawę...

Na te, które są w Warszawie, pójść na pewno warto, chociażby po to, by obudzić w sobie żywioły polemiczne.



Kuratorzy: Ewa Grządek i Stach Szabłowski, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, Warszawa



Kurator: Piotr Bernatowicz. Organizator: Narodowe Centrum Kultury, Polska Agencja Prasowa. Stara Drukarnia Naukowo-Techniczna, ul. Mińska 65, Warszawa

„PÓŻNA POLSKOŚĆ. FORMY NARODOWEJ TOŻSAMOŚCI PO 1989 ROKU”

„HISTORIOFILIA. SZTUKA I POLSKA PAMIĘĆ”



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Berlin nie zna litości



★★★★★

REŻ. DAVID
LEITCH
„ATOMIC
BLONDE”
USA 217

wyst. Charlize
Theron, James
McAvoy, John
Goodman

Rzut oka na listę płac wyjaśnia wszystko. Kiedy pod filmem jest podpisany reżyser scen akcji z „Johna Wicka”, trudno spodziewać się romantycznej komedii.

„Atomic Blonde” również jest widowiskiem typu „zabili go i uciekli”, balansującym na krawędzi pastiszu. Obsadzenie w głównej roli Charlize Theron zdawało się gwarantować profity. Aktorsko lepsza od Keanu Reevesa, sprawnością fizyczną mu dorównuje i nie jest tak nieśmiała, by ze scenariusza trzeba było wyciąć sceny erotycznych zapasów.

Rzecz dzieje się jesienią 1989 r. w Berlinie, jednak Leitch i spółka potraktowali historyczne realia dość nonszalancko. W atmosferę niezapomnianych „ejtis” wprowadzają nas piosenki katowane na okrągło w Radiu Złote Przeboje.

Fabula startuje przy dźwiękach „Blue Monday”, potem słyhać m.in. Flock of Seagulls, Nene, George’a Michaela i Davida Bowiego. Młodzików po obu stronach muru elektryzuje wieść: „David Hasselhoff jest w mieście!”.

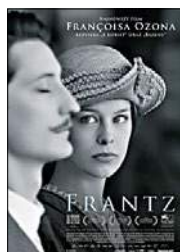
Nawet tytuł filmu oraz image bohaterki mają muzyczny rodowód. W owych czasach symbolem seksu na Zachodzie była wszak Debbie Harry, wokalistka zespołu Blondie, szturmująca listy przebojów utworem „Atomic”. Debbie spuszcza ła łomot NRD-owskim służbom i osiłkom z KGB – tak musiał wyglądać mokry sen niejednego Brytola. Niestety, doczekał się spełnienia, gdy dawni fani są już ramolami, mającymi problemy z prostatą.

Cóż sprowadziło dzielną agentkę MI6 do berlińskiego gniazda zmij? Śmierć byłego partnera oraz infor-

macja, że wąsaty oficer Stasi chce sprzedać listę agentów swojej firmy, co wprawia w istny amok wraże oraz zaprzyjaźnione wywiady. To jednak wydało się autorom filmu (a może komiksu „The Coldest City”, z którego czerpali natchnienie) zbyt proste, poszli więc ścieżką wydeptaną przez Johna le Carrégo. Szpiegdy żyją w moralnej szarej strefie, popijają stoliczną z lodem, czytają Makiawela i „Hustlera”, regenerują siły w wannie wypełnionej kostkami lodu, śpią z kim popadnie, a ich lojalność wobec Centrali pozostawia sporo do życzenia.

Logiki w tym nie ma żadnej, co sprawia, że napięcie spada, zamiast rosnąć. „Atomic Blonde” zawodzi jako thriller, choć James McAvoy jest jak zawsze uroczy. Nuży jako akcyjniak, bo reżyser zajęty obmyślanie kolejnego efektownego łubu-dubu nie wie, w którym momencie powinien spuścić kurtynę. Nic dziwnego, że w końcu podtrzymujący ją sznurek się zrywa.

Mimochodem Leitch umacnia legendę, jakoby komunizm obalono w NRD (ach, ta milionowa demonstracja antyrządowa na Alexanderplatz!). I jeśli wierzyć scenarzystom, sprawił to łebski młodzian o nic nikomu niemówiącym nazwisku Merkel. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „FRANTZ”

Jeden z najważniejszych reżyserów francuskich ostatnich dekad tym razem proponuje remake filmu Ernsta Lubitscha z 1932 r. („Broken Lullaby”), opartego z kolei na sztuce Maurice’a Rostanda. Rzecz rozgrywa się po I wojnie światowej – opłakująca utraconego ukochanego Niemka spotyka tajemniczego Francuza, który znał

jej narzeczonego przed wojną i twierdzi, że był jego przyjacielem. Film Lubitscha był mocno antywojenny, Ozon idzie w stronę melodramatu. ©© Piotr Gocięk

• „Frantz”, reż. François Ozon,
wyst. Pierre Niney, Paula Beer,
Ernst Stötzner, Francja 2016

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

• „Valerian i Miasto Tysiąca Planet”,
reż. Luc Besson, Francja/USA 2017
(nasza recenzja i wywiad z Lukiem Bessonem na str. 42 i 44)

• „Babskie wakacje”, reż. Jonathan Levine,
USA 2017

• „Piękne dni”, reż. Wim Wenders,
Niemcy 2016

Suma głupoty

Podobno żyjemy w najlepszym ze światów, ale nawet Szwecja to nie jest kraj dla sponiewieranych przez los ludzi.

Ove ma 59 lat, wygląda jednak na więcej. Na pierwszy rzut oka wydaje się zdziwaczalnym gburem. Bliźnich uważa za idiotów i co gorsza często ma rację. O rodaku, rozbijającym się audi, mówi: „Cztery zera na masce, pięta za kierownicą”. Ponieważ najlepszym samochodem, jaki stworzyła ludzkość, jest oczywiście saab.

Tylko dla leżącej w grobie żony Ove jest trochę miłszy. Zamierza do niej zresztą rychło dołączyć. Plany mieszają mu nowi niesłychanie absorbujący sąsiedzi. Kolejne retrospekcje

wyjaśniają, w jaki sposób posiadacz wielkiego serca stał się zgorzkniałym tetrykiem.

Film Hannesa Holma trafił do nas w porze wakacyjnej, niesprzyjającej egzystencjalnym komediodramatom. Kłania się „Gran Torino” Eastwooda, choć „Mężczyzna imieniem Ove” ma większe ambicje filozoficzne. Z ekranu padają stwierdzenia typu: „Nasz los to suma naszej głupoty”. Do myślenia dają też sceny bez słów: przednimi drzwiami wchodzi do kościoła nowożeńcy, tylnymi żałobnicy wynoszą trumnę z nieboszczykiem. No cóż, Skandynawowie nie od dziś mają słabość do okrutnych baśni. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. HANNES HOLM
„MĘŻCZYNA IMIENIEM OVE”
(„EN MAN SOM HETER OVE”)
SZWECJA 2015

wyst. Rolf Lassgård,
Bahar Pars,
Filip Berg



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZŁOTO INDONEZJI

Kenny Wells (Matthew McConaughey), inwestor z branży górniczej, dziedziczy firmę, która staje na progu bankructwa. Ratunkiem okazują się ryzykowna inwestycja w Indonezji i spółka z pewnym poszukiwaczem minerałów, Michaeliem Acostą (Edgar Ramirez). Pierwsza połowa filmu dużo zawdzięcza egzotycznym plenerom, w drugiej okazuje się, że dżungla Wall Street jest równie niebezpieczna jak ta indonezyjska. Znaleźć złoto to jedno, ale utrzymać kontrolę nad firmą, zdobyć inwestorów i pozostać przy zdrowych zmysłach mimo potężnego uderzenia wody sodowej do głowy to coś trudniejszego. Gdy wchodzi złóż o wartości 30 mld dol., zaczynają się machinacje finansowe i polityczne, a skrupuły idą w ką. McConaughey gra świetnie, tyle że nie wiadomo, za co lubić jego bohatera. Przedstawiany jako pionier w stylu dawnego Dzikiego Zachodu jest tak naprawdę specem od obracania cudzymi pieniędzmi. Puenta da wam do myślenia.



★★★★★

REŻ. STEPHEN GAGHAN
„GOLD”
USA 2016,
MONOLITH

wyst. Matthew McConaughey, Edgar Ramirez, Bryce Dallas Howard

PŁOTY, MURY, KATASTROFY

Coś dla cierpliwych smakoszy, bo film w reżyserii Denzela Washingtona (gra też główną rolę) to ekranizacja sztuki Angusa Wilsona z 1985 r., rzecz jest więc mocno gadana. Akcja rozgrywa się w latach 50. w robotniczej rodzinie: głowa domu to człowiek szorstki i surowy, niekryjący też urazy do świata, w którym czarni, nawet bardziej utalentowani od białych, próżno czekają na swoją szansę. Mamy też syna – wyróżniającego się futbolistę, dla którego ojciec wymarzył jednak inną karierę. Konflikt między nimi napędza akcję filmu. Washington daje popis aktorstwa. Jego Troy jednocześnie jest postacią przerażającą, słodką i tragiczną. To on jest w centrum filmu, dzieląc się mądrościami z gruntu słusznymi (bądź odpowiedzialny, nie musisz być lubiany, byle cię szanowali), ale budując z nich zupełnie fałszywą konstrukcję, która skrzywdzi wszystkich, kiedy się zawali.



★★★★★

REŻ. DENZEL WASHINGTON
„PŁOTY”
(„FENCES”)
USA 2016,
IMPERIAL

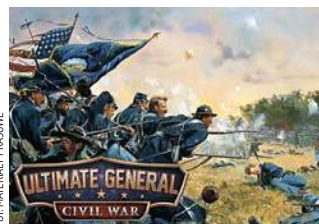
wyst. Denzel Washington, Viola Davis, Stephen Henderson

©© recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „ULTIMATE GENERAL: CIVIL WAR”

Kto lata temu grał na amidze w „North vs South”, ten zrozumie, na czym polega specyficzny urok realiów wojny secesyjnej. Dzięki firmie Game Labs w bardziej rozbudowanej i strategicznej wersji możemy przenieść się w realia starć Unii i konfederatów. Tematyka dotąd traktowana

w wirtualnej rozgrywce po macoszemu wreszcie doczekała się godnego reprezentanta. Ultimate General, choć nie zachwyca grafiką, oferuje całą paletę modyfikacji armii, manewrów oraz możliwość rozegrania historycznych bitew. Jednocześnie nadrabia to, co w podobnej serii „Total War”



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zeszło na drugi plan. Jest tu nacisk na taktykę. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Game Labs
- **Kwalifikacja wiekowa PEGI:** brak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Święty Marcin z Eisleben

Obchody 500-lecia reformacji, których kulminacja nastąpi 31 października, pół wieku od dnia, gdy – jak głosi legenda – Marcin Luter przybił swoje 95 tez do drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze, rozpoczęły się z wielkim zadęciem już w zeszłym roku. Na miejsce ekumenicznego upamiętnienia tego wydarzenia została wybrana, o dziwo, Szwecja. To do Lund, równo rok przed zbliżającą się rocznicą, przybył papież Franciszek, by podpisać tam wspólną protestancko-katolicką deklarację, stwierdzającą m.in., że protestanci i katolicy, winni byli jednako „zranienia widzialnej jedności Kościoła”.

„Trzeba przyznać – pisze w »Kryzysie i destrukcji«, wydanych właśnie szkicach o protestanckiej reformacji, prof. Grzegorz Kucharczyk – że takie sformułowanie to wyjątkowo jednostronny obraz historii. Po pierwsze dlatego, że skoro przypadająca na rok 2017 rocznica ma przypominać o początku reformacji, to należy podkreślić, że nie byłoby jej w ogóle, gdyby nie katolicy – katolicy, którzy odpadli od wiary, katolicy na swoje czasy »postępowi« (nominaliści), wreszcie ci synowie Kościoła, którzy nie oparli się pokusom chleba i władzy, a więc pokusom, którym zwycięsko oparł się Założyciel Kościoła w konfrontacji z szatanem. Po drugie, jeśli patrzeć na dalszy rozwój protestantyzmu w krajach, gdzie został zaszczerpiony, winy za pogłębienie tych ran nie są rozłożone równomiernie. Myślę tutaj o trwającym całe stulecie prześladowaniu katolików. Przykład Szwecji bardzo dobrze ilustruje obydwa te zjawiska, które skutecznie falsyfikują lundzką deklarację”.

To jednak za wzór nowoczesnego, otwartego i tolerancyjnego kraju jakże często stawia się nam Szwecję właśnie. Tę samą Szwecję, w której przez prawie dwa stulecia – XVII



FOT. WYDAWNICTWO PROHIBITA

i XVIII – wyznawanie katolicyzmu było zakazane pod karą śmierci lub banicji. Przejście na katolicyzm było tam czynem karalnym do 1860 r. A zakaz istnienia w tym kraju zakonów katolickich zniesiono dopiero w 1977 r. (!).

Reformacja opatrzona została różnymi przymiotami absolutnie jej nieprzysługującymi. Od dwóch wieków już stawiane są znaki równości między nią a renesansowym humanizmem. A to reformatorzy wyklinali astronomów – Kalwin nazywał ich szaleńcami i monstrami.

Kościół katolicki oskarżany jest o szerzenie antysemityzmu, choć to po nocy kryształowej urządzanej w 1938 r. w urodziny (!) Lutra ewangelicki bp Martin Sasse z Eisenach pisał: „10 listopada 1938 roku, w urodziny Lutra, płoną w Niemczech synagogi. [...] W tej godzinie musi rozbrzmieć głos człowieka, który jako niemiecki prorok szesnastego stulecia zaczął kiedyś jako przyjaciel Żydów, ale kierowany własnym sumieniem, doświadczeniami i rzeczywistością stał się największym antysemitą

swojej epoki, tym, który ostrzegął swój naród przed Żydami”.

Ostatni papież, a dotyczy to również Jana Pawła II, podtrzymywali tezę, jakoby tego, co nas łączy z protestantami, jest więcej niż tego, co nas dzieli. W ten sposób usprawiedliwia się herezję, przechodzi nad nią do porządku dziennego i wybiela człowieka, który nieprzypadkowo stał się w Niemczech bohaterem narodowego socjalizmu i, w NRD, państwowego komunizmu. Ekumenizm przybiera zaś dzisiaj formy wręcz wynaturzone. Trudno bowiem inaczej ocenić postępowanie metropolity monachijskiego, Reinharda Marxa, który w październiku zeszłego roku rozpoczął świętowanie (!) 500-lecia reformacji pielgrzymką do Jerozolimy, na którą wybrał się razem z prezydentem konferencji Kościoła ewangelickiego w Niemczech, Heinrichem Bedfordem-Strohmem. I, przebywając w Świętym Mieście, na Wzgórzu Świątynnym, obaj – solidarnie – zdjęli swoje krzyże napierśne, oczywiście po to, by nie ranić religijnych uczuć muzułmanów. Tego było za wiele, nawet dla takiego pisma jak „Der Spiegel”, w którym Jan Fleischhauer w artykule o tytule zaczerpniętym z Houellebecqa przypominał: „W historii chrześcijaństwa wielu ludzi umarło za to, że odrzucili właśnie takie postępowanie. [...] W kościołach są oni dzisiaj czczeni jako święci i męczennicy. Tak to już jest z wiarą: wiernym imponuje stałość, a nie kapitulacja przed obcymi potęgami”.

O właśnie, trzeba jednak dodać, że kto jak kto, ale Luter świętych katolickich porównywał do psów i świń, powtarzając, że „wszyscy jesteśmy święci”. W nagrodę kościoły anglikańskie rzeczywiście uznają go za świętego. Wypada się cieszyć, że kult ten nie obowiązuje jeszcze w Kościele rzymskokatolickim. Na razie. ©



★★★★★
**GRZEGORZ
KUCHARCZYK**
„KRYZYS
I DESTRUKCJA
SZKIELETU
PROTESTANCKIEJ
REFORMACJI”
PROHIBITA,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Niedawno temu w Ameryce

Zmarli wywierają znaczny wpływ na żywych i nie tak łatwo opuszczają ten ziemski padół” – powiada główny bohater i narrator powieści „Samotny wędrowiec”. Wie, co mówi – za młodu jego ścieżki skrzyżowały się z parą słynnych przestępców, którzy przeszli do historii jako Bonnie i Clyde. To, co ujrzał wtedy przez kilka chwil nastoletni Weldon, miało bardzo mocno zaważyć na jego życiu. A życie miał długie, pełne ostrych zakrętów i niebezpieczeństw.

James Lee Burke, autor tej pięknie napisanej i wciągającej powieści, znany jest także w Polsce przede wszystkim z cyklu o detektywie Robicheaux z Luizjany. Opowieści o półświatku Nowego Orleanu nie wyczerpują jego zainteresowań i „Samotny wędrowiec” jest tego dowodem. Nie jest to też typowy kryminał, bardziej fresk z epoki wzbogacony elementami kryminału. Weldon przechodzi kolejne losy podobne do wielu innych Amerykanów jego pokolenia:

bije się z Niemcami w Europie, przeżywa piekło, broniąc się przed kontrofensywą w Ardenach, a potem widzi piekło podczas wyzwolenia obozów koncentracyjnych. Jego ukochana jest zresztą kobietą uratowaną z obozu.

Po wojnie Weldon zabiera się do prowadzenia biznesu naftowego i to ściągą na niego kłopoty. Nie wystarczyłoby tej rubryki,

żeby wszystkie wymienić, bo Burke zongluje w tej książce mnogością elementów znanych z czarnego kryminału, są więc i podejrzana konkurencja, i rządowi agenci, i zwykli bandyci, i wreszcie ekscentryczni bogacze. Pojawia się też zepsute do cna Hollywood, będzie polityka mała i duża, będzie wątek nietolerancji i antysemityzmu (tego, którym ziały elity WASP-owskie). To spora niespodzianka dla czytelnika pamiętającego serię o detektywie Robicheaux, gdzie fabuły krojone były na dużo skromniejszą miarę. „Samotny wędrowiec” bardziej przypomina pod tym względem powieści Jamesa Ellroya przepełnione wręcz powiązanymi ze sobą wydarzeniami. Drugie podobieństwo to obfite czerpanie wątków z amerykańskiej historii najnowszej. Tak jak wspominałem: nie tyle kryminał, ile fresk z epoki.

James Lee Burke jest świetnym pisarzem (pisarzem właśnie, nie tylko autorem kryminałów); niewielu takich zostało. Oprócz

Ellroya z żyjących wypada wskazać jeszcze chyba tylko Dennisa Lehane’a. Burke jest od niego mniej znany szerokiej publiczności tylko z jednego powodu – miał mniej szczęścia do dobrych ekranizacji. Poza tym to ekstraklasa, co docenicie szczególnie pod koniec tej powieści, gdy uderza w tony znane z „Wielkiego Gatsby’ego”. ©



★★★★★
REŻ. JAMES LEE BURKE
„SAMOTNY WĘDROWIEC”
PAPIEROWY
KSIĘŻYC 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Epicka saga o Polakach na kresach. Nowa powieść historyczna Polki mieszkającej w USA opowiada o wydarzeniach poprzedzających bestsellerowe „Żniwa gniewu”. Bohaterowie ci sami – rodzina Góreckich.



LUCIE DI ANGELILLO
„ZAPISKANE W GWIAZDACH”
ZYSK I S-KA

Były funkcjonariusz CIA przekłada swoją wiedzę na codzienne życie. Czyli jak reagować w chwili zagrożenia, jak unikać inwigilacji, jak być bezpiecznym w podróży, jak chronić swój dom, jak reagować na fizyczny atak. Pożyteczne.



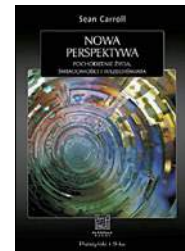
JASON HANSON
„SEKRETY SZPIEGÓW”
HELION EDITIO BLACK

Arcyciekawa nowość w serii „Arkana historii” – 12 esejów o koncepcjach ideologiczno-terytorialnych naszych sąsiadów (od Masyryka do Dugina). Wywód kluczowy dla zrozumienia politycznych wyborów Ukrainy, Rosji i Czech.



PIOTR EBERHARDT
„SŁOWIAŃSKA GEOPOLITYKA”
ARCANA

Podtytuł: „Pochodzenie życia, świadomości i Wszechświata”. Autor – uznany kosmolog i fizyk – opisując kosmos, podkreśla, jak wyjątkową istotą jest człowiek. Niestety, skazaną na niewiedzę – bo natury pojąć nie damy rady.



SEAN CARROLL
„NOWA PERSPEKTYWA”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

© poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Remigiusz Mróz „Czarna Madonna”** (Czwarta strona) – najpłodniejszy autor polskich kryminałów idzie w międzynarodowy thriller.
2. **Joanna Bątkiewicz-Brożek „Jezu, Ty się tym zajmij!”** (Esprit) – biografia mistyka o Dolindo Ruotolo, szczególnie cenionego przez o. Pio.
3. **Anita Głowińska „Kicia Kocia to moje”** (Media Rodzina) – nowa książeczka z popularnej serii dla najmłodszych.
4. **Nela „Nela i tajemnice oceanów”** (Burda NG Polska) – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.
5. **Anna Kamińska „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci”** (Wydawnictwo Literackie) – biografia najśłynniejszej polskiej alpinistki, pierwszej Europejki na szczycie Mont Everestu.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Bonito.pl)



KONTRA/BASEM

Polskie misje

Amerykanie mają swój gospel, w Australii narodziła się zielonoświątkowa wspólnota muzyczna Hillsong, polskim ruchem ewangelizacyjnym, w którym muzyka odgrywa (odgrywała) znaczącą rolę, jest Oaza.

Ruch Światło-Życie wniósł do naszych parafii gitarowe piosenki, często łączone z animacją i ze wspólnotową zabawą. Chociaż większość tych utworów nie powstawała z myślą o liturgii, ich ogromna popularność sprawiła, że wdarły się do kościołów jako oprawa muzyczna mszy. Natomiast w latach 90. w przestrzeni polskiego Kościoła pojawiło się całkiem nowe zjawisko. Zafascynowani brzmieniem czterogłosowych śpiewów z Taizé młodzi polscy

kompozytorzy, najpierw przy duszpasterstwach akademickich, potem już w wielu innych grupach, zaczęli pisać własne pieśni. Część z nich zebrana w śpiewnik „Niepojęta Trójco” stała się zaczynem odnowy liturgicznej w Polsce. Właśnie tam pierwsze kompozycje zamieścili: Piotr Pałka, Jacek Sykulski i Paweł Bębenek. W kolejnych tomach dołączyli: o. Dawid Kusz, Hubert Kowalski i wielu innych.

Ten nowy żywioł, pięknem czterogłosowych brzmień, najpierw porwał młodzieżowe schole, a przez nie wiernych w kościołach. Duszpasterska skuteczność mierzona frekwencją na mszach właśnie z tak troskliwie przygotowaną oprawą liturgiczną sprawia, że twórcy zapraszani są do wielu

parafii, które też chcą się tak modlić. Z czasem ten nasz polski wynalazek przekroczył granice.

Warsztaty muzyczne pod kierunkiem wymienionych kompozytorów organizowane są wszędzie tam, gdzie działają polskie parafie i polskie misje katolickie, zachwycając i wnosząc życie do kościołów w Irlandii, Anglii, Belgii, Niemczech, we Francji, a także na wschodzie na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Inicjatywa warsztatów na Ukrainie, Białorusi, na Litwie i Łotwie ma oprócz religijnego wymiaru także wymiar dodatkowy. Tam obecność naszych muzyków, dyrygentów, chórzystów, cykliczne warsztaty i praca z młodzieżą są bardzo potrzebnymi znakami pamięci o tych, którzy pozostali. ©©



Próba chóru pod dyktando Jacka Sykulskiego
FOT. PRZEMYSŁAW GRAF/REPORTER



GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Czas powstania

Jak co roku Muzeum Powstania Warszawskiego patronuje płycie opartej na twórczości uczestników sierpniowego zrywu. Tym razem otrzymujemy 11 wierszy Anny Świrszczyńskiej w interpretacji wokalistki jazzowej Moniki Borzym.

Poetka, znana przede wszystkim jako autorka utworów dla dzieci i młodzieży, w sierpniu 1944 r. miała 35 lat. Świrszczyńska wzięła udział w powstaniu jako sanitariuszka. Zmarła w 1984 r.

– Wiersze z płyty układają się w opowieść o przestrzeni wolności w człowieku i o samostanowieniu, i to było dla nas bardzo pociągające – tłumaczy reżyserka Agnieszka Glińska, która dokonała wyboru tekstów na płytę.

27-letnia Monika Borzym od siedmiu lat mieszka w Los Angeles i pewnie dzięki temu na płycie słycać gitary Mitchella Longa, specjalisty od world music, i samego Johna Scofielda. Jest też Wojciech Waglewski, z którym wokalistka wykonała przejmujące „Bardzo smutną rozmowę nocą”. Monika śpiewa spokojnym czystym głosem pozbawionym zbędnej egzaltacji. Dzięki temu przesłania Świrszczyńskiej robią tym większe wrażenie. Pierwszoplanową postacią tego projektu jest też pianista Mariusz Obijalski, który skomponował stonowaną, a zarazem głęboko przemysłaną muzykę, w której każdy dźwięk oraz instrumentacje na fortepian, smyki czy sekcję dętą podporządkowane są nastrojowi płyty. ©©



★★★★★
MONIKA BORZYM
„JESTEM
PRZESTRZENIĄ”
MUZEUM
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO



★★★★★
**DZIECI KAPITANA
KLOSSA**
„SYF BAŁTYCKI”
PASAŻER

Ich melodyjny punk z ironicznymi tekstami podbił widzów Jarocina '85. „Pieśń o bohaterze” stała się przebojem. Zespół nie przetrwał, Olaf Deriglasoff jest wciąż ważną postacią alternatywy. Nagrania koncertowe z lat 1985–1986 nadal mają czar. ©©



★★★★★
IMAGINE DRAGONS
„EVOLVE”
INTERSCOPE

Album dotarł do drugiego miejsca listy „Billboardu”. „Pozbawiony życia stadionowy rock zabarwiony elektroniką” – napisał „Guardian”. Tak, trzeci album Amerykanów to typowa obecnie muzyczna dewolucja na tropie Coldplay. ©©



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Dywersanci 1863

Ciekawy zbiór tekstów poświęconych insurrekcji z 1863 r. Jest tu wszystko, co być powinno. Rozważania o powstaniu styczniowym na tle XIX-wiecznej gry mocarstw; artykuły o roli, jaką w 1863 r. odegrali Żydzi i Kościół katolicki; materiały o carskich represjach i polsko-polskich sporach o ocenę tragicznego zrywu.

Spośród wszystkich tych tekstów najbardziej wyróżnia się jednak błyskotliwy artykuł Andreja Kisztykowa o tym, jaki wpływ na przebieg powstania miał... rozwój sieci kolejowej. Wreszcie coś nowego!

Autor zatytułował swój tekst „Pierwsza bitwa o szynę”. Okazuje się bowiem, że od samego początku w planach powstańców kolej odgrywała olbrzymią rolę. Rozumieli oni, że muszą sparaliżować połączenie kolejowe Królestwa Polskiego z Rosją, aby odciąć carską armię od zaopatrzenia i posiłków.

W tym celu powstańcy dokonali licznych akcji dywersyjnych. Rozkręcali tory, wysadzali w powietrze mosty, wykolejali lokomotywy, zrywali linie telegraficzne. Udało im się nawet zdobyć dworzec w Grodnie. Wielu kolejarzy pracujących na słynnej linii warszawsko-petersburskiej

czynnie zaangażowało się w insurrekcję.

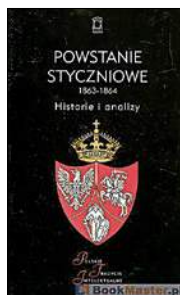
Rosyjskie władze podjęły zaś energiczne kroki zmierzające do „obrony torów”. Linie kolejowe patrolowali kozacy, a chłopów zmuszono do wykarczowania rosnących wzdłuż nich drzew i zarośli. Silne posterunki obsadziły mosty. „Rok 1863 – pisze autor – ale jakże przypomina 1943! Pułki ochraniające kolej, bunkry, blokhausy, puste platformy przed parowozem, przesieki wzdłuż nasypu...”.

Wszystkie te działania były uzasadnione i skuteczne. Według rosyjskich ekspertów zdławienie powstania zabrałoby znacznie więcej czasu, gdyby nie kolej petersbursko-warszawska.

„Na początku lat 60. XIX w. – pisze Andrej Kisztykow – po raz pierwszy w historii kolej stała się areną walki zbrojnej i realnie wpłynęła na jej przebieg. Od samego początku była

to nierówna bitwa. Z jednej strony stała potężna machina wojskowo-biurokratyczna Imperium Rosyjskiego, pieczołowicie doskonalona przez półtora wieku samodzierżawia, z drugiej natomiast – trzecie pokolenie spadkobierców szlacheckich swobód Rzeczypospolitej”.

Tak, niestety ta wojna musiała się skończyć naszą klęską. ©©



★★★★★
„POWSTANIE
STYCZNIOWE
1863-1864.
HISTORIE
I ANALIZY”
OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powstańcza tajemnica

Jednocześnie z wybuchem powstania w lewobrzeżnej Warszawie rozpoczęły się walki na Pradze. Tam jednak wydarzenia przebiegały według innego scenariusza i do dziś właściwie nie udało się w pełni odtworzyć przebiegu wypadków.

Prascy powstańcy uderzyli na kilkanaście umocnionych miejsc i niemal wszędzie

przy Żąbkowskiej oraz gmach Centralnej Dyrekcji Kolei Państwowych przy Targowej), nie udało się jednak opanować dworców ani przyczółków na mostach. Okupanci kompletnie rozbili oddział oddelegowany do przejścia mostu na Kanale Żerańskim.

„Papież” wiedział, że plan zaskoczenia wroga się nie powiódł, jego podwładni nie mieli broni, a Sowieci nie nadchodzili. Tylko on z grona wyższych oficerów AK zachował rozsądek. Wiele lat później stwierdził, że czuł się „odpowiedzialny nie tylko za los żołnierzy, lecz także ludności cywilnej”. Planował wyzwolenie Pragi „w ciągu trzech dni”, a kiedy to się nie powiodło, zdecydował się „na przerwanie walki”.

Sjuż drugiego dnia. Zginęło ok. 500 powstańców, co wystarczyło do ostudzenia bitewnych emocji. Do akcji przystąpili księża z parafii Najczystszego Serca Maryi przy pl. Szembeka, biorąc na siebie rolę pośredników w rozmowach z Niemcami. Zawarto porozumienie, że powstańcy rozejdą się do domów, w zamian zaś nie będzie represji. Obie strony dotrzymały słowa.

W połowie września na Pragę wkroczyli Sowieci i oddziały LWP. Aresztowano ujawniających się członków AK, zatrzymano również płk. Żurowskiego. Skazano go na karę śmierci, został jednak odbity z więzienia. Pod fałszywym nazwiskiem ukrywał się aż do 1958 r., wtedy dopiero uchylono wyrok na człowieka, który ocalił Pragę od rzezi. ©©

Na Pradze zginęło blisko 500 powstańców

bezsukcesie. Mieczysław Floręcki, który mieszkał na Saskiej Kępie, wspominał po latach: „Koło szóstej [po południu] 1 sierpnia 1944 r. usłyszałem, że [...] coś się dzieje. Za Wisłą była coraz większa strzelanina, z dachu widać było dymy. A tu naraz zaczęła strzelać małokalibrowa artyleria przeciwlotnicza, którą Niemcy ustawili na wlocie mostu Poniatowskiego. Tylko że żadnych samolotów nie było. [...] Koło ronda Waszyngtona słychać było coraz większą strzelaninę. Po godzinie, może dwóch, ucichła. Głośno też było przy końcu ulicy Walecznych”.

Pułkownik Antoni Żurowski („Papież”), dowodzący miejscowymi oddziałami AK, miał trudniejszą sytuację niż jego koledzy za Wisłą. Praga stanowiła bowiem bezpośrednie zaplecze frontu i stacjonowały tam doświadczone oddziały liniowe. Wprawdzie osiągnięto pewne sukcesy (zdobyto mennicę i stację telefonów

Strzyżenie Polaków



6 lipca na Zamku Królewskim w Warszawie zorganizowano Szczyt Inicjatywy Trójmorza. Gościem specjalnym był prezydent USA Donald Trump. FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS



Tomasz Kwaśnicki

Trójmorze „sprzedawane” nam jako projekt nieomal mocarstwowy w rzeczywistości może nosić wszelkie symptomy ordynarnego stosunku kolonialnego

Gdyby Trójmorze faktycznie było jedynie projektem „infrastrukturalno-gospodarczym, a nie politycznym” – jak nas przekonuje prezydent Andrzej Duda – wówczas należałoby mu zapewne jedynie przyklasnąć, a nie czynić z niego temat publicystycznego komentarza. Ostatecznie coś może być bardziej naturalnego niż zacieśnianie współpracy gospodarczej z krajami takimi jak Węgry, Słowacja, Czechy, Chorwacja i Rumunia? Gdyby istotnie tak było, to poza kilkoma matematycznymi obliczeniami, potwierdzającymi opłacalność przedsięwzięcia, na temat Trójmorza nie dałoby się napisać niczego więcej niż: „Dobra

robotą chłopaki, tak trzymać”. Tymczasem słowem prezydenta RP przeczy nawet jego minister Krzysztof Szczerski, podkreślając, że w projekcie „najważniejsze jest przesłanie polityczne”. Również drugi z motorów napędowych projektu, prezydent Chorwacji Kolinda Grabar-Kitarović, uważa, że Trójmorze ma doprowadzić do uczynienia z Europy Środkowo-Wschodniej „wspólnoty interesów, która będzie zdolna do zadbania o swoje bezpieczeństwo i interesy polityczne, energetyczne i gospodarcze”. Zgódźmy się zatem, że Trójmorze nie jest niczym innym, jak tylko kolejną mutacją dobrze nam już znanego Międzymorza.

GRA NA LITWĘ

„O tej koncepcji myślę jednocześnie z rozczuleniem i melancholijnym rozrzwinięciem” – pisał niegdyś o Międzymorzu Stanisław Cat-Mackiewicz. Siedemdziesiąt lat później dokładnie te same uczucia towarzyszą nam, gdy myślimy o idei Trójmorza. Spoglądamy na nią „z melancholijnym rozrzwinięciem”, bo któryż polski patriota nie życzy Rzeczypospolitej powrotu do mocarstwowej pozycji, ogarnia nas jednak w najlepszym wypadku „rozczenie”, gdy dostrzegamy kruchość fundamentów, na

których owa mocarstwowość miałaby się opierać.

Trójmorze swoją popularność zawdzięcza bowiem skojarzeniu z obietnicą prowadzenia polityki nie tylko „podmiotowej”, lecz także „mocarstwowej”. Tymczasem po dokładniejszym zbadaniu sprawy okazuje się, że to, co się za tą piękną nazwą skrywa, może nie mieć niczego wspólnego nawet z „podmiotowością”.

„Branie mapy, przeprowadzanie na niej ołówkiem jakichś linii nie może jeszcze dawać podstawy do żadnych politycznych kombinacji – przestrzegali przy innej okazji cytowany wyżej Mackiewicz. – W ten sposób można wykreślić także linię od Abisynii pod Częstochową, wymyślić nazwę: »Czarno-Białe« i twierdzić, że się stworzyło jakiś system koalicji kulturalno-polityczno-obronnych”.

Dostrzegając tę trudność, inicjatorzy Trójmorza jak najślusniej starają się napełnić lansowaną przez siebie formułę jakąkolwiek treścią. Sztandarowymi projektami mają być Via Carpatia oraz połączenie gazowe północ-południe między terminalami w Świnoujściu i na chorwackiej wyspie Krk. Budowa drogi ekspresowej łączącej nasze wschodnie

województwa z portami położonymi nad Morzem Czarnym i Morzem Śródziemnym bez wątpienia służy naszym interesom i zasługuje na wszelkie możliwe pochwały i poparcie, odrębną kwestią pozostaje jednak, dlaczego droga ta ma się kończyć w litewskiej Kłajpedzie, obcym porcie przeładunkowym, konkurującym z naszymi portami na Bałtyku? Czy polskie władze są tak pewne pozycji portu gdańskiego, że nie boją się litewskiej konkurencji w warunkach, w których Gdańsk będzie tak samo, a najprawdopodobniej o wiele gorzej, skomunikowany z innymi krajami Trójmorza niż Kłajpeda? Czy Litwa, państwo w najlepszym wypadku nam nieżyczliwe, zasłużyła sobie na taki prezent ze strony Rzeczypospolitej?

Nie znając kulis projektu, mogę jedynie domniemywać, że taki, a nie inny przebieg drogi został na nas wymuszony przez jakieś obiektywne uwarunkowania. O wiele bardziej prawdopodobne wydaje mi się jednak, że polskie władze po raz kolejny popisały się przed litewskim partnerem szerokim pańskim gestem, jak to już nieraz bywało czy to w przypadku Możejek, gdy Orlen postanowił się finansowo wykrwawić w imię obrony litewskich interesów, czy to w przypadku mostu energetycznego, gdy staliśmy się de facto głównym sponsorem litewskiej infrastruktury, na której Litwa będzie dodatkowo zarabiała (eksportując energię do Polski), czy to w przypadku misji Baltic Air Policing, w której ramach zmuszeni jesteśmy płacić Litwie za możliwość ochrony jej przestrzeni powietrznej (opłaty za korzystanie z bazy w Szawłach).

Przykład stosunków polsko-litewskich jest papierkiem lakmusowym w jaskrawy sposób unaoczniającym niekompetencje polskich elit. Dlatego nie powinniśmy z góry zakładać, że nasi przywódcy będą w stanie zabezpieczyć odpowiednio polskie interesy w ramach szerszego bloku politycznego, jakim ma być Trójmorze.

JAK AMERYKAŃSKA KOLONIA

Pomni smutnego losu Troi, myśląc o Trójmorzu, najbardziej powinniśmy się lękać naszych amerykańskich przyjaciół, niosących nam w darze amfory pełne skroplonego gazu. Już dziś, według niektórych źródeł, płacimy Gazpromowi najwyższe ceny w Unii Europejskiej, tymczasem rzekomo tani amerykański gaz LNG, mający nam dać upragnione „bezpieczeństwo energetyczne”, po skropleniu, transporcie i ponownej gazyfikacji ma być jeszcze droż-

szy od rosyjskiego (zdaniem niektórych ekspertów nawet o 70 proc.). Według przecieków medialnych przedstawiciele rządu są skonsternowani cenami przedstawionymi przez amerykańskich negocjatorów i zaczynają nieśmiało studzić rozbudzone wcześniej przez siebie oczekiwania.

Konsternacja naszych negocjatorów to oczywiście dobry symptom, obawiam się jednak, że krótkotrwały, a przede wszystkim wynikający ze świadomości, iż Polska ostatecznie i tak zostanie „zmuszona” do podpisania długoterminowych umów, w których ramach będziemy bezlitośnie, po zbójce i w biały dzień, grabieni, gdyż ani fizyka, ani obecne technologie nie pozwalają wielkiego pola do negocjacji w tej sprawie. Amerykanie szykują się na polskie portfele i to, że jesteśmy ich sojusznikami, nie ma tu nic do rzeczy. „Sprzedadzą” nam swój horrendalnie drogi gaz, w zamian zapewniając „bezpieczeństwo”.

Ostrzeżenie Polski przyjdzie Amerykanom tym łatwiej, że opinia publiczna nad Wisłą sterroryzowana jest strachem przed rosyjskim zagrożeniem. Świącie wierzymy, że kilka amerykańskich batalionów zapewni nam bezpieczeństwo, że gdyby nie one, Putin już za chwilę rozjechałby Nizinę Środkowoeuropejską pancernymi zagonami. Wystarczy, by Amerykanie zagrozili wycofaniem swoich żołnierzy ze „wschodniej flanki”, aby ministrowie Waszczykowski i Macierewicz zbledli jak ściana. Dlatego trudno mi sobie wyobrazić, że cokolwiek jest dziś w stanie uratować pieniądze polskich podatników. Te fundusze są dziś o wiele bardziej potrzebne naszemu wielkiemu sojusznikowi, który z ich pomocą zamierza stworzyć 45 tys. nowych miejsc pracy przy dynamicznie rozwijającej się gałęzi gospodarki, jaką jest eksport gazu LNG.

Okazuje się zatem, że Trójmorze „sprzedawane” nam jako projekt nieomal mocarstwowy w rzeczywistości może nosić wszelkie symptomy ordynarnego stosunku kolonialnego, przynajmniej jeśli chodzi o udział Amerykanów w tym przedsięwzięciu. Nic dziwnego zatem, że niewiele krajów Europy Środkowej pisze się na taki interes. Bułgaria 100 proc. swojego gazu sprowadza z Rosji po korzystnej cenie, od 2013 r. stale zwiększając import rosyjskiego surowca. Co więcej, kraj ten chce wrócić do budowy rurociągu South Stream. Węgry podpisały z Gazpromem porozumienie o uruchomieniu nowego szlaku dostaw gazu na dzień przed wizytą Trumpa w Warszawie, co najprawdopodobniej nie

było dziełem przypadku, lecz zamierzoną demonstracją. Słowacja zawarła porozumienie z Rosją i wycofała się z protestów przeciwko Nord Stream II. Czechy również uczestniczą w tym projekcie, a Gazprom już rok temu otworzył w tym kraju magazyn gazu na potrzeby drugiej nitki „Północnego Potoku”. Firma OMV, obsługująca większość sektora gazowego w Austrii, jest jednocześnie jednym z pięciu zachodnich inwestorów projektu Nord Stream II.

CENA ZDROWEGO ROZSĄDKU

Przy okazji nad Wisłą powtarza się scenariusz znany z czasów, gdy decydował się los tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Wówczas również rozmaici politycy, media, eksperci i publicyści przemawiali w sposób niedwuznacznie sugerujący, że umieszczenie tarczy w Polsce należy do najżywotniejszych interesów Rzeczypospolitej. Przypuszczam, że i dziś większość moich rodaków jest przekonana, że amerykańska tarcza chroni nasze terytorium. Nie byłoby więc żadną sensacją, gdyby pewnego dnia się okazało, że za umieszczenie w Polsce instalacji, która z polskim bezpieczeństwem ma tyle wspólnego, że je naraża, jeszcze czymś sojusznikowi zapłaciliśmy. Uważam nawet, że sytuacja, w której sami musimy zabiegać o możliwość bycia wykorzystanym przez Stany Zjednoczone, jest wręcz modelem dla stosunków polsko-amerykańskich. Nie dziwi zatem, że także dziś prof. Chodakiewicz wzywa nas, byśmy „działaniami dyplomatycznymi, rządowymi i prywatnymi” doprowadzili do tego, „aby USA – w ramach wieloletniego kontraktu – zgodziły się zdominować europejski rynek energii ze wszystkimi tego implikacjami”. Co jest o tyle niezrozumiałe, że Amerykanie od kilkudziesięciu lat starają się wszelkimi możliwymi sposobami „zdominować europejski rynek energii ze wszystkimi tego implikacjami”.

Z wezwaniami polskiego uczonego kontrastują słowa węgierskiego premiera, komentującego propozycję złożoną przez Trumpa Europie Środkowej: „Oba [źródła energii – przyp. TK.] są dla nas dostępne. Jesteśmy klientami, więc pozwólmY sprzedawcom gazu w Europie konkurować o nasze pieniądze. Będziemy kupować najtańszy gaz”. Za tę bezpretensjonalną prostolinijność i zdrowy rozsądek Węgry płacą wysoką cenę chłodnych relacji ze Stanami Zjednoczonymi.



FOT. MICHAŁ DJUJ/FORUM

Andrzej Talaga

Nic tak nie spaja przyjaźni jak wspólne interesy. Zasada ta dotyczy także stosunków polsko-amerykańskich

Geopolityczny dar losu

Na razie to Polska jest petentem, a Stany Zjednoczone darczyńcą. Obecność amerykańskich sił zbrojnych na polskiej ziemi ma bowiem fundamentalne znaczenie dla naszego bezpieczeństwa, dla USA zaś jest jedynie opcją, którą można kontynuować lub zawiesić. Ten nierówny układ zmieniłby się wraz z importem amerykańskiego gazu skroplonego do Polski. Z petenta stalibyśmy się cenionym klientem. Kupując go w USA, niejako „zapłacimy” Ameryce za ochronę.

Pojawił się promyk nadziei w tej sprawie. To przybycie w czerwcu do gazoportu w Świnoujściu pierwszego amerykańskiego tankowca z LNG oraz deklaracja prezydenta Trumpa podczas wizyty w Warszawie, że chce uczynić z eksportu gazu narzędzie uniezależnienia centralnej Europy od energetycznego szantażu Rosji. W powiązaniu z inicjatywą Trójmorza, która ma być projektem nie tyle politycznym, ile gospodarczym, głównie energetycznym, tworzy to podwaliny układu gospodarczo-militarno-energetycznego, który zmieni geopolitykę Europy Środkowo-Wschodniej, o ile

się powiedzie. Wiele w tej inicjatywie znaków zapytania i niepewności, ale kierunek jest obiecujący.

ŁUPKOWE ELDORADO

Dwa elementarne czynniki sprawiają, że koncept gazowej współpracy Polski i USA może się powieść. Pierwszy – Ameryka chce eksportować gaz płynny na masową skalę, drugi – Polska chce kupować gaz inny niż rosyjski, by docelowo uniezależnić się energetycznie od Moskwy.

Zacznijmy od pierwszego, bo to nowość na światowej szachownicy. Polska już od lat 90. myśli o niezależności gazowej, ale nie bardzo nam to wychodzi, USA chcą zaś zalać świat swoimi węglowodorami dopiero teraz. Tak zwana rewolucja łupkowa, a więc tanie i masowe wydobywanie ropy naftowej i gazu z łupków skalnych, uniezależniło Amerykę od importu surowców energetycznych, co przełożyło się na boom przemysłowy w USA. Produkcja stała się opłacalna, bo tania jest napędzająca ją energia.

Prezydent Obama niechętnie udzielał koncesji na eksport LNG, bo jego admi-

nistracja obawiała się, że wzrosną ceny gazu na rynku wewnętrznym, co spowolni rozwój gospodarki. Trump przyjął całkowicie inną optykę, uznał sprzedaż gazu za granicę za koło zamachowe gospodarki, przede wszystkim dzięki inwestycjom w infrastrukturę. Nie przejmuje się też ograniczeniami ekologicznymi. W rezultacie stoimy przed nową erą surowcową. Bliski Wschód przestaje być światową stacją benzynowo-gazową, a Ameryka staje się nowym mocarstwem energetycznym.

„Jesteśmy tu po to, by rozpocząć nową politykę energetyczną Ameryki. Będziemy eksportować amerykańską energię na cały świat. Będziemy panować. To wszystko właśnie się rozpoczyna. Uwierźcie mi, złota era Ameryki właśnie się rozpoczyna” – zapowiedział Trump podczas przemówienia w Departamencie Energii. Słowa te były szeroko cytowane przez światowe media. Nie bez przyczyny, gdyż są one wyzwaniem rzuconym dotychczasowym potęgom energetycznym: Rosji i państwu OPEC.

Wydobywanie gazu łupkowego w USA rośnie w fenomenalnym tempie. Według

raportu US Energy Information Administration „Annual Energy Outlook 2013” amerykańska produkcja gazu naturalnego zwiększy się do 2040 r. do niemal 1 bln m sześć. Rocznie właśnie dzięki przyrostowi wydobywania gazu łupkowego, które ma sięgnąć 472 mld m sześć. (dla porównania w 2012 r. było to 291 mld m sześć., a w 2008 – 81 mld m sześć.). W tymże roku 2040, jak podaje z kolei Międzynarodowa Agencja Energii, światowa sprzedaż gazu LNG przewyższy sprzedaż gazu transportowanego rurociągami.

Potencjał amerykańskiego eksportu gazu LNG jest oceniany na 180 mld m sześć., już w ciągu trzech najbliższych lat USA mają eksportować do 90 mld m sześć. gazu rocznie. Obecnie w Ameryce działa jeden eksportowy terminal LNG, firmy energetyczne zgłosiły jednak projekty budowy kolejnych 17, z czego 11 zostało zaakceptowanych – jak podaje Federalna Komisja Regulacji Energii (FERC), a cztery z nich są już w budowie. Ten biznes jest opłacalny i ma wsparcie administracji Trumpa, będzie więc rozwijany, głównym zaś kierunkiem eksportu gazu stanie się Europa, bo dwie inne potęgi LNG – Australia i Katar – sprzedają głównie do Azji, ta pierwsza nawet 90 proc. eksportu.

ROSJA SIĘ NIE PODDA

W tym momencie pojawia się problem absorpcji, czyli na ile Europa jest zdolna do przyjmowania takich ilości gazu transportowanego morzem. Na razie nie jest, brakuje terminali i sieci przesyłowych. Na Starym Kontynencie wciąż dominuje gaz ziemny transportowany rurociągami z Rosji, Afryki Północnej i Morza Północnego. Inna kontrowersja to cena. Gaz amerykański musiałby być tańszy nie tylko od konkurencyjnego LNG z Kataru, lecz przede wszystkim od gazu przesyłanego gazociągami, a to będzie trudno osiągnąć, tym bardziej że Rosja jest gotowa do daleko idącej elastyczności cenowej, byle utrzymać rynek europejski. Dąży także do budowy nowych sieci przesyłowych pomijających niepewne państwa tranzytowe: Ukrainę, Białoruś i Polskę, na północy (Nord Stream II) i południu (gazociąg przez Turcję i Bałkany).

Amerykanie dobrze rozumieją zasadniczą rozbieżność swoich interesów z rosyjskimi, wiedzą, że Rosja jest gotowa na wojnę o utrzymanie rynku zbytu gazu w Europie. W czerwcu Lamar Smith,

przewodniczący Komitetu ds. Nauki, Kosmosu i Technologii Izby Reprezentantów, oraz Randy Weber, przewodniczący Podkomitetu ds. Energii, wysłali do sekretarza skarbu Stevena Mnuchina list z prośbą o rozpoczęcie śledztwa w sprawie rosyjskich działań przeciwko amerykańskiemu sektorowi gazu i ropy pozyskiwanych z łupków.

Ich zdaniem Rosjanie próbują poprzez finansowanie różnych organizacji ekologicznych wpływać na rynek energii w Stanach Zjednoczonych. Chodzi o sieć finansowania za pośrednictwem spółek zarejestrowanych na Bermudach. Kongresmeni podają przykład spółki Klein Ltd., która miała przekazać dziesiątki milionów dolarów fundacji Sea Change Foundation, ta z kolei fundowała z nich granty na działania utrudniające eksploatację węglowodorów z łupków.

POTRZEBNA ZGODA NARODOWA

Z perspektywy USA obiecującym odbiorcą gazu płynnego jawi się Europa Środkowo-Wschodnia, w tym Polska. Dynamiczny rozwój gospodarczy regionu, powyżej średniej unijnej, pozwala zakładać, że w kolejnych latach będzie w nim rosło zapotrzebowanie na gaz. Co więcej, wiele państw chce się uniezależnić od dostaw z Rosji, co dodatkowo buduje potencjalny popyt, choć inne – np. Węgry i Słowacja – rozwijają współpracę energetyczną z Moskwą.

**Amerykanie wiedzą,
że Rosja jest gotowa
na wojnę o utrzymanie
rynku zbytu gazu w Europie**

W obszarze Trójmorza powstały już terminal odbioru LNG w polskim Świnoujściu oraz kolejny w litewskiej Kłajpedzie, trzeci jest budowany na chorwackiej wyspie Krk. To duży postęp, ale i tak stanowczo za mało, by myśleć o rezygnacji z rosyjskiego gazu z rurociągów, który nadal zaspokaja ponad 70 proc. potrzeb gazowych państw trójkąta Adriatyk-Bałtyk-Morze Czarne. Potrzebne są kolejne gazoporty o dużej przepustowości oraz łączące je sieci przesyłowe. Taki cel przyświeca m.in. inicjatywie Trójmorza, której kręgosłupem byłby rurociąg łączący Krk ze Świnoujściem biegnący przez

wszystkie państwa po drodze między Adriatykiem a Bałtykiem.

Nasz region nie jest przygotowany infrastrukturalnie na zalew amerykańskiego gazu. Obecną niewydolność dobrze obrazuje przykład Polski. Świnoujście może przyjmować 5 mld m sześć. gazu rocznie, a Polska zużywa prawie 15 mld m sześć., czyli gazoport jest w stanie zaspokajać ledwie jedną trzecią naszych potrzeb, a co dopiero mówić o reeksporcie. Przepustowość Świnoujścia ma wprowadzić docelowo wzrosnąć do 7,5 mld m sześć., jednak to wciąż za mało. W kręgach rządowych słychać o planach budowy nowego gazoportu w okolicach Gdańska, ale sprawa nie wyszła poza wstępną koncepcję. Na marginesie – nie ma też żadnych prac wykonawczych w zakresie gazociągu z Norwegii przez Danię. Prawdziwa niezależność od Rosji oznaczałaby powstrzymanie się od kupowania od niej gazu bezpośrednio, a także pośrednio idącego przez interkonektory z Niemcami i Czech. Krajowe wydobywanie raczej nie wzrośnie, problem rozwiązałyby więc jeszcze jeden pełnowymiarowy terminal LNG i gazociąg z Norwegii, ale to skala inwestycji przerastająca polskie możliwości.

Projekt pozyskiwania gazu LNG z Ameryki (o ile wynegocjowalibyśmy korzystną cenę) i zaspokajania nim nie tylko potrzeb wewnętrznych, lecz także państw ościennych dzięki rozprowadzaniu surowca, miałyby daleko idące konsekwencje geopolityczne, gdyby został zrealizowany. W rzeczywistości odciąłby Rosję od tego rynku, zwiększyłby podmiotowość Trójmorza wobec reszty UE, wzmocniłby radykalnie sojusz ze Stanami Zjednoczonymi.

Koncept wymaga jednak potężnych inwestycji infrastrukturalnych, wielkiej pracy i wysiłku finansowego po naszej stronie. Amerykanie już inwestują w sieci przesyłowe i terminale, bo chcą sprzedawać, my powinniśmy robić to samo, jeśli chcemy kupować. Byłby to wielki plan narodowy wymagający trwającego dekadę konsensusu głównych sił politycznych. Na razie nie widać zapału do podjęcia takiego trudu, nie oznacza to jednak, że go nigdy nie będzie. Dostajemy jako państwo kolejną szansę od losu. To my, nie Amerykanie, musimy zdecydować, czy ją wykorzystamy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor, związany z Warsaw Enterprise Institute, jest doradcą firm zbrojeniowych.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Inni nie mają racji

Starsi ludzie, do których niebawem sam będę się zaliczał, bardzo często wychodzą z założenia, że najważniejsze filmy i seriale już dawno zostały nakręcone, płyty nagrane, książki napisane, a obrazy namalowane. Pewnie mają sporo racji (jeśli chodzi o malarstwo, to chyba bardzo dużo), ale bez wątpienia myślą się w kwestii seriali telewizyjnych.

Dlatego też, kiedy pewien mój znajomy 60-latek prychnął pogardliwie na Facebooku, że nie wie, co to takiego „Gra o tron”, i wiedzieć raczej nie chce, ośmieliłem się wyrazić swoją opinię. A jest ona taka, że „Gra o tron” to dobry serial, zrobiony na podstawie jeszcze lepszej książki.

Wydałoby się, że trudno o bardziej niewinną wypowiedź. A jednak. Co prawda znajomy podziękował, ale już kilka innych osób z werwą zaiste godną lepszej sprawy ostrzelało mnie z broni kalibru nieproporcjonalnie wielkiego. Okazało się, że pochwalony przeze mnie serial podobać się może jedynie niedouczonym prostakom, którzy nie mają w sobie dość intelektualnej dyscypliny, by wgłębić się w porządną książkę historyczną. Tępotą skazuje ich na nurkowanie w głupekowym świecie fantasy, w którym poszukują tego, czego należy szukać u Tukidydesa.

Muszę przyznać, że zawsze frapowała mnie polska (bo myślę, że to bardzo polska cecha) niemożność

pogodzenia się z tym, że ktoś ma inne zdanie. Świadomość, że ktoś myśli inaczej niż my, jest dla nas wręcz bolesna. Jest jak ostroga wbita nagle w ciało rumaka. W takich sytuacjach nie ma miejsca na obojętność. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego. Nie można odpuścić. Trzeba reagować. Nieważne, czy chodzi o serial telewizyjny, jakości letnich transferów Manchesteru United (lub Mazura Karczew, wszystko jedno), modę lat 70. czy dorobek George’a Michaela. Jeśli w jakiejś sprawie ktoś myśli inaczej od nas, to natychmiast ruszamy do zacieklej, bezpardonowej szarży, mającej nie tyle przekonać do naszych racji, ile po prostu wdeptać w ziemie oponenta. Po prostu inne zdanie w jakiś czarodziejski sposób staje się osobistym afrontem, którego nie puszcza się płazem.

Co symptomatyczne, dotyczy to również kwestii zupełnie błahych. Do takowych zaliczam na przykład ocenę jakości serialu „Gra o tron”. A jednak – odmiennego zdania nie jesteśmy w stanie znieść nawet w przypadku kompletnych pierdół.

Ito jest właśnie problem. Trzeba zacząć od drobiazgów. Spróbujmy nie udowodniać komuś, że jest debilem, ponieważ ogląda serial, którego nie lubimy. Albo że jest troglodytą, bo podśpiewuje disco polę. Albo że nie jest patriotą, bo jeździ do Grecji. Jego sprawa. Spróbujmy to znieść. Wiem, że to niepojęte, ale podobno się da. Ćwiczmy. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Trzy kroki do przodu

Polityka jest sztuką osiągania celów możliwych – twierdził Bismarck, ale czasami warto uczyć się nawet od diabła. Również chińska sztuka wojenna nakazuje atakować wroga, gdy jest słaby, a nie wtedy, gdy rośnie w siłę. Dałbym wiele, żeby podpis pod trzema ustawami Andrzeja Dudy mógł rozwiązać problemy polskiej niesprawiedliwości. Jednak nie mógł.

Fala protestów osiągała niebezpieczną dynamikę. I zupełnie nieważne w tym momencie, kto był inspiratorem, kto płacił i szczerł, również drugorzędną kwestią jest idiotyzm samego protestu. Młodzi ludzie uwierzyli, że demokracja jest zagrożona, i dali się wyprowadzić na ulicę. A do tłumy na ulicy racjonalne argumenty nie przemawiają. Lud Paryża zdobył w 1789 r. Bastylię i wymordował niebroniących jej strażników, wierząc, że są tam setki więźniów politycznych. Było kilku kryminalistów i wariatów.

Aprzecież można sobie wyobrazić inne rozegranie sprawy. Zanim jeszcze ruszyło w parlamencie procedowanie ustaw, trzeba było animować protesty pokrzywdzonych obywateli, organizować pikety przed sądami, społeczne ataki na „wyjątkową kastę”, skoordynować działania różnych ośrodków władzy, pozyskać neutralnych (Kukiz, narodowcy)... Wiem, że istnieje presja czasu i rozwiązanie kwestii sądów jest warunkiem sine qua non dalszych reform. Przecież można się było jednak zająć tą kwestią dużo wcześniej i spokojniej (podobnie jak opłatą medialną). Na szczęście mamy jeszcze dwa lata. Pośpiech już co najmniej raz przyniósł naszej stronie gigantyczną klęskę. W 2007 r.! Z perspektywy czasu widać, że przemęczenie się z Lepperem i Giertychem do końca kadencji byłoby zdecydowanie mniejszym złem niż dopuszczenie na osiem lat PO do władzy. Pokusa gry o całą pulę bywa wielka, ale w przypadku przegranej nie ma pieniędzy, żeby się odegrać.

Czasem warto zrobić dwa kroki w tył, by pójść trzy do przodu. A kiedy organizm trawi choroba – po pierwsze zbić gorączkę. ©©



SZEWACH WEISS

Ugasić święte miasto

Od kilku tygodni Jerozolima się pali. Nie jest to nowe zjawisko, zdarza się cyklicznie od 50 lat, czyli od zwycięstwa Izraela w wojnie sześciodniowej i powrotu narodu żydowskiego do swojej historycznej stolicy. Jerozolima zawsze była w centrum żydowskiego życia – częścią modlitwy, obiektem tęsknoty. Wokół Jerozolimy nigdy nie było zgody nawet przy zawieraniu umów pokojowych. Izrael ma podpisaną umowę pokojową z Egiptem, ale nie ma tam żadnych uzgodnień odnośnie do granic stworzonych po wojnie sześciodniowej. Podobnie z Jordanią. Nie tylko Żydzi mają głęboki sentyment do Jerozolimy, lecz także m.in. chrześcijanie i cały

dziesiątki tysięcy ludzi. W wyniku starć z izraelską policją zginęło trzech młodych Arabów. Niedawno w piątkowy wieczór 19-letni Palestyńczyk wszedł do jednego z domów na żydowskim osiedlu w Samarii, zabił ojca i dwoje jego dzieci świętujących piątkowy wieczór, ranił kolejną osobę. Izraelskie władze znalazły się pod dużym naciskiem z różnych stron, by w takiej sytuacji działać umiarkowanie i starać się nie zaogniać sytuacji. Na bardzo ważną interwencję w tym kontekście zdecydował się król Jordanii.

Następnego dnia Jordańczyk zaatakował śrubokrętem pracownika izraelskiej ambasady w Ammanie, dla którego przygotowywał

ważny gracz – prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan. Ma on ambicje bycia liderem wszystkich braci muzułmańskich na świecie. I prowokuje Izrael, mówiąc np., że Izrael używa pretekstu walki z terroryzmem, by kontrolować całą Jerozolimę włącznie z meczetem Al-Aksa. Mocno podkreśla też, że Jerozolima nie jest stolicą Izraela. Wypowiedzi te służą do zdobycia rządu dusz nad światem islamskim.

Amerykańska administracja ma swojego przedstawiciela do spraw pokoju na Bliskim Wschodzie, ale prezydent Donald Trump jest tak pochłonięty innymi sprawami, że Bliski Wschód schodzi na dalszy plan. Tymczasem ogień wzniecony między Izraelem a Jordanią chyba udało się ugasić dzięki rozmowie izraelskiego premiera z królem Jordanii i wizycie w tym kraju szefa Mossadu. Izrael złożył obietnicę usunięcia elektronicznych zabezpieczeń na Wzgórzu Świątynnym i powrotu do status quo odnośnie do wejścia do meczetu Al-Aksa. Jak sytuacja potoczy się do czasu wydrukowania tego felietonu – trudno przewidzieć, bo ogromne napięcie, które wzmacnia Erdoğan, w dalszym ciągu wywiera ogromny wpływ na młodych Palestyńczyków.

Na Bliskim Wschodzie panują upały. Temperatura na południu Izraela sięga 42 st. C. Jednak najbardziej niebezpieczne upały są wokół Jerozolimy i w Syrii, gdzie giną ludzie. Istnieje nadzieja na ostudzenie tego rozgrzanego kotła. Jest związana z realizacją planu Donalda Trumpa, o którym ostatnio głośno się mówi. Ważniejsze jednak są rozmowy zakulisowe zmierzające do tego, by Egipt, Jordania, Arabia Saudyjska, Emiraty i Izrael położyły na negocjacyjnym stole trwały plan pokojowy. Brzmi jak utopia, ale gdyby nie utopiści, Izrael nigdy by nie istniał. ©©

Jordańczyk zaatakował śrubokrętem pracownika izraelskiej ambasady w Ammanie. Zaatakowany miał broń i zastrzelił napastnika. Ten incydent mógł wywołać kolejną intifadę

świat islamski. W Jerozolimie cały czas panuje zatem napięcie religijne, etniczne i narodowe. Bez rozwiązania kwestii jerozolimskiej nie dojdzie do zawarcia pokoju z Palestyńczykami.

Dwa lata temu rozpoczęła się tzw. intifada noży, czyli potężny opór, w którym narzędziem używanym przez Palestyńczyków, czasem kilkunastoletnich chłopców i młode dziewczęta, jest nóż. Jednak w ostatnich miesiącach sytuacja nieco się uspokoiła. Aż do kolejnego wybuchu pożaru na Wzgórzu Świątynnym. Palestyńczycy zabili dwóch izraelskich policjantów. Izrael odpowiedział zainstalowaniem większej liczby elektronicznych punktów kontroli w okolicy meczetu Al-Aksa. Arabowie się rozgniewali i zadeklarowali, że nie będą przechodzić przez takie punkty bezpieczeństwa. Rozpoczęły się ogromne demonstracje, w których uczestniczyły

mieszkanie. Zaatakowany był odpowiedzialny za bezpieczeństwo ambasady, miał broń i zastrzelił napastnika. Ten incydent mógł wywołać kolejną intifadę.

Kto gra na tym boisku? Izrael jest odpowiedzialny za ochronę swoich obywateli. Izraelska policja dba o bezpieczeństwo zarówno Żydów i Arabów, jak i wszystkich innych mieszkańców. Izraelski rząd na czele z Benjaminem Netanjahu nie prowadzi agresywnej polityki przeciw Autonomii Palestyńskiej, aby zostawić otwartą furtkę do rozmów pokojowych, w których prawdopodobnie administracja Donalda Trumpa weźmie aktywny udział – na co czekamy. Egipt łączy z Izraelem umowę pokojową, a odkąd władzę sprawuje prezydent As-Sisi, oba kraje współpracują w zwalczaniu Państwa Islamskiego. Jest jeszcze jeden

PIOTR WŁOCZYK: „To wąskie przejście zdecydowało o kontynuacji powstania. [...] Przesmyk przez Al. Jerozolimskie wymagał ciągłej obrony, naprawy i umocnień. Jednak wola obrońców, nawet w obliczu śmierci, była niezachwiana; przejście istniało do ostatnich dni powstania” – powiedział m.in. o panu Donald Trump. Jakim cudem utrzymaliście tę barykadę do końca?

TADEUSZ ZAPAŁOWSKI: Bardzo mnie ucieszyły te słowa, ponieważ nawet w Polsce to właściwie zapomniana sprawa. Tymczasem w całej Warszawie nie było wtedy ważniejszej barykady, to ona była pod największym ostrzałem.

Codziennie przeżywalismy tam piekło, ale nie mogliśmy poddać tego przejścia. Tylko dzięki niemu utrzymywane było bowiem połączenie między dwiema częściami powstańczej Warszawy: Śródmieściem Południowym i Śródmieściem Północnym. Przecieliśmy też w ten sposób bardzo ważną dla Niemców arterię wschód–zachód, którą przerzucali oni wojska pancerne. Od kiedy postawiliśmy barykadę w Al. Jerozolimskich, żaden niemiecki czołg tamtędy nie przejechał. I dlatego tak bardzo chcieli nas stamtąd wyrzucić.

Ile czasu spędził pan na tym – jak to ujął Donald Trump – „przyczółku cywilizacji”?

Broniłem go od początku, czyli od 5 sierpnia, aż do kapitulacji powstania. Mieliśmy mały bunkier przy bramie w Al. Jerozolimskich 22. Dyżurowaliśmy po osiem godzin, za każdym razem po trzech.

Było was tylko trzech?

Proszę jednak pamiętać, że w domu za nami przebywało w stałej gotowości jakichś 30 żołnierzy. Oczywiście po drugiej stronie ulicy, pod numerem 17, również byli powstańcy.

Aleje Jerozolimskie to bardzo szeroka arteria. Pod względem usytuowania wasza pozycja była naprawdę nie do pozazdroszczenia...

Faktycznie, nie wyglądało to wesoło. Byliśmy ostrzeliwani z obu stron: z zachodu Niemcy strzelali do nas z hotelu Polonia, a ze wschodu z budynku BGK.

Jak duży był ruch na tym przejściu?

Dwadzieścia cztery godziny na dobę ciągnęli tamtędy ludzie. Po obu stronach tworzyły się kolejki! Ludzie stali w nich czasem nawet po kilka godzin, żeby przejść na drugą stronę. Przechodzili tamtędy żołnierze, ranni, łączniczki,



Z Tadeuszem Zapałowskim ps. Michał, obrońcą barykady w Al. Jerozolimskich rozmawia Piotr Włoczyk

Broniłem przyczółka cywilizacji

zaopatrzenie, wreszcie ludzie również w czasie powstania odwiedzali swoich bliskich w innych częściach Warszawy. Cały czas płynął tamtędy strumień ludzi, którym trzeba było zapewnić osłonę.

Skoro ta barykada była tak ważna, to – jak rozumiem – wbrew powszechnemu wyobrażeniu o powstańcach akurat wam bronie nie brakowało. Tym bardziej że byliście przecież żołnierzami Kedywu...

Byliśmy uzbrojeni doskonale – przykładowo ja miałem pistolet maszynowy Błyskawica, produkowany w podziemnym zakładzie, gdzie notabene rusznikarzem był mój ojciec. Z kolei mój serdeczny kolega z barykady, Jurek Chlistunoff, miał niemieckiego bergmana. Już tylko dwóch nas zostało z osłony barykady od naszej strony. Zazdrościłem mu tego bergmana, bo to był jednak lepszy sprzęt od mojej błyskawicy. Na szczęście mieliśmy też karabin maszynowy wymontowany z niemieckiego czołgu, który własnoręcznie unieruchomił drugi mój kolega Tadeusz Cisowski.

Podczas walk na barykadzie?

Nie, jeszcze zanim barykada powstała. 2 sierpnia byliśmy w kamienicy przy pl. Napoleona, dziś to pl. Powstańców Warszawy. To było w trakcie natarcia na Pocztę Główną. Naraz pod naszymi oknami pojawił się niemiecki czołg. Pierwszy rzucił filipinkę właśnie Tadziu. Zrobił to genialnie – wybuch rozerwał gąsienicę. Koledzy z parteru zajęli się załogą czołgu, która postanowiła się ewakuować ze swojej maszyny. Po wszystkim wymontowaliśmy ten karabin i przenieśliśmy go na barykadę. Bardzo nam się przydała jego siła ognia.

„Noc w noc, pod ciężkim ogniem z broni maszynowej, Polacy znosili worki z piaskiem, aby bronić swojego wąskiego przejścia przez Al. Jerozolimskie. Dzień w dzień wróg je niszczył”. Dobrze to opisał Donald Trump?

Tak właśnie było: barykada cały czas była niszczona nieprzyjacielskim ogniem i cały czas trzeba było ją odbudowywać. Prezydent Trump miał świetne informacje.



Przyczółek barykady w Al. Jerozolimskich 22. Siedzą od lewej: „Michał” (Tadeusz Zapalowski), „Olgierd” (Mieczysław Danis) i „Czarny” (Ryszard Szymczak), sierpień 1944 r. FOT. SYLWESTER KRIS-BRAUN

Jak było na początku?

Potwornie ciężko. Najpierw trzeba było po kolei zająć kamienice na tym odcinku Al. Jerozolimskich. Wcześniej łączność między tymi dwiema objętymi powstaniem częściami Śródmieścia odbywała się za pomocą sznurka przeciągniętego na wysokości pierwszego piętra, po którym przesyłano puszki z wiadomościami. Przebiegnięcie tak szerokiej arterii było bardzo trudne z uwagi na ciągły niemiecki ostrzał. Bardzo wiele osób tam zginęło, szczególnie na początku.

Ja z kolegami zająłem budynek pod numerem 22. Kamienice obok były już „czyste”. Po nieparzystej stronie Al. Jerozolimskich, naprzeciwko nas, AK-owcy ze Śródmieścia Południowego również opanowali kilka budynków. Można było teraz zrobić przejście. Barykada biegła spod numeru 22 do 17. Saperzy kilofami wyrąbali przejście. Początkowo trzeba było się czołgać, żeby dostać się na drugą stronę, ale z każdym kolejnym dniem przejście było udoskonalane, umacniane,

aż w końcu dwie dorosłe osoby mogły się minąć i przez większość odcinka mogły iść wyprostowane.

Budowniczo wie cały czas byli jednak ostrzeliwani. Co robiliście, żeby ich osłonić?

Szczególnie silny był niemiecki ogień z budynku pod numerem 25, w którym okopali się Niemcy z Ordnungspolizei i Sicherheitspolizei. W nocy z 6 na 7 sierpnia udało nam się go zdobyć. Moja drużyna wspomagała kolegów z południowej strony Al. Jerozolimskich. Razem opanowaliśmy ten budynek. To wtedy zostałem ranny po raz pierwszy, ale było to tylko lekkie zranienie.

Dlaczego wykopanie rowu przez Al. Jerozolimskie nie było takie proste, jak to się może nam dziś wydawać?

Pierwszą przeszkodą były tory tramwajowe. Był to jednak niewielki kłopot w porównaniu z drugim problemem: tunelu kolei średnicowej, który biegł akurat pod alejami. W związku z tym na tym odcinku nie dało się tak po prostu wykopać głębokiego rowu. Poza tym baliśmy się, że Niemcy mogą wykorzystać ten tunel.

Żeby was wysadzić?

Otóż to. Dlatego to nasi saperzy dokonali w końcu kontrolowanego wybuchu i zniszczyli tunel pod nami. W ten sposób udało się pogłębić rów.

Barykada cały czas pięła się w górę. Do budowy służyły płyty chodnikowe, worki z piaskiem i kawałki blachy. Wykorzystaliśmy też w tym celu niemieckie pojazdy, które zniszczyliśmy. Jednym z nich był goliat, czyli zdalnie sterowany pojazd gąsienicowy wypełniony materia-

łami wybuchowymi. Kolega z barykady przeciął kabel, zanim Niemcy zdążyli wysadzić goliata i w ten sposób mieliśmy do dyspozycji kupę żelastwa i mnóstwo materiału wybuchowego. Najgorsze były właśnie ataki czołgów. Niemcy byli na tyle perfidni, że czasem otaczali swoje pojazdy pancerne żywymi tarczami.

I co wtedy?

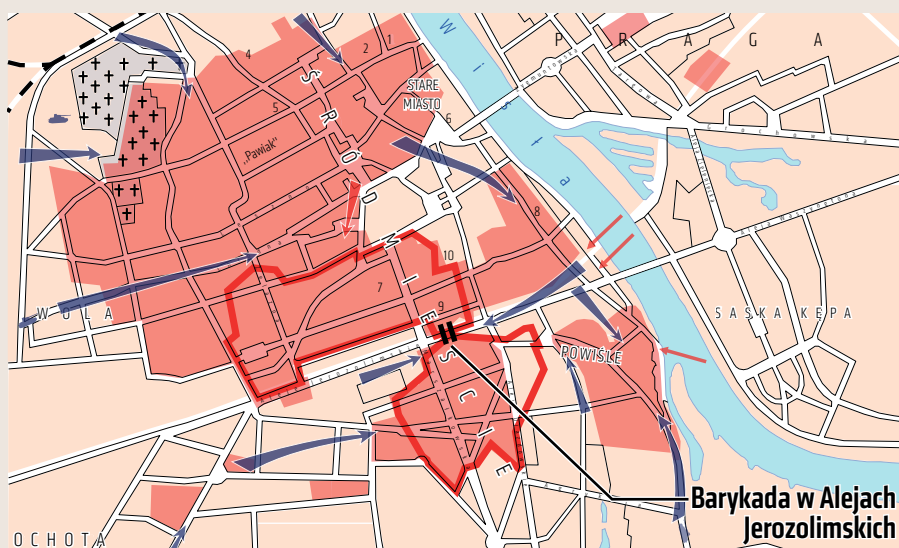
Trzeba było tak walczyć, tak celować, żeby nie zrobić krzywdy tym biednym zakładnikom. To były potworne sytuacje...

Czym walczyliście z czołgami?

Początkowo głównie filipinkami, ale szybko doszła specjalistyczna broń ze zrzutów. Pewnego razu w nocy słyszemy nad sobą warkot samolotu. Ależ trafił ze zrzutem! (śmiej) Za chwilę widzę, jak jakieś 30 m od barykady spada na spadochronie zasobnik. Poszedłem w tamto miejsce wraz z kolegą. Chociaż właściwie nie poszedłem, tylko przeczołgałem się. Przetoczyliśmy zasobnik na barykadę, chyba z 50 kg ważył. W środku był piat – brytyjski granatnik przeciwpancerny wraz z kilkoma pociskami. Poza tym kilka sztuk broni krótkiej, jakieś papiery, a nawet kawa i czekolada. Wszystko nam odebrali, tylko piata wyrwaliśmy dla siebie (śmiej).

Karabiny przeciwpancerne?

Ruscy nam to zrzucali. Tylko że z tymi ich zrzutami było więcej kłopotów niż pożytku. Te ich kukurużniki zrzucali zaopatrzenie bez spadochronów. Przykładowo worki z amunicją do pepeszy, których my nie używaliśmy. Pamiętam też, jak zrzucili karabin przeciwpancerny z jednym



■ pociskiem albo przeterminowane o kilka lat konserwy, które i tak upadając na ziemię, się roztrzaskiwały.

Cały czas bronił pan barykady?

Nie, w międzyczasie byliśmy angażowani do różnych innych akcji. Najgoręcej było w nocy z 31 sierpnia na 1 września, gdy chcieliśmy pomóc żołnierzom próbującym wydostać się ze Starego Miasta do Śródmieścia. Uderzyliśmy wtedy na Niemców stacjonujących w ogrodzie Saskim. Dostałem przy tej okazji w walce wręcz kolbą w twarz.

Niemcy byli zbyt silni i nie byliśmy w stanie pomóc AK-owcom ze Starego Miasta. Pod koniec tej akcji razem z kolegą Stefanem Jędrzejczakiem „Gałgankiem” zostaliśmy odcięci od reszty oddziału i schowaliśmy się w palmiarni. Proszę sobie wyobrazić, że w środku znaleźliśmy... pancerfaust. Obok nas stało akurat działo samobieżne. Nie mieliśmy pojęcia, jak obsługuje się ten wihajster. Po omacku majstrowaliśmy przy pancerfaustcie i w pewnej chwili jakoś odpaliliśmy pocisk, który trafił w gąsienicę. Naraz ogień, krzyki! Niemcy zorientowali się, skąd został wystrzelony pocisk, i pokryli budynek palmiarni ogniem. Leżeliśmy tam cały dzień. Dopiero następnej nocy udało nam się wrócić do swoich.

Poza tym w dniach 19 i 20 sierpnia braliśmy udział w ataku na gmach PAST-y. Ja akurat nie walczyłem wtedy bezpośrednio, ponieważ zabezpieczaliśmy zaplecze tego gmachu.

Z kolei któregoś dnia w kamienicy na rogu ulic Zgody i Złotej zlikwidowaliśmy

gniazdo tzw. gołębiarzy, czyli snajperów. Pojmaliśmy wtedy dwóch Niemców i udało się zabezpieczyć kilka sztuk broni długiej z lunetami. Jeńców przekazaliśmy Państwowemu Korpusowi Bezpieczeństwa. Nie wiem, co się z nimi później stało.

Jak pan wspomina los niemieckich jeńców z czasów powstania?

Różnie to wyglądało. Nigdy nie zapomnę, jak zdobyliśmy siedzibę Sonderdienstu przy ul. Moniuszki. To było 2 sierpnia. W tej formacji służyli sami bandyci, to były takie drugie SS. Wyprawiliśmy stamtąd ok. 20 Niemców. Doprowadziliśmy ich na ul. Jasną do kwatery Antoniego Chruściela „Montera”.

Co ich czekało?

Śmierć, ale to nie my mieliśmy wykonać wyrok. Niemcy pobledli, nie widać było już ich buty, gdy zorientowali się, co ich czeka. Wtedy przeżyłem przykrą rzecz. Jeden z Niemców poprosił mnie, żebym do niego podszedł. Dał mi swój zegarek i poprosił, żeby przekazać go ojcu mieszkającemu w Gdańsku. Ten Niemiec nazywał się Bruno Schneider, jego ojciec był kolejarzem.

Co pan z tym zrobił?

Zegarek szybko straciłem, bo mi go po wojnie Ruscy zabrali. Zresztą mój własny zegarek też mi wtedy ukradli. Na ślad tego ojca trafiłem lata po wojnie, podczas podróży po Zachodzie. Jednak w ostatniej chwili wycofałem się, nie byłem w stanie rozmawiać z tym człowiekiem. Co ja właściwie miałem mu powiedzieć?

A co się stało z pańską rodziną?

Rodzice mnie pobłogosławili przed wyjściem na powstanie, siostra mnie ucałowała. Wszyscy oni zostali niedługo potem zamordowani. Ojciec pierwszy, 3 sierpnia, podczas walk ulicznych, natomiast mama i siostra zostały zamordowane 6 września w naszym własnym domu na Powiślu. Został mi tylko starszy brat, który również walczył w powstaniu i przeżył wojnę.

Co ciekawe, pańska służba powstańcza wcale nie skończyła się dla pana 2 października.

To mało znana sprawa. Po kapitulacji mój oddział nie poszedł od razu do niewoli. Zostaliśmy przemianowani na tzw. kompanię osłonową. Dostałem do pary pewnego starego Niemca i chodziłem z nim od mieszkania do mieszkania, od gruzowiska do gruzowiska i szukaliśmy pozostałej ludności cywilnej. O dziwo, to był bardzo porządny człowiek. Traktował mnie jak syna. Raz nawet, gdy mój kolega został postrzelony i pilnie potrzebowaliśmy gipsu, ten Niemiec zaprowadził mnie na Dworzec Główny, gdzie było pełno Niemców, do lekarza i załatwił to, co było potrzebne.

Dalej był obóz w Ożarowie?

Tak, 10 października poszedłem do niewoli. Szybko jednak uciekłem z obozu i poszedłem do partyzantki. Najpierw na Kielecczyźnie, potem na Zamojszczyźnie byłem w ROAK. Broń ostatecznie złożyłem w sierpniu 1945 r.

Trzy miesiące po wojnie...

Tak, ale przez ten czas nie strzelałem się z nikim. Być może zostałem w lesie dłużej, ale mój dowódca mówił, że jestem zbyt młody na partyzantkę, że mam iść do szkoły i spróbować nadrobić stracony czas. I tak właśnie zrobiłem.

Na koniec wróćmy do przemówienia, które rozstrąliło obronę barykady w Al. Jerozolimskich. Donald Trump przywołał bohaterstwo powstańców warszawskich w kontekście fundamentalnego pytania: „Czy Zachód ma wolę, by przetrwać?”. Jak pan odpowie na to pytanie?

Jeżeli chcemy przeżyć, to po prostu nie mamy wyboru. Coś mi jednak mówi, że szczególnie my, Polacy, nie zawiedziemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tadeusz Zapolański (ur. 1926), ps. Michał, był żołnierzem Kedywu Okręgu Warszawskiego AK, w czasie powstania warszawskiego walczył w 8. Kompanii Batalionu „Kiliński”.

Wśród prezentowanych na wystawie dzieł jest obraz Johanna Valentina Haidta z 1748 r. FOT. UNITÄTSARCHIV DER EVANGELISCHEN BRÜDER-UNITÄT, HERRNHUT

Między Lutrem, niebem i piekłem



Piotr Semka

Mija pół wieku, od kiedy reformacja wstrząsnęła Europą i na zawsze zmieniła oblicze kontynentu

Protestanci na całym świecie świętują 500-lecie reformacji. Dokładnie pięć wieków temu Marcin Luter przybił swoich 95 tez o odpustach na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze. Nowa wiara jak płomień na wysuszonym polu objęła północ Europy i szybko odmieniła niemal wszystkie dziedziny życia. Ustanowiła na nowo granice, zmieniła mentalność wielu narodów, stoczyła wielki bój o wpływy z katolicyzmem, a z czasem wywołała podziały i spory we własnym obozie. Wystawa „Efekt Lutra” w Berlinie próbuje opisać wszystkie te zjawiska, inkulturację idei Lutra na różnych

kontynentach i pokazać je na przykładzie czterech państw – po jednym z Europy, Ameryki, Azji i Afryki. Dla polskiego widza, zazwyczaj odległego od tradycji protestanckiej, to ciekawa wyprawa dookoła świata.

WSZYSTKO OD NOWA

„Na świecie żyje dziś ponad 800 mln ludzi uznających się za protestantów, dla których historycznym punktem odniesienia wiary jest reformacja z XVI w.” – takimi słowami zaczyna się ekspozycja w berlińskim Martin-Gropius-Bau. Dla katolika sam fakt świętowania podziału w Kościele jest przykry. Wystawa przypomina też jednak o innej prawdzie – płomień zmian nie objąłby tak szybko północy Europy, gdyby ówczesny Kościół katolicki nie popełniał poważnych błędów. Na tyle poważnych, że to, co nowe w religii, tak szybko znajdowało zwolenników.

Reformacja zmieniała życie codzienne i ośmieliła ludzi do wyrażania swoich opinii – piszą autorzy wystawy. „Zamiast jednego kościoła otwierały się różne dro-

gi do reformy wiary i pojawiło się szybko wiele grup reformacji, a każda z nich miała pretensje do posiadania jedynej prawdy”.

Słabo uświadamiamy sobie, jak wielki chaos pojęciowy i teologiczny wywołały „nowinki” religijne. Jak przeorały życie tak królów i bogaczy, jak biedaków oraz prostych chłopów. A w każdym z krajów naszego kontynentu ferment religijny uruchamiał inne efekty.

Na wystawie staję przed wielką mapą Europy, pokazującą postępy lub cofanie się reformacji w różnych krajach w XVI i XVII w. Największa plama w centrum Europy to ojczyzna Lutra, Niemcy, głównie jej północna część. Tutaj hasło zerwania z Rzymem jako czymś obcym niemieckości zbiegło się z narodzinami poczucia narodowego. To zbuntowany mnich stworzył nowożytny literacki język niemiecki.

Święte Cesarstwo Rzymskie narodu niemieckiego zapłaciło za reformację wysoką cenę – ponad 150-letni okres domowej wojny religijnej, który zastopuje na długo powstanie zjednoczonego

państwa. Między rokiem 1517 a 1871, gdy Niemcy się zunifikują, będą musiały minąć aż 354 lata.

Obok na mapie jaskrawą barwą pyszni się Francja, gdzie hugenocka reformacja przychyliła się do nauk Jana Kalwina. Król Francji, mając w pamięci religijne skłócenie Niemiec, wygnał z niej hugenotów, nie wiedząc, że wzmocni Prusy. Te z kolei z chęcią przygarnęły wygnańców wiary, którą przyjęli Hohenzollernowie brandenburscy. Na północy jest Anglia, gdzie reformacja była wynikiem zachcianki króla Henryka VIII, który chciał w ten sposób zalegalizować małżeństwo z kolejną żoną. Protestantyzm, początkowo mało żarliwy, pełen katolickich form w liturgii anglikanizmu, a potem ostry jak miecz Cromwella. I służący za ideologiczne uzasadnienie ponownego podboju Irlandii i potraktowania rdzennej „papistowskiej” ludności niczym biblijnych ludów Kanaanu skazanych na zniszczenie lub niewolę. Obok Holandii, gdzie nauki Lutra zachwycały mieszczaństwo. Na południu Włochy, gdzie protestantyzm rozbłysnął krótko, i Węgry, gdzie podbił Siedmiogród. I wreszcie Rzeczpospolita Obojga Narodów, gdzie w XVI w. kalwinizm zdobył umysły elit, ale który potem spłynął z Litwinów jak kiepska farba pod wpływem deszczu.

Dlaczego w jednych miejscach reformacja „chwyciła”, a w innych nie? Tutaj dochodzimy do tajemniczy psychiki narodów. Materii niejasnej i pełnej zagadek. Autorzy wystawy nie zmagają się z tym zagadnieniem. Po prostu pokazują – tu idee Lutra się przyjęły, a gdzie indziej nie.

WYMAZANE TWARZE

Zwolennicy reformacji lubili postrzeć siebie jako chrześcijan sięgających do korzeni wiary wczesnego chrześcijaństwa i czyszczących zasady z ziemskiego blichtru papieża.

Uproszczono architekturę kościołów, odrzucono kult obrazów i rzeźb. Wyciągnięto na czoło liturgii pieśni religijne i czytanie Pisma. Zerwano z łaćną na rzecz języków narodowych, aby każdy rozumiał Biblię. Było to błogosławieństwo dla małych narodów, dla których tłumaczenie Pisma Świętego to początki ich języka literackiego. Tłumacze Biblii na języki: litewski, łotewski, estoński, fiński, słoweński i serbołużyczki mają dziś pomniki i popiersia w swych ojczyznach.

Przystaję przed obrazem z XV w. z północnych Niemiec z ołtarza ku czci świętych Piotra i Pawła. Ktoś pracowicie

wytarł ich twarze w myśl protestanckiej zasady odrzucania wyobrażeń świętych. To jedno dzieło ma być pamiątką po ikonoklazmie – szale niszczenia, jaki ogarnął wiele części Europy i który zniszczył niezliczone dzieła sztuki. Wszystko w imię hasła, że nie wolno się wahać, że trzeba odrzucić wszystko, co nie jest oparte na Biblii. Nowinki religijne zmieniły też wzorce społeczne, np. uświęcając małżeństwa pastorów.

Małżeństwo uznano za kościół domowy – najbardziej pochwalaną formę życia we wspólnocie i fundament społeczeństwa.

Wrażenie robi kolekcja ulotek atakujących papieża i kpiących z katolików. Protestanci byli w tamtych czasach mistrzami propagandy. Każdy dziś coś wie o masakrze hugenotów w Dniu św. Bartłomieja w Paryżu w 1572 r., ale nikt nie pamięta o paleniu kościołów katolickich i wyrzynaniu katolików w czasie francuskich wojen religijnych. Wielu zna cierpienia hugenotów na galeriach króla Francji, ale znacznie rzadziej pamięta się o wysyłce katolickich Irlandczyków do niewolniczej pracy na plantacjach trzciny cukrowej na brytyjskich Karaibach. Oba światy nienawidziły się płomiennie.

Pochyliam się nad gablotą ze znaczkami geżów – holenderskich piratów protestanckich pod wodzą adm. Lodewijka van Boisota (1530–1576) walczących z Hiszpanami. Wizerunek islamskiego półksiężyca nosi napis: „Raczej być Turkiem niż papistą”. Wtedy była to demonstracja niechęci do katolików, ale dziś, pod wpływem islamizacji Zachodu, ta odznaka nabiera nowej niepokojącej wymowy.

Protestanci nie tylko jednak wojowali. Zmieniali też swoje społeczeństwo. Stawiając wymóg edukacji w centrum swojej wizji życia, wpłynęli na ogromny rozwój cywilizacyjny Niemiec i Wielkiej Brytanii.

Kultura studiowania Biblii przyczyniła się do rozkwitu literatury i nauki. Nacisk kła-

dziony na śpiew i muzykę nabożeństw luteranckich zaowocował w XVIII w. dziełami Jana Sebastiana Bacha, Georga Friedricha Händla i Georga Philippa Telemanna. Nigdy potem w muzykę nie wkładano tak żarliwej wiary.

„Reformacja zanegowała wcześniejsze linie sojuszy politycznych mocarstw Europy, wspólnota wiary skłaniała do nowych aliansów” – piszą autorzy ekspozycji. I dalej: „Mniejszości religijne były prześladowane z obu stron” – wznają dość szczerze autorzy wystawy. Każdy, kto widział trzy kłatki zbuntowanych anabaptystów na szczycie jednego z miejscowych kościołów, może sobie wyobrazić, jak okrutnie zwalczano dysydentów. Niezwykle ciekawy jest fragment wystawy, który pokazuje, jak Luter żył złudzeniami, wierząc, że reformacja spowoduje masowe konwersje wyznawców judaizmu na nową wiarę. Nadzieje szybko zgasły, a poirytowany Luter zabrał się do pisania wielu traktatów o „wszecznych Żydach”, uznając ich za „zaprzysięgłego wroga chrześcijaństwa, plagę i zarazę”.

CZTERY PROTESTANTYZMY

Pierwszy z czterech przykładów tego, jak przyjmowano reformację, to Szwecja. Kraj, który w XVII w. i na początku XVIII w. uznał się z mistycznym wręcz zapałem za „miecz reformacji” i „Lwy Lutra”. Władcy z dynastii Wazów podbili Niemcy, próbowali podporządkować sobie Polskę i przyjęli rolę protektorów protestantów na Śląsku. Ich wsparcie dla wspólnot reformacyjnych w Europie przypominało późniejsze wsparcie Związku Sowieckiego dla ruchów postępowych na całym świecie. Ten wojujący typ protestantyzmu symbolizują

zgrupowane na wystawie armaty, proporce wojenne i obrazy bitew króla Gustawa Adolfa.

Przypomniano też sensacje tamtych czasów. Rok 1655, gdy Krystyna, córka „Lwa Północy”, demonstracyjnie opuściła kraj i przeszła na katolicyzm, wprowadzając tym w rozpacz większość Szwedów. 70 lat później ten szwedzki zapał podboju świata w imię idei Lutra ostygł. Trwać jednak będzie zasada ścisłego połączenia państwa z Kościołem protestanckim,



Znaczek geżów – holenderskich piratów protestanckich

FOT. RIJKSMUSEUM, AMSTERDAM

które potrwa aż do 2000 r. Do dziś król według konstytucji szwedzkiej musi być luteraninem, a dopiero od niedawna ma prawo ożenić się z wyznawczynią innej wiary. Siła obstrzeżeń antykatolickich zdumiewa. Zgodę na budowę pierwszego kościoła katolickiego wydano dopiero w 1837 r., a formalną wolność religii wprowadzono w 1951 r. Ustawowy zakaz zakładania klasztorów katolickich zniesiono dekadę potem – w 1961 r.

Zupełnie inny jest na berlińskiej wystawie obraz protestantyzmu w USA – drugiego kraju, na którym swoje piętno odcisnęła reformacja. Tutaj od XVII w. o wpływy walczyły: wywodzący się z Wielkiej Brytanii anglikanizm, presbiterianizm wywodzący się od szkockiego reformatora Johna Knoxa i rozmaite dysydenckie odłamy reformacji z najbardziej znanymi purytanami. Ci ostatni do dziś zaznaczyli się w obyczajowości amerykańskiej siłą tradycji, niechęcią do alkoholu i innych używek. Jak przypomina wystawa, Ameryki by nie podbito, gdyby nie wiara w opatrnośćową misję protestantów jako „nowego Izraela”, który ma misję zająć ziemie rdzennych ludów Ameryki i podbić lub wytepić tutejsze „ludy Kanaanu”.

Charakter sporu w łonie protestantyzmu miała też debata na temat niewolnictwa. Wygrał w nim nurt abolicyjny wywodzący się z wrażliwego społecznie protestantyzmu. Zniesienie niewolnictwa stworzyło z kolei osobny świat – mozaikę kościołów murzyńskich.

Luteranizm był za oceanem zawsze w mniejszości. Badania sprzed paru lat wykazały, że 53 proc. protestantów w USA niewiele wie o wpływie Lutra na wybuch reformacji.

Ażję reprezentują na wystawie Kościoły protestanckie w Korei Południowej. Około 30 proc. Koreańczyków uznaje się za chrześcijan, z czego dwie trzecie to protestanci. To efekt amerykańskiej polityki. Korea Południowej po wojnie z lat 1948–1953. Jeszcze w 1950 r. chrześcijanie stanowili 3 proc. mieszkańców kraju. Autorzy wystawy w typowym dla dzisiejszych Niemiec stylu ze zgrozą



Obraz św. Piotra i Pawła z wymazanymi twarzami z kościoła w północnych Niemczech. FOT. ARCHIWUM AUTORA

zauważają, że koreańskich protestantów w większości cechują „wojujący antykomunizm” i „nieprzejednany stosunek wobec północnego, komunistycznego państwa koreańskiego”. Z amerykańskich wzorców skopiowano praktykę mszy w wielkich halach. Największy taki megarzecz w Korei ma 48 tys. miejsc.

Największe wrażenie robi jednak inna informacja. W Korei aż 80 proc. protestantów bierze co niedziela udział w nabożeństwach – dla porównania w RFN tylko 16 proc. I na koniec Tanzania – kraj wybrany zapewne z racji tego, że pierwsze misje ewangeliczne pojawiły się tam za czasów niemieckich rządów kolonialnych trwających do I wojny światowej. Tyle że nie sposób zweryfikować zapewnień autorów wystawy o dynamicznym rozwoju tamtejszego Kościoła luteranckiego. W trosce o pokój religijny w Tanzanii nie robi się tam statystyk liczebności poszczególnych wyznań.

ŚWIĘTO BEZ TRUDNYCH PYTAŃ

Wystawa „Efekt Lutra” to element bogatego całorocznego programu święta reformacji. Nic więc dziwnego, że w jubileuszowym nastroju twórcy ekspozycji w Martin-Gropius-Bau skupiają się na

pokazaniu, jak nowa wiara wzbogaciła narody świata.

Niewiele się można dowiedzieć o cieniach reformacji. O obsesyjnym i niekiedy krwawym „antypapizmie”, o brutalności wojsk szwedzkich wobec mieszkańców podbitych ziem i prześladowaniu katolików.

Szerokim łukiem ominęto konsekwencje pełnego podporządkowania Kościołów protestanckich państwu, co np. w przypadku III Rzeszy zaowocowało przygnębiającym serwilizmem większości niemieckich pastorów wobec Hitlera. Jedynym negatywnym aspektem nauk Lutra dostrzeżonym na wystawie był jego antysemityzm.

Ekspozycja omija starannie jeszcze jeden temat – pytanie, jaka jest kondycja protestantyzmu teraz. Jaki wpływ Kościoły ewangeliczne mają dziś na życie polityczne i społeczne krajów Zachodu? Ten wpływ zachował się już jedynie w USA, gdzie lobby protestanc-

kie ma wpływ na politykę. Przypomni nam o tym niedawno prezbiterianin Donald Trump, podkreślając w swej warszawskiej mowie wagę wiary i rodziny.

W Niemczech rok Lutra trwa od zeszłego października. Jego głównym punktem w maju br. były uroczyste zjazdy ewangelików, tzw. Kirchentagi, na których liczni goście od Angeli Merkel przez Baracka Obamę do prezydenta Franka Waltera Steinmeiera komentowali udział protestantów w życiu społecznym RFN. Nie przeszkodziło to jednak pani kanclerz ekspresowo przeprowadzić przez Bundestag ustawy o homomałżeństwach. Niemal nikt z hierarchów protestanckich nie protestował, choć waga małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny oraz jego roli w społeczeństwie niegdyś była w centrum myśli protestanckiej. W wielu krajach Zachodu spadkobiercy reformacji dali się zepchnąć do roli „humanitarnego NGO”. Wspomnienie o wiekach dawnej chwały – szczególnie w Niemczech – niewiele tu zmienia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa: „Efekt Lutra” w berlińskim Martin-Gropius-Bau czynna jest do 5 listopada 2017 r. Szczegóły na www.gropiusbau.de



TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA MARIĄ GUTOWSKĄ!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Sławomir Koper – **Masakra w domu Polańskiego**

Maciej Rosalak – **Jak karano homoseksualistów**

Marek Gałęzowski – **Żydzi przeciw bolszewikom**

Grzegorz Wołk – **Inwigilacja Macierewicza**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Adolf Hitler superstar**

Roger Moorhouse – **Zamach w Wilczym Szańcu**

Mikołaj Iwanow – **Polska w planach Stalina**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 82f4e782d1

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY



RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

epi.14.11.17.10.1



Wszyscy nienawidzą Rosjan?



Gabriel Michalik

Kremlowskie tuby propagandowe reagują z właściwą sobie gracją na pogarszający się poziom życia i kasandryczne przepowiednie ekonomistów co do przyszłości Rosji w warunkach pogłębiającej się izolacji politycznej i spadku cen surowców. Żyje się może skromniej, ale jak ma się żyć w obłożonej twierdzy?

W windzie, jak to w windzie. Miejsca mało, granice intymności naruszone. Trzeba starać się o dobre stosunki.

– Dzień dobry! Znowu leje... – zagajam rozmowę ze szpakowatym panem o miłej powierzchowności, z którym przyszło mi jechać w dół od szóstego piętra.

– O, widzę, że cudzoziemiec! – uśmiecha się pan.

– Tak. Z Polski – wyjaśniam.

– Wam to dobrze... – wzdycha pan i spuszcza smutno oczy. – A nas wszyscy nienawidzą...

Jeszcze w wyłożonym ślicznie marmurem holu bezskutecznie staram się przekonać znajomego z windy, że to nieprawda.

– Owszem – tłumaczę – do rosyjskich elit władzy trudno nie mieć zastrzeżeń; obecna neoimperialna polityka; przeszłość... na przykład polska pamięć historyczna rejestruje zabory, Katyń, 17 września i sowiecką dominację po



II wojnie światowej. Jednak od historycznej traumy do nienawiści do całego narodu jest bardzo daleko.

Nie wierzy. Wypalam jeszcze ostatnim zatrutym pociskiem: – Im bardziej na zachód, tym mniej się złego Rosjanom pamięta. W takiej na przykład Francji Rosjanie mogą liczyć na niekłamaną adorację.

Pan macha ręką z ponurą rezygnacją. Do rozmowy włączają się portierka i kurier, który w holu naszego bloku schronił się przed deszczem. Cała trójka zapewnia mnie, że jak świat długi i szeroki, wszędzie nienawidzi się Rosjan. Kurier był na wczasach w Turcji i się naocześnie o tym

przekonał. Portierka ma krewną w Niemczech i krewna potwierdza. Przyczyn tego stanu rzeczy nie potrafią podać. Bogiem a prawdą nawet ich ta powszechna nienawiść nie dziwi; taka to widać słabość świata, że nienawidzi. Trzeba się z tym pogodzić i na zło odpowiadać dobrem. W tym duchu się rozstajemy.

Martwi mnie odporność moich rozmówców na rzeczowe argumenty. Tak jak w mojej rozmowie sprzed kilku lat ze starym Żydem w Jacie na Krymie. Słońce świeciło, wiatr delikatnie cesał liście palm na nabrzeżnym bulwarze, a Żyd dociekał, dlaczego w Polsce jest tak silny antysemityzm. Poprosiłem o przykłady. – Czy trzeba przykładów?! Dość, że u was na Żydów mówi się „Żydzi”.

Dla wyjaśnienia, po rosyjsku słowo „Żyd” („жид”) jest obraźliwe. W to, że to może być w polszczyźnie słowo neutralne, mój interlokutor nie uwierzył.

POLSCY NAZIŚCI

Sięgam do Internetu: „Nie możemy nadal być naiwnymi idiotami. Przeciwno nam znowu jednoczą się siły Zachodu. W awangardzie nowej niszczycielskiej szarży staną polscy nacjonaliści i ukraińscy zdrajcy swojego narodu, liżący dziś Polakom stopy za ruch bezwizowy”.

Brzmi nieco bardziej optymistycznie. Już nie wszyscy nienawidzą, lecz tylko Zachód. I nie cały Zachód stanie w awangardzie, tylko ten najbliższy.

Ze zdumieniem odkrywam, że powyższy passus nie stanowi cytatu z wypowiedzi demagoga i błazna Władimira Żyrinowskiego, nie jest to też wyjątek z mowy tronowej Putina. To podsumowanie najnowszego artykułu Maksima Szewczenki, niezwykle popularnego niezależnego publicysty, związanego z opozycyjnym wobec Kremla Radiem Echo Moskwy, opublikowanego na stronach internetowych radiostacji.

Do przytoczonych wniosków doprowadziły Szewczenkę rzetelne jakoby studia historyczne nad dziejami stosunków polsko-rosyjskich w XX w. Żeby przypomnieć główne tezy, było tak: polscy naziści (!) dokonali w latach 1920–1921 rozbioru ukraińskich, białoruskich i litewskich ziem; szczęśliwie, w 1939 r. na te tereny wkroczyły wojska sowieckie i uratowały mieszkańców przed polsko-niemieckimi batalionami. Polscy naziści się jednak nie poddali. W armii niemieckiej, jak wiadomo, służyli jako ochotnicy i poborowi w liczbie pół miliona. Ci,

którzy nie załapali się do Wehrmachtu, utworzyli Armię Krajową, nieformalną sojuszniczkę Niemców. Działając w jej szeregach, mordowali Rosjan i wspierali trzon koalicyjnych wojsk prących na wschód.

Na marginesie należy dodać, że po tej lekturze trudno mi zrozumieć, dlaczego Piotr Zychowicz określa swoją publicystykę jako historię alternatywną, skoro niemal wszystko, o czym pisze w „Pakcie Ribbentrop-Beck”, wydarzyło się naprawdę. Ba, wydarzyło się nawet więcej i straszniej... Pod artykułem internauci przytaczają przykłady palenia Rosjan żywcem przez polskich żandarmów!

Kto inny bierze Polaków w obronę: po wojnie jednak byli razem z Rosjanami i dopiero zdrajca Gorbaczow pozwolił na to, aby ten sprzedajny naród został podkupiony przez Zachód.

Z satysfakcją rejestruję, że głupstwa wypisywane przez Szewczenkę i jego akolitów spotkały się też z dość szerokim odporem zarówno wśród komentujących artykuł internautów, jak i wśród historyków współpracujących z Echem Moskwy. Na przykład Mark Sołonin, autor prac spod znaku historycznego rewizjonizmu, poświęcił artykułowi Maksima Szewczenki obszerną polemikę. Ukłół nawet termin „maksymalna bzdura”, nawiązując do imienia publicysty. Ktoś inny zaproponował stworzenie dla Szewczenki specjalnej nagrody imienia Władimira Medyńskiego, oskarżanego o plagiat rozprawy doktorskiej i ignorancję, a sypiącego w swoim czasie również na antenie polskiej telewizji „faktami” historycznymi.

Niemniej dzieje się to wszystko w okolicach demokratycznej opozycji. Podobne rewelacje, zamieszczane w mediach głównego (a więc prokremlowskiego) nurtu, który zajmuje 95 proc. tzw. przestrzeni medialnej, nie budzą sprzeciwu. Stały się już częścią oficjalnego dyskursu historycznego.

MAPA ŁĘKÓW

Z badań agencji WCIOM, jednej z wiodących instytucji mierzących nastroje społeczne w Rosji, zatytułowanych mallowniczo „Mapa łęków Rosjan”, wynika, że z miesiąca na miesiąc rośnie w tym kraju obawa przed międzynarodowym konfliktem zbrojnym. Przy czym pytania ankietowe formułowano nie w brzmieniu: „Czego się obawiasz?”, lecz: „Co się prawdopodobnie może wydarzyć?”.

Obawa przed wojną jest drugim spośród najsilniejszych czynników strachu w Rosji, ustępującym raptem o kilka punktów procentowych obawie przed drożyzną i pogorszeniem się warunków życia. W czerwcu, w stosunku do poprzednich miesięcy pierwszego półrocza bieżącego roku, te obawy osiągnęły szczyt. Liczba spodziewających się wzrostu cen podskoczyła o dziesięć punktów w stu-stopniowej skali, a liczba obawiających się wojny o osiem punktów. Na tle spodziewających się wojny niedostrzegalną mniejszość stanowią ci, którzy lękają się utraty pracy lub kłopotów rodzinnych. Większość badanych na pytanie o konflikt zbrojny odpowiedziała, że dojdzie do niego na pewno lub że jest on prawdopodobny.

Oleg Czernogub, główny ekspert agencji, dostrzega w wynikach badań dowód na utrwalenie się postaw pesymistycznych. Wraz z obawą przed wojną – w mniejszym stopniu, ale konsekwent-

towary. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że to nie „Gejropa” ani „Amerykańskie Pindosy” (oba określenia zaczerpnięte z rosyjskich mediów) złośliwie zaprzestali eksportu do Rosji artykułów spożywczych, tylko Kreml obłożył te towary embargiem. Gdy Putin mówi o zachodnich sankcjach przeciwko Rosji, mało kto rozumie poprzez nie to, co faktycznie ogłosiły Unia i USA – zakazy wizowe wobec kremlowskich urzędników czy zamrożenie aktywów oraz restrykcje kredytowe i ograniczenia w handlu urządzeniami, które mogą być wykorzystane do celów wojskowych.

Te złowrogo brzmiące sankcje rozumiane są niemal wyłącznie jako działania wymierzone w każdego Rosjanina, a więc międzynarodowy spisek, który skutkuje tym, że ktoś, kto ma ochotę na ser – a więc jeszcze kilka lat temu jadał przede wszystkim sery importowane z Polski – może obecnie kupić albo rosyjski erzac,

ulicach Moskwy. Jak to zwykle w Rosji bywa – zaczyna się od wzajemnej życzliwości, a nawet pewnego zakłopotania ze strony Rosjan, wynikającego z konieczności zmierzenia się z tym, kto ich nienawidzi, oraz chęci przekonania go, że nienawidzi niesłusznie.

ROZMOWY NAD WOJSKOWĄ KASZĄ

Oksana jest lekarką. Ma ponętą figurę, piegi i 27 lat, czyli dokładnie tyle, aby w rosyjskich warunkach niedoboru mężczyzn odpowiednich do żeniaczki intensywnie zajmować się poszukiwaniem męża. Rok temu przyjęła zaproszenie koleżanki ze studiów i wybrała się latem do Polski. Te wakacje zapamięta do końca życia. Tam, gdzie się zaczynało słodyczą pocałunku, kończyło się niespodziewanie rozmową o bolszewikach. Wyjechała przed planowanym terminem powrotu.

– Rozumiem, że wy jako mały naród macie swoje kompleksy, ale czego chcecie od Lenina?! Ciągłe życie prześladością!

Oksanę poznałem na ulicznym festiwalu połączonym z występami rekonstruktorów. Jedliśmy sobie otóż kaszę podawaną wprost z polowej kuchni. W kotle mieszał chłopak w stroju krasnoarmiejca. Takie pokazy odbywały się właściwie każdego dnia spośród tych, które spędziłem w czerwcu w Moskwie.

– Nie traktujcie tego osobiście, ale mam wrażenie, że u was wszyscy mężczyźni są gejami – taksówkarz dodaje swoją kreskę do portretu Europejczyków. Nie, nie spotkał żadnego polskiego homoseksualisty, ale taką ma intuicję.

– Wy z Polski? – dziwi się staruszka w cerkwi. – Ach, Polacy! Ciągłe chcecie panować nad światem!

Cytowany już wyżej Maksim Szewczenko przedstawia się jako internacjonalista. Wraz z rosyjskimi trockistami marzy o nowej Międzynarodówce. Ciekawie jest poczytać o tych projektach. Międzynarodówka ma być bez Ukraińców, bo to zdrajcy, bez Polaków, bo to faszyci, bez Anglików i Amerykanów, bo to imperialiści, bez muzułmanów, bo to terroryści, i bez Chińczyków, bo są żółci. Wychodzi na to, że internacjonalisci chcą się ograniczyć do narodu rosyjskiego. To ostatni naród prawdziwie internacjonalistyczny. I pewnie dlatego go wszyscy nienawidzą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa w Rosji zaczyna się zwykle od pewnego zakłopotania ze strony Rosjan, wynikającego z konieczności zmierzenia się z tym, kto ich nienawidzi, oraz chęci przekonania go, że nienawidzi niesłusznie

nie – rośnie też znaczenie innych źródeł lęku związanych z sytuacją społeczną, w tym lęk przed wzrostem przestępczości. Z miesiąca na miesiąc Rosjanie widzą przyszłość w coraz czarniejszych barwach.

I o ile wzrost cen jest faktem, który można dostrzec podczas każdej wizyty w sklepie czy na targu, o tyle w poczuciu narastającego zagrożenia militarnego utrzymują Rosjan coraz agresywniejsze programy telewizyjne, których twórcom udało się wykreować wirtualną rzeczywistość. Widz jest bombardowany informacjami o żywiołowych antyrosyjskich wystąpieniach od Kijowa przez Warszawę aż do Tokio, a zarazem dowiaduje się o stale rosnącej potęgze militarnej Rosji. Główne publicystyczne show jak warokocz przeplatają doniesienia z wrogiego świata budującymi obrazkami z rosyjskich poligonów i fabryk zbrojeniowych. Morał z tego płynie taki: „Tanio skóry nie sprzedamy”.

POLACY ZEŻARLI SER

Obraz staje się właściwie spójny. Ze sklepów już dawno zniknęły zachodnie

który ser przypomina jedynie z wyglądu, albo sery importowane ze Szwajcarii, których ceny przekraczają możliwości większości nabywców, a zaczynają się od 100 dol. za kilogram.

W efekcie większość Rosjan zapomniała już, jak smakuje ser. Zaczęto wprawdzie na niewielką skalę produkować w Rosji dobrej jakości wyroby mleczne, można je kupić w luksusowych delikatesach lub w sklepach z żywnością ekologiczną, jednak ich ceny zbliżone są do cen produktów szwajcarskich, a zatem większość Rosjan nadal żyje w świecie, w którym rzeczy tak elementarnej jak ser nie chcą im sprzedać ci, którzy ich nienawidzą. Podobnie jest z wędlinami, niektórymi owocami i całą masą produktów, do których Rosjanie zdążyli się przyzwyczaić w latach względnego dobrobytu, poprzedzających aneksję Krymu.

Mit o powszechnej nienawiści do Rosjan zakorzenił się na tyle głęboko, że kontakt z rzeczywistością nie jest w stanie go obalić, o czym miałem okazję się przekonać podczas przypadkowych rozmów z przechodniami na



FOT. FOTOLIA

WŁOSKI SPOSÓB NA IMIGRANTÓW

Chociaż Włosi nie zapraszali do siebie imigrantów tak jak Niemcy i nie dawali do zrozumienia, że granice w UE nie istnieją, to co rusz muszą przyjmować nowe łodzie pełne ludzi szukających lepszego życia. Wprawdzie część włoskiej mafii szybko znalazła sposób, by problem przekuć na pieniądze (zarabia na wynajmie lokali, za które płaci państwo), ale ok. 200 tys. ludzi z Afryki i Bliskiego Wschodu stanowi ogólnokrajowy problem. Włosi najwyraźniej tracą już cierpliwość, bo zaczynają głośno mówić o tym, że w sytuacji kryzysowej – zgodnie z unijną dyrektywą – mogą rozpocząć wydawanie unijnych wiz imigrantom. Na to musiałaby się zgodzić Rada Europejska. Jest jeszcze inne wyjście – wydawanie czasowego prawa do pobytu z zezwoleniem na opuszczanie Włoch. Niemcy i Skandynawowie powinni już chyba przygotowywać się na przyjęcie nowych mieszkańców.

ZAKAZANE ROZKRACZANIE

Po petycji, którą podpisało 11,5 tys. osób, władze Madrytu postanowiły zakazać męskiego stylu jazdy w komunikacji miejskiej. Chodzi o „manspreading”, czyli siedzenie w taki sposób, że rozłożone nogi zajmują przestrzeń sąsiednich siedzeń. Rozkraczeni mężczyźni w Hiszpanii tłumaczyli, że sposób siadania nie wynika z egoizmu, ale z istotnej różnicy w anatomii między nimi a kobietami. Niczego jednak nie wskórali. W środkach komunikacji miejskiej w Madrycie mężczyźni będą musieli trzymać kolana razem.

MANDATY DLA GAPIÓW

Na autostradzie w Bawarii (A3 między Norymbergą a Altdorf) osobowy samochód z przyczepą kempingową wjechał w ciężarówkę. Jedna osoba została ranna. Gdy na miejsce z pomocą próbowali dotrzeć ratownicy, nie mogli się przedrzeć przez korek spowodowany przez kierowców. Kilkudziesię-

ciu gapiów, którzy ze swoich samochodów filmowali miejsce wypadku telefonami komórkowymi, zostało za to ukaranych przez policję punktami karnymi i mandatami w wysokości 60 euro. Utrudnianie przejazdu służb ratunkowych od niedawna w Niemczech jest surowo karane – grozi za to nawet pozbawienie wolności.

CZŁOWIEK RYBA I REKIN

Od dawna pojawiały się spekulacje, że niezwykła anatomiczna budowa Michaela Phelpsa daje temu amerykańskiemu pływakowi nadmierną przewagę nad zwykłymi ludźmi. Ostatnio poinformowano, że ten wielokrotny mistrz olimpijski i rekordzista świata ma się zmierzyć w wodzie z rekinem. Żarłacz biały i Phelps mieli przepłynąć obok siebie dystans 100 m podczas „Tygodnia rekina” – imprezy organizowanej od 1988 r. przez stację Discovery. Wynik był rozstrzygnięty przed czasem: żarłacz biały pływa z prędkością 40 km/godz., a najlepszy pływak świata w szczytowej formie osiągał 10 km/godz.

Rozczarowanie wzbudziło jednak przede wszystkim to, że rekin i Phelps płynęli osobno, a potem program zmontowano tak, by widz miał wrażenie, że drapieżnik jest tuż obok pływaka.

CHCIAŁ WYSIĄŚ PODCZAS LOTU

Pasażerowie lotu do Londynu przeżyli chwile grozy, gdy pewien Polak w trakcie podróży w powietrzu próbował wysiąść z samolotu. Według relacji pasażerów, do których dotarła BBC, młody mężczyzna najpierw zmienił miejsce i dosiadł się do kobiety zajmującej fotel niedaleko drzwi samolotu, a potem pochylił się i próbował je otworzyć. Do akcji włączyło się trzech „rosłych Polaków”, którzy obezwładnili rodaka. Potem obsługa samolotu zawiązała go pasami bezpieczeństwa używanymi do demonstracji urządzeń pokładowych. Mężczyzna został przekazany policji na lotnisku Luton. Postawiono mu zarzut stwarzania zagrożenia podczas lotu. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Tomasz P. Terlikowski

Papież Franciszek nieustannie wzywa do poważnego dialogu, a także decentralizacji, jednak dla jego zwolenników dialog oznacza potępienie każdego, kto myśli w duchu nawet odrobinę bardziej tradycyjnym niż oni

Od jakiegoś czasu można odnieść wrażenie, że zdeklarowani zwolennicy rzekomej (bo w wielu kwestiach niewiele mającej wspólnego z rzeczywistą treścią wypowiedzi papieskich) reformy Franciszka wzięli sobie na cel wszystkich tradycyjnie myślących katolików, w tym także duchownych. Zaczęło się od mocnego i – jak to wykazali wszyscy niemal komentatorzy – pełnego ignorancji i złej woli tekstu na temat amerykańskich konserwatywnych katolików w redagowanym przez jezuitów, ale będącym półoficjalnym głosem Stolicy Apostolskiej magazynie „La Civiltà Cattolica”. Nie będę tu przywoływał jego treści, była ona bowiem omawiana w poprzednim numerze „Do Rzeczy”, wystarczy przypomnieć, że zarzucono im „ekumenizm nienawiści”, „integralizm”, a także próbę budowania teokracji w sercu demokracji. Na tym się jednak nie skończyło. Zaledwie kilka dni później, w piśmie „L'Osservatore Romano” – będącym oficjalnym głosem Watykanu – opublikowano kolejny tekst, w którym o hamowanie linii Franciszka oskarżono szeroką rzeszę duchownych (w tym biskupów), którzy rzekomo mają być główną przeszkodą w „realizacji linii papieża Franciszka”.

WSZYSCY WROGOWIE FRANCISZKA

Autorem tekstu jest o. Giulio Cirignan, wieloletni włoski wykładowca biblistyki, który stwierdza ni mniej, ni więcej, tylko że „głównym zagrożeniem” dla wprowadzenia w życie linii papieża Franciszka jest „postawa” sporej części wyższego i niższego duchowieństwa. – Główną przeszkodą, która stoi na drodze do nawrócenia, które Franciszek chce przynieść Kościołowi, jest – w pewnym sensie – postawa sporej części wyższego i niższego duchowieństwa, postawa zamknięcia, jeśli nie wrogości –

Duch Franciszka i jego rzekomi wrogowie

oznajmia włoski duchowny. – Kler zwraca ludzi ku przeszłości, zamiast towarzyszyć im w tym niezwyklej czasie – uzupełniał duchowny. Już same sformułowania uświadamiają, że duchowny zarzuca zarówno biskupom, jak i rzeszom zwyczajnych duchownych, że są oni wrogo nastawieni do papieża. Tym razem nie ma mowy o tym, skąd mają pochodzić owi straszliwi przeciwnicy papieża Franciszka. Wydaje się jednak, że chodzi nie tylko o Włochy, lecz także o inne regiony świata, w których paskudni duchowni mają siłą obstrukcję.

Na czym ma ona polegać? Odpowiedź jest prosta. Otóż o. Cirignan uważa, że Kościół obecnie znajduje się w okresie wielkiej przemiany na lepsze, jakiegoś dziejowego kairós, porównywalnego – to już słowa innego, polskiego duchownego – z rewolucją konstantyńską w Kościele, a duchowni nie chcą tego dostrzec i stawiają opór zmianom. – Większość duchownych dostrzegła, mimo wszystko, szczególność czasu, kairós, jaki Pan daje swojej wspólnotie – podkreśla o. Cirignan i dodaje, że właśnie dlatego oni świętują. Jeśli zaś nie świętują albo wyrażają jakiegokolwiek wątpliwości, to oznacza to, że... „pozostają poza horyzontem zmian, bliscy mało oświeconym pasterzom” i wierni „zwyczajowym praktykom”, „powtarzając myśli bez prawdziwego życia”.

Standardowe inwektywy wobec tych, którzy prezentują bardziej tradycyjną

pobożność albo uznają, że Kościół nie rozwija się poprzez rewolucję, lecz poprzez ewolucję i stopniowy rozwój doktrynalny, w którym nie ma miejsca na zerwanie, ale ciągłość, uzupełnia włoski duchowny zestawem rzekomych „powodów”, dla których duchowni są „wrodzy” linii rewolucji Franciszka. I tym razem nie ma w tych rozważaniach nawet śladu zrozumienia dla poglądów inaczej myślących, jest za to uznanie ich za ignorantów, zacofańców i ludzi, którzy kompletnie nie rozumieją ducha czasów. I tak, zdaniem o. Cirignana, sprzeciw inaczej myślących wynika z tego, że są oni „słabo wykształceni teologicznie” i mają „skromny zasób kulturowy”. Prezentują antyczny obraz kapłaństwa, ich teologia jest związana z myśleniem kontreformacyjnym, a do tego „pozbawiona duszy”, i wreszcie są oni zamknięci „w sztywnych schematach typowych dla ludzkiego umysłu”. Takich ludzi, i tu włoski duchowny idzie dalej nawet niż o. Antonio Spadaro SJ, nie toleruje nie tylko papież, lecz także nawet Bóg.

OBŁUDNY KULT PAPIEŻA

Te słowa byłyby może nawet śmieszne w swoim triumfalizmie, gdyby nie to, że – po pierwsze – są one w istocie elementem dalekosiężnej strategii zwolenników odrzucenia tradycyjnego myślenia Kościoła, zakorzenionego w Piśmie Świętym



FOT. TONY GENTILE/REUTERS/FORUM

i Tradycji, a po drugie są najlepszą drogą do całkowitego rozbicia jedności Kościoła. Jeśli ktoś chce rzeczywiście wywołać spór w Kościele, a także wyrzucić z niego ogromną część z tych, którzy wciąż realnie wierzą, to teksty takie jak o. Cirignana są świetną metodą. Atak na wierzących księży, na wiernych ortodoksji świeckich to nie jest budowanie Kościoła, ale... najlepsza droga do jego rozbicia. I aby zamiast duszpasterskiego nawrócenia (niewątpliwie ważnego i potrzebnego) doszło do doktrynalnej schizmy. Niepokoić powinno także to, że we wznoszenie murów między papieżem a kapłanami i ludem Bożym angażują się media watykańskie.

Skąd się to bierze? Powody są zapewne dwa. Pierwszym z nich jest zbudowanie wrażenia, że Kościół znajduje się na absolutnym dziejowym zakręcie, w stanie rewolucji (taka niestety świecka i polityczna interpretacja kryje się pod pięknym teologicznym terminem *kairos*), która w istocie eliminuje całą dotychczasową Tradycję oraz myśl Kościoła i wraca do jakichś mitycznych początków. Atak na kontrreformację, antyczne myślenie czy wierność poprzednikom, jaki gołym okiem widać w tekście zamieszczonym w „L'Osservatore Romano”, jest przykładem takiego właśnie rewolucyjnego stylu. W trakcie rewolucji zaś (nawet jeśli określi się ją teologicznymi terminami) dopuszczalne jest nie tylko obrażanie przeciwników (trudno inaczej

określić sposób pisania o rzekomych przeciwnikach linii Franciszka), lecz także ignorowanie całej przeszłości. Gdy zaś uda się przekonać wiernych i duchownych, iż rewolucja owa jest „koniecznością dziejową”, później o wiele łatwiej będzie budować wrażenie, że każdy, kto sugeruje, iż trzeba wrócić do Tradycji, jest odstępą od „nowego ducha” i „nowego myślenia”, zdrając dziejowego momentu. Metoda ta została już przetestowana, gdy prawdziwe reformy św. Jana Pawła II czy Benedykta XVI były kwestionowane jako niezgodne z mitycznym „duchem Soboru”, który z soborową literą nie miał nic wspólnego.

Jest jednak i drugi powód, na który zwrócił uwagę kard. Gerhard Ludwig Müller w wywiadzie dla niemieckiej agencji DPA. Były już prefekt Kongregacji Nauki Wiary (który – przypomnijmy – nie pochodzi z kręgów Kurii Rzymskiej, ale został powołany do Watykanu z niemieckiej diecezji) wskazał na gigantyczny problem karierowiczostwa, które dotyka części kurialistów watykańskich. Część pracowników Kurii czy jej wysoko postawionych hierarchów prezentuje „obłudny kult papieża”, zgodnie z mottem „Ojciec Święty ma ideę, a my ją bezwarunkowo popieramy i wszyscy ją podziwiamy” – podkreślał kardynał. – Papież jest tylko człowiekiem. Oznacza to, że nie wszystko, co robi i mówi, jest od samego początku doskonałe i niepodlegające dyskusji – podkreślał były

prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Jakie są skutki zapomnienia o tym? Zamiast analizy, debaty, dyskusji czy pogłębiania rozumienia pewnych słów jest powtarzanie i uderzanie wszystkich, którzy nawet jeśli nie wyrażają wątpliwości, to są za mało entuzjastycznie nastawieni.

CZY TEGO CHCE PAPIEŻ?

Warto na koniec zadać pytanie, czy ten „obłudny kult papieża” czy też strategia, którą prezentują zwolennicy rewolucji, są rzeczywiście zgodne z tym, czego chce papież Franciszek. Nie ma przy tym znaczenia, jakie są jego prywatne poglądy i czy przypadkiem linia przyjęta przez ojców Spadaro czy Cirignana nie jest efektem jakiejś próby odczytania myśli samego papieża. Istotne są bowiem dla analizy woli papieskiej oficjalne wypowiedzi i dokumenty. A z nich wynika, ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że Franciszek chce realnej debaty, a nie zakrzyczenia zwolenników Tradycji. Dobitnie pokazuje to wstęp do – tak często przywoływanej przez zwolenników rewolucji – adhortacji „*Amoris laetitia*”.

„Przypominając, że »czas jest ważniejszy niż przestrzeń«, pragnę podkreślić, iż nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium. Oczywiście, w Kościele konieczna jest jedność doktryny i działania, ale to nie przeszkadza, by istniały różne sposoby interpretowania pewnych aspektów nauczania lub niektórych wynikających z niego konsekwencji. Będzie się tak działo, aż Duch nie doprowadzi nas do całej prawdy (por. J 16, 13), to znaczy, kiedy wprowadzi nas w pełni w tajemnicę Chrystusa i będziemy mogli widzieć wszystko Jego spojrzeniem. Poza tym, w każdym kraju lub regionie można szukać rozwiązań bardziej związanych z inkulturacją, wrażliwych na tradycje i na wyzwania lokalne. Ponieważ »kultury bardzo różnią się między sobą i każda ogólna zasada [...] potrzebuje inkulturacji, jeśli ma być przestrzegana i stosowana w życiu« – napisał tam papież. A słowa te odnoszą się nie tylko do zwolenników dotychczasowej doktryny, lecz także do tych, którzy widzą jakąś potrzebę duszpasterskiej zmiany. Nie jest przecież przypadkiem, że poza nieoficjalnym listem do biskupów regionu Buenos Aires nie ma jasnych deklaracji papieskich w sporach dzielących obecnie Kościół. To ważny sygnał, że papież chce realnej debaty, a nie traktowania z butą tych, którzy myślą inaczej niż zwolennicy tezy o „rewolucji”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Radosław Wojtas

Medialni potentaci

– Discovery i Scripps, właścicieli m.in. TVN – rozmawiają na temat połączenia i chcą podbić Internet. Czy to oznacza zmiany w TVN?

Negocjacyjny stół Discovery Communications i Scripps Network Interactive znów nakryty. Koncerny, które planowały połączenie już w 2014 r., wróciły do rozmów o fuzji, o czym poinformował „The Wall Street Journal”, powołując się na źródła zbliżone do osób wtajemniczonych w negocjacje. I choć oficjalnych deklaracji na razie brak, to reakcje inwestorów pokazują, że nie są to tylko spekulacje medialne. Wartość obu potentatów na rynku medialnym poszybowała – Scripps w ciągu nieco ponad tygodnia urósł o ponad 30 proc. I właśnie wzrost wartości tej spółki może być przeszkodą w synergii. A na boisku jest jeszcze trzeci gracz – Viacom, który również ma apetyt na przejęcie Scrippsa.

BIZNES I SPRAWA RODZINNA

Od uruchomienia Discovery Channel 17 czerwca 1985 r. amerykański nadawca rozpoczął swą drogę do medialnej potęgi. Cztery lata później programy edukacyjne mogli oglądać mieszkańcy Wysp Brytyjskich i krajów skandynawskich. Lata 90. to dla Discovery złoty okres wzrostu, pojawiają się nowe kanały, serca widzów zdobywają ludzie tacy jak Steve Irwin („Łowca Krokodyli”), którzy przed kamerą popisują się niesamowitą odwagą, pokazując dziką przyrodę z bardzo bliska, w sposób, w jaki nikt wcześniej tego nie robił. Wspomniany Irwin zapłacił za to zresztą życiem. Zmarł na planie swojego programu. Ogon płaszczyki przebił mu serce.

Discovery Communications to prawdziwy potentat produkujący i nadający swoje programy w 45 językach. Ogląda je – jak chwali się korporacja – ok. 3 mld ludzi na całym świecie. Siłę grupy stanowią nie tylko kanały edukacyjne – kilka spod szyldu Discovery czy Animal Planet – lecz także sportowe (Discovery Communications w 2014 r. przejęło Eurosport, który



ma prawa m.in. do transmisji igrzysk olimpijskich w latach 2018–2024).

Z kolei historia Scripps Network sięga 1878 r., kiedy to Edward W. Scripps uruchomił w Cleveland konglomerat medialny zajmujący się wydawaniem gazet codziennych. Motto firmy: „Daj światło, a ludzie sami znajdą własną drogę” wzięli sobie do serca jego potomkowie, którzy z powodzeniem przekształcali i prowadzili firmę aż do epoki Internetu. W XXI w. największą siłą koncernu są telewizyjne kanały lifestyle’owe, takie jak Travel Channel, Food Network i Fine Living. W Polsce o rodzinie Scrippsów zrobiło się głośno w 2015 r., kiedy firma przejęła TVN, co – patrząc na rozrywki i „lekki” charakter większości kanałów medialnej spółki – było działaniem dość nietypowym.

– Discovery i Scripps mogą osiągnąć wiele synergii kosztowych i kontentowych. Scripps jest zorientowany na lifestyle, gotowanie i tego typu kontent,

z kolei Discovery ma bardzo bogatą ofertę dla tzw. niemainstreamowych widzów – takich, którzy omijają kanały główne i poszukują kanałów sprofilowanych pod nich, bardzo wyspecjalizowanych. Warto pamiętać, że Discovery jest właścicielem Eurosportu, przez co ma dostęp do różnych imprez sportowych – mówi dr hab. Tomasz Gackowski, kierownik Laboratorium Badań Medioznawczych na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego. I dodaje, że po takiej fuzji grupa miałaby bardzo kompletną ofertę.

ODCIĄĆ KABEL, ZŁOWIĆ DUSZE

Nie mniej ważny od nowego kontentu jest też sposób dotarcia do widza. Netflix, którego jedna akcja jeszcze w zeszłym roku kosztowała 98 dol., a teraz jest warta 158 dol., wyznaczył trendy w branży. Serwis, dostępny tylko w niektórych regionach świata, zdjął blokadę lokalizacyjną i dziś oprócz Chin (gdzie swoje pro-



FOT. TVN

przed telewizorem o określonych porach. Preferują raczej model „pull”, czyli wideo na żądanie – ocenia dr hab. Tomasz Gackowski. I dodaje: – Zarówno Discovery, jak i Scripps nie są zbyt mocne w zdigitalizowanych kanałach komunikacji i będą musiały się w tym kierunku rozwinąć, jeśli chcą konkurować z Netflixem.

Na rynku internetowego wideo jest już kilku bardzo mocnych graczy, choćby należący do Google YouTube czy właśnie Netflix. Fuzja Discovery i Scripps ułatwi wejście w bardzo dochodowy sektor, z którego wspomniani zawodnicy wagi ciężkiej nie będą chcieli zostać wypchnięci.

– Do tej pory zarówno jedna, jak i druga firma funkcjonowały głównie dzięki klientom kablowym. Synergia sprawi, że będą mogły zachować elementy tradycyjne w biznesie, czyli płatne kablowe kanały telewizyjne, ale można włączyć się w coś, czego do tej pory obie firmy nie robiły tak mocno, można włączyć się w coś, co nazywamy siecią, czyli zupełnie nowy w sensie dystrybucyjnym, bardzo pojemny biznesowo kanał – mówi prof. Jacek Dąbała.

Fuzja gigantów, których kapitalizacja giełdowa jeszcze przed pojawieniem się informacji o połączeniu wynosiła blisko 24 mld dol., zwiększy ich szanse na podbicie internetowego rynku. – Scripps dysponuje kapitałem blisko dwa razy mniejszym od Discovery. Tego typu fuzja, mówiąc w uproszczeniu, zwiększa siłę uderzenia trzykrotnie – ocenia prof. Dąbała.

Nie tylko zmiany w sposobie dotarcia do widza powodują, że na rynku medialnym coraz częściej dochodzi do wielkich połączeń. – Rynek telewizyjny zaczyna się przekształcać z rynku konkurencji w rynek katalityczny. To znaczy, że tak naprawdę konkretny nie tyle interesuje to, czy „ja mam więcej od ciebie”, ile czy cała branża rośnie, czy ludzie poświęcają coraz więcej czasu ze swojej doby na nasz kontent, np. wideo. Z większej grupy ludzi zawsze będzie większa grupa naszych, lojalnych widzów – mówi dr hab. Tomasz Gackowski. – Wyraźnie widać, że inwestorzy zwracają uwagę przede wszystkim na to, czy biznes rośnie, i interesują ich głównie przychody, a mniej zysk netto – dodaje.

W wielkich fuzjach medialnych jest coś jeszcze. – Nieujawniana wprost, ale jednak ambicja, która dotyczy możliwo-

ści wpływania na rozwój społeczeństw, gustów, smaków, charakterów, a idąc dalej – geopolityki. Potężne firmy zaczynają dysponować tak ogromnym kapitałem i tak wielką siecią wpływów, że stają się znaczącym partnerem nawet w świecie wielkiej polityki – podkreśla prof. Jacek Dąbała.

ZA ILE SIĘ SPRZEDAĆ

Discovery interesuje się Scrippsem od kilku lat. Rozmowy na temat połączenia były prowadzone już w 2014 r. Wtedy jednak rodzina właścicieli Scripps Network nie zgodziła się na sprzedaż swoich udziałów. W grę wchodziły względy czysto biznesowe. – Scripps uważał, że jeszcze ma możliwość wzrostu, zwłaszcza poza Stanami Zjednoczonymi – mówi dr hab. Tomasz Gackowski. Amerykańskie imperium medialne zainwestowało również w Polskę, kupując TVN. Czy ewentualna kolejna zmiana właściciela może wpłynąć na profil tej stacji? – Wątpię. Pamiętajmy, że mija trzeci rok, odkąd Scripps jest właścicielem TVN, główni zarządzający się nie zmienili, narracja ani linia programowa stacji się nie zmieniają, więc tym, co interesuje właścicieli, jest wzrost przychodów – ocenia medioznawca z Uniwersytetu Warszawskiego.

Przejęciem Scripps interesuje się również Viacom, właściciel m.in. MTV i Comedy Central. Jak podała w czwartek agencja Reuters, Viacom jest gotów zapłacić 10,6 mld dol. – Amerykańskie portale giełdowe poinformowały, że 26 lipca doszło do wewnętrznego spotkania właścicieli Scripps, na którym mieli ustalać, na ile chcieliby wycenić swój biznes. To sugeruje wprost, że mają więcej niż jednego oferenta. To, że w tle pojawia się Viacom, może spowodować, że Discovery ostatecznie nie kupi Scripps, bo z każdym kolejnym dniem, kiedy spekulacji będzie więcej, Scripps będzie coraz droższy (jest przecież notowany na amerykańskiej giełdzie, a od czasu pojawienia się plotek o fuzji kurs akcji wzrósł o ponad 30 proc.). I Discovery może poczekać, aż kurs spadnie, i dopiero wtedy go przejąć. Podanie informacji przez „The Wall Street Journal”, a więc przez bardzo wiarygodne źródło, może być zakulisową grą prawdopodobnie samej rodziny właścicieli Scripps Network Interactive – mówi dr hab. Tomasz Gackowski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

gramy sprzedaje tamtejszym nadawcom telewizyjnym), Korei Północnej, Syrii i Krymu (ze względu na obostrzenia amerykańskiego prawa) Netflix jest obecny na całym globie.

– Komfort współczesnego odbiorcy, jego pewien egoizm medialny prowadzą całą branżę do takiego zindywidualizowania. Oczywiście zindywidualizowanie budowane jest w oparciu o pewne przewidywalne sektory. Niemniej będzie można w tych sektorach wybierać i Netflix pokazał tego typu formułę, pokazał, że to są dobrze zainwestowane pieniądze – mówi prof. Jacek Dąbała, kierownik Katedry Warsztatu Medialnego i Aksjologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

– Największym wyzwaniem dla współczesnych koncernów medialnych jest zjawisko cord-cuttingu, czyli odcinania kabla. Coraz więcej osób uważa, że ma za mało czasu na oglądanie wideo w trybie „push”, czyli w sytuacji, kiedy mamy ramówkę i musimy zasiadać



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska ruletka

Dzięki prezydentowi Dudzie nie musimy już sprawdzać, czy Polska dotknęłaby konsekwencje za przeoranie sądów przez PiS, i to nawet gdyby odbyło się to w wersji nieco złagodzonej w stosunku do pierwotnej dzięki korekcie wymuszonej przez głowę państwa. A zatem czy Polska zapłaciłaby za owe, przeforsowane w niebywałym trybie zmiany cenę, którą byłoby m.in. zduszenie inwestycji, a więc i tempa wzrostu gospodarczego, czy wręcz przeciwnie – jak zapewniali wicepremier Morawiecki i jego koledzy z rządu? Tym bardziej że rzecz całą trudno byłoby widzieć inaczej niż w kontekście wcześniejszych zmian w TK.

Innymi słowy: Czy przedsiębiorcy uznaliby, że te bezceremonialnie podyktowane sądom zmiany tak dalece zwiększyłyby ryzyko obrotu gospodarczego, choćby z tego jednego, ale za to kluczowego powodu, że od tej pory także sądownictwo byłoby zaliczane do kategorii łupów politycznych kolejnych ekip rządzących (które wybierałyby „swoich” sędziów SN i TK), iż należałoby ograniczyć swe inwestycje? Czy jednak zdaniem przedsiębiorców zmiany te byłyby dla ryzyka obrotu gospodarczego neutralne lub – bo i tego nie można wykluczyć – z jakichś powodów zostałyby uznane przez nich za obniżające poziom tego ryzyka?

Jest rzeczą bezsporną, że po wejściu w życie przeforsowanych przez PiS zmian wpływ polityków, głównie

rządzących, na sądy radykalnie by się zwiększył – według PiS dopiero teraz czyniąc z nas państwo zorganizowane na podobieństwo Europy Zachodniej, według anty-PiS wręcz przeciwnie, bo zbliżając nas m.in. do Białorusi i Rosji.

Natomiast trudno w zaproponowanych zmianach dopatrzeć się wielu rozwiązań, które pomogłyby wyeliminować główną słabość naszych sądów i prawdziwą zmołę ich klientów: przewlekłość postępowań. No, może z wyjątkiem tego jednego, polegającego na wprowadzeniu zasady niezmienności składu orzekającego, który do końca rozpatrywania sprawy nie powinien ulegać zmianie (poza nadzwyczajnymi okolicznościami, np. chorobą sędziego). Dobrą zmianą jest też wprowadzenie reguły losowego przydzielania spraw sędziom, bo ograniczy ryzyko fatalnego w skutkach kumoterstwa. Na szczęście oba te rozwiązania wejdą w życie – zapisano je w niezawetowanej ustawie o ustroju sądów powszechnych.

W końcu dzięki wetom prezydenta wobec ustaw o SN i KRS nie musimy czekać na rozstrzygnięcie sporu, ile byśmy stracili (lub zyskali?) na tych zmianach w sądach (bo zmiany, i to gruntowne, są niezbędne). Czyli nie musimy też poznawać odpowiedzi na pytanie, czym się różni polska ruletka od rosyjskiej. W rosyjskiej – jak wiadomo – w बैंkenku rewolweru jest jeden nabój. A w polskiej? Więcej niż jeden czy ani jednego? Strzelac bowiem trzeba, przypomnijmy, we własną głowę. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Prawo macy

W pewnym mieście żyło 100 tys. rdzennych białych mieszkańców.

W wyniku polityki migracyjnej Unii w tym mieście osiedlił się 1 tys. imigrantów, jeden procent ludności. Założmy, że połowa mieszkańców to kobiety, z czego połowa jest w wieku rozrodczym. Podobnie wśród imigrantów połowa to kobiety, ale rodzić może każda. Średnio jedna biała kobieta ma jedno dziecko w wieku 30 lat, a jedna Arabka pięcioro dzieci w wieku 20–30 lat. Ponadto, jeden imigrant ściga do siebie jeszcze dwie

Arabów będzie 5,5 tys., w tym połowa to kobiety w wieku rozrodczym. Minie kolejne 20–30 lat, liczba białych mieszkańców spadnie do ok. 60 tys., liczba Arabów wzrośnie do ok. 25 tys. Jak widać, w trzecim-czwartym pokoleniu Arabowie będą stanowili większość i wprowadzą powszechne prawo szariatu w tym mieście. Tak działa arytmetyka migracji lub – nazywając rzeczy po imieniu – prawo macy.

Arytmetykę znamy ze szkoły, więc każdy polityk może sobie przeprowadzić podobne wyliczenia. Czy naprawdę chcemy takiej przyszłości dla naszych wnuczek i prawnuczek? Żeby chodziły zakutane w czarne prześcieradła, miały zakaz prowadzenia samochodów i wychodzenia z domu bez opieki mężczyzny? Czy naprawdę chcemy pogrzebać 2 tys. lat tradycji i kultury chrześcijańskiej Europy?

Oczywiście do tego nie dojdzie. Wojsko na granicy austriacko-włoskiej, mury na Węgrzech i rosnące obawy kobiet w wielu bogatych krajach Europy, które boją się wyjść po zmroku z domów w obawie, że zostaną zgwałcone lub pobite, to przykłady zmian społecznych i politycznych, które zatrzymają działanie prawa macy. Na razie wielki biznes popiera imigrację, bo potrzebuje taniej siły roboczej. Jednak robotyzacja postępuje tak szybko, że niedługo ta motywacja zniknie.

Dlatego jestem optymistą. Prawo macy nie zniszczy Europy. ©©

Czy naprawdę chcemy takiej przyszłości dla naszych wnuczek, żeby chodziły zakutane w czarne prześcieradła?

osoby. Przeprowadźmy bardzo uproszczone wyliczenia, żeby pokazać istotę problemu. Po 20–30 latach każda z 25 tys. białych kobiet urodzi i wychowa jedno dziecko, ale w tym czasie umrze dwa razy więcej osób, bo na każde narodzone dziecko umiera jedno małżeństwo. Będzie ok. 75 tys. białych mieszkańców, w tym 37,5 tys. kobiet, w tym 18 750 kobiet w wieku rozrodczym.

W tym czasie liczba imigrantów wzrośnie do 3 tys. i dodatkowo każda z 500 kobiet Arabek urodzi pięcioro dzieci, czyli w sumie 2,5 tys.

Specjalne Strefy Ekonomiczne

To tutaj przyspiesza polska gospodarka



I półrocze 2017 roku w SSE
zarządzanych przez ARP S.A. to:



40 zezwoleń
(w tym: 28 dla
polskich i 12 dla
zagranicznych firm)



1 mld zł
zobowiązań
inwestycyjnych



1158 nowych
miejsc pracy



Zapraszamy:



inwestorów polskich
i zagranicznych
planujących
nowe projekty



przedsiębiorstwa
tworzące **miejsca**
pracy



podmioty
nawiązujące
współpracę
z funkcjonującymi
już inwestorami
strefowymi



Zapewniamy:



tereny inwestycyjne
w 9 województwach



rozbudowaną
infrastrukturę



logistykę



kompetentne
wsparcie



finansowanie
inwestycji



doradztwo
inwestycyjne

euro-park
mielec

☎ (+48 17) 788 72 36

🌐 www.europark.arp.pl

euro-park
wistosan

☎ (+48 15) 822 99 99

🌐 www.tsse.arp.pl

TEST „DO RZECZY”: LG Q6

Swietny ekran i znakomita ergonomia – to największe zalety mniejszego i tańszego brata tegorocznego flagowego modelu LG G6.

Ekran Full Vision o przekątnej 5,5 cala i rozdzielczości 2160 x 1080 pikseli (Full HD+) zajmuje niemal cały przedni panel obudowy. To duży plus tego modelu – dotychczas smartfony z bardzo małymi ramkami były bowiem domeną segmentu premium. Obraz w Q6 nie jest może tak ostry jak w droższym modelu G6 (ma on odpowiednio 442 piksele oraz 564 piksele na cal), ale i tak jakość wyświetlacza zasługuje na pochwałę. Dodatkowo ekran ma proporcje 18:9, co oznacza, że będzie można na nim zobaczyć więcej treści podczas przeglądania stron internetowych, lepiej wyglądać też na nim będą kinowe superprodukcje kręcone najczęściej w proporcjach 21:9. Duży wyświetlacz ułatwia także współdzielenie ekranu i korzystanie z dwóch aplikacji jednocześnie.

Na pochwałę zasługuje również ergonomia. Q6 bardzo dobrze leży w dłoni. Mimo dużego ekranu z łatwością można go obsługiwać jedną ręką nawet wówczas, jeśli nie mamy tak ogrom-

nych dłoni, aby ukryć w nich bochenek chleba. Obudowa wykonana z aluminium i tworzywa sztucznego sprawia wrażenie solidnej, choć łatwo zbiera odciski palców.



Nowy smartfon LG jest też stosunkowo lekki (waży 149 g).

Niestety, budżetowa wersja flagowca została pozbawiona wielu zalet modelu G6. Q6 nie jest wodoodporny. Próżno też w nim

szukać np. skanera linii papilarnych. Miłośników smartfonowej fotografii rozczaruje z kolei to, że w modelu Q6 dostępny jest tylko jeden obiektyw głównego aparatu o rozdzielczości 13 megapikseli, który w dodatku naprawdę przyzwoite zdjęcia robi tylko przy dobrym świetle. Model Q6 nie oferuje też możliwości kręcenia filmików w rozdzielczości 4K. Fanów robienia selfie ucieszy za to szerokokątny przedni aparat o rozdzielczości 5 Mpix.

LG pod maską modelu Q6 zamontowało procesor Snapdragon 435, który nie jest niestety najmocniejszym układem na świecie. Dzięki 3 GB pamięci RAM oraz najnowszej wersji systemu Android (7.1.1 Nougat) smartfon zazwyczaj działa płynnie i nie przycina się zbyt często nawet przy korzystaniu z dwóch aplikacji jednocześnie.

Pamięć wewnętrzną (32 GB) można rozbudować za pomocą karty microSD.

Ile kosztuje model Q6? Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika „Do Rzeczy”, oficjalna cena nie była jeszcze znana. Nieoficjalnie spekuluje się, że model Q6 ma kosztować w Polsce ok. 1,5 tys. zł.

Jacek Przybylski ©

Z PALCA WYŚŁUCHANE

To nie jest dziennikarska plotka wyssana z palca w sezonie ogórkowym. Chociaż zapewne informacji wysłuchanych... z palca niebawem przybędzie. A wszystko za sprawą całkiem interesującego gadżetiku o nazwie ORII – Your Voice Powered Smart Ring azjatyckiej firmy Origami Labs. Urządzenie przypomina nieco większy pierścionek, w wersji męskiej sygnet w cielistym kolorze, z modulem do odbierania i nadawania dźwięku oraz asystentem komend głosowych (co ma sprawić, jak wierzą jego producenci, że w przyszłości ORII i jego następcy wyeliminują smartfony). Jak to działa? Ano wystarczy przyłożyć palec z pierścionkiem do głowy, dotykając ucha, słuchać uważnie i mówić wyraźnie. Proste? Tylko pozornie. W rzeczywistości urządzenie wykorzystuje technologię przekazywania dźwięku „przez kości” – przenoszenie drgań z urządzenia przez kości palców do ucha. Na tym etapie potrzebny jest też smartfon, z którym urządzenie łączy się za pomocą modułu Bluetooth – wmontowany w ORII voice asystent pozwala na dokonywanie notatek, łączenie rozmów, zapisywanie wiadomości głosowych.

Producenci ruszyli ze zbiórką środków na uruchomienie produkcji na Kickstarterze

i zebrali czterokrotność potrzebnej kwoty, ale „kwesta” na rozpoczęcie produkcji jeszcze trwa. W przedsprzedaży urządzenie można zamówić właśnie na tym portalu, wpłacając kwotę ok. 400 zł.

KIJEK Z FOTOPSTRYKIEM

Jasne, można śmiać się z maniaków robienia sobie sweet foci, biegających coraz częściej z pokaznymi kijkami pozwalającymi na fotografowanie z pewnej odległości. Kilka miesięcy temu będąc w Kołobrzegu, na plaży i bulwarze spacerowym maniaków selfikowania z kijkami widziałem sporo i trzeba przyznać, że tak single, jak i parki dzięki niemu nie nagabywały przechodniów: „Proszę pana/pani, proszę nam zrobić zdjęcie”. Czyli pewne plusy są. Zalety ma też nowy kijek do selfików o nazwie MyPole – selfiestick with Auto-Extension. Producentka Mei Dodson przekonuje, że jej kijek jest pierwszym tego rodzaju na świecie. Dlaczego? Po pierwsze – ze względu na możliwość automatycznej regulacji długości kijka i ustawienia kąta (smartfona) przy robieniu zdjęcia. Po drugie – teleskopowy kijek rozkłada się po naciśnięciu przycisku, a więc szybciej i sprawniej niż te rozkładane ręcznie. Bateria działa nieco ponad godzinę. Urządzenie można zamawiać na Kickstarterze w cenie od ok. 250 zł. ©

Wojciech Wybranowski



Określenie „innovacyjna gospodarka” powtarzane jest do znudzenia.

Nie bez kozery. Dla gospodarek rozwiniętych najważniejsza jest myśl technologiczna, zwłaszcza w dobie coraz bardziej wymagającego rynku pracy i rosnących kosztów zatrudnienia.

Żyjemy w czasach biurokracji w biznesie. Ogromną część rynku zajmują korporacje, których specyfika działania wymaga skonstruowania systemu weryfikowanych procedur, a więc posługując się językiem potocznym – papierologii. Małych firm jest coraz mniej, fundacja Kaufmanna wskazuje, że podczas gdy jeszcze w latach 70.

start-upy stanowiły 16 proc. wszystkich firm, dzisiaj jest to zaledwie 8 proc. A tylko małe firmy odczuwają potrzebę wymyślenia nowych rozwiązań – chociażby z powodu chęci zwiększenia konkurencyjności względem dużych podmiotów o ugruntowanej pozycji i wielkim kapitale.

Firmy zaawansowane pod względem technologicznym i próbujące wdrażać nowe standardy organizacji pracy są również czynnikiem poprawiającym innowacyjność i jakość miejsc pracy w całej gospodarce.

KLIMAT DO WSPARCIA

Aby start-upy mogły się swobodnie rozwijać, konieczne jest stworzenie tzw. ekosystemu, czegoś, co w Stanach Zjednoczonych nazywane jest „start-up economy”. Koncepcja polega na tym, aby dostroić przepisy do specyfiki małych, nowatorskich przedsiębiorstw, zapewnić im źródła finansowania oraz wiedzę, w jaki sposób poruszać się po rynku lub w jak rozwijać firmę.

Ministerstwo Rozwoju zajmuje się legislacją – wprowadzane w ramach 100 zmian dla firm. Nowelizacje są przede wszystkim skierowane

Podwójnie zwrotna inwestycja



Era bezzwrotnych dotacji dobiega końca. Finansowanie w formie kredytu jest dużo bardziej efektywne. Dlatego, chcąc pobudzić innowacyjność, polskie instytucje decydują się robić to przy użyciu instrumentów zwrotnych

do właścicieli niewielkich przedsiębiorstw. Podmiotem, który dostarcza konkretne rozwiązania, jest Polski Fundusz Rozwoju (PFR). Za pośrednictwem PFR Ventures zarządza funduszami funduszy, zapewniając finansowanie zwrotne innowacyjnym MŚP na różnych etapach rozwoju. Robi to we współpracy z funduszami venture capital oraz grupami aniołów biznesu, a więc podmiotami, które

zajmują się inwestowaniem w młode przedsięwzięcie, pobudzając tworzenie solidnych źródeł finansowania dla start-upów.

PFR jest podmiotem zarządzanym przez Skarb Państwa, ale to nie znaczy, że nie działa rynkowo. Wszystkie produkty przeznaczone dla venture capital są instrumentami zwrotnymi, czyli kredytami. Fundusz odchodzi od oferowania bezzwrotnych dotacji,

które krytykowane były za „psucie rynku” oraz stwarzały pokusę marnotrawstwa. PFR Ventures oferuje finansowanie zwrotne wspólnie z doświadczonymi na tym rynku funduszami venture capital. Ich rolą jest, aby dobrze rozpoznać rynek i zainwestować w przedsięwzięcie, które ma szansę zaistnieć. Dzięki temu ryzyko „wpadki” jest dużo mniejsze.

FIRMA, KTÓRA ZARABIA

Jeśli start-upy są tak zbawienne dla gospodarki, logika wolnego rynku wskazywałaby, że da się na nich dobrze zarobić. I tak jest w rzeczywistości. Weźmy przykład Audioteki – firma ta w cztery lata powiększyła swoją wycenę niemal 10-krotnie.

Przedsiębiorstwo powstało w 2008 r., trzy lata później rozpoczęła ekspansję zagraniczną, a w 2012 pozyskała swojego pierwszego inwestora instytucjonalnego. Wycena przed zaangażowaniem kapitałowym ze strony funduszu wynosiła wtedy 8 mln zł. Drugi raz Audioteka walczyła o pieniądze z zewnątrz w 2016 r., ale wtedy już jej wstępna wycena wyliczona została na 75 mln zł.

Powracając do sposobów wsparcia PFR – dzięki zastosowaniu zwrotnych instrumentów zyskują możliwość niemal nieustannego wspierania rynku swoimi funduszami. Kiedy dana inwestycja w start-up zarobi, a inwestor odda pożyczony kapitał, fundusz będzie mógł zainwestować w następne nowatorskie przedsięwzięcie. W ten sposób osiągniemy prawdziwy efekt kuli śnieżnej w tworzeniu innowacyjnej gospodarki.

Ewelina Kwiatkowska

Aż 70 proc. konsumentów nie spotkało się nigdy z terminem CSR – wynika z opublikowanego w czerwcu barometru Francusko-Polskiej Izby Gospodarczej (CCIFP), przeprowadzonego już drugi raz wśród należących do Izby firm francuskich i polskich. Nie widać więc wielkiej poprawy, ponieważ rok wcześniej CSR

również był pojęciem nieznanym ponad 70 proc. Polaków.

O społecznej odpowiedzialności biznesu (z ang. Corporate Social Responsibility – CSR) nadal mówi się stosunkowo rzadko nie tylko w mediach, lecz także nawet podczas studiów menedżerskich. Coraz więcej wiedzą na ten temat szefowie nie tylko dużych korporacji, lecz także małych rodzinnych firm, a na rynku przybywa szkoleń i książek z tego zakresu. Pozwalają one na zmianę stereotypu mówiącego o tym, że społeczna odpowiedzialność biznesu to tylko działania sponsorskie czy znany od wieków mecenat sprawowany przez bogatych biznesmenów nad zdolnymi uczniami lub artystami. Czym więc jest ten zagadkowy CSR? Jest to taka strategia zarządzania przedsiębiorstwem, zgodnie z którą firmy prowadzą działalność w taki sposób, aby przyczyniać się do zrównoważonego rozwoju, wspierać społeczność lokalną, a także projekty, które służą

m.in. ochronie środowiska, poprawie jakości życia czy też rozwojowi pracowniczego wolontariatu (zatrudnieni w korporacjach pomagają np. domom dziecka i hospicjom).

Taka definicja jest na tyle ogólna, że niektórzy szefowie firm albo ich klienci mogą sądzić, iż działania z obszaru CSR są po prostu najtańszym narzędziem marketingowym. Choćby z tego powodu deklarowane wartości – aby brzmiały wiarygodnie – muszą się pokrywać z tym, co dana firma rzeczywiście robi. Nierzadko zdarza się również, że piękne, ogólnikowe deklaracje przeważają nad konkretnymi i weryfikowalnymi działaniami.

Warto mieć to na uwadze, zwłaszcza że z opublikowanego w marcu „Barometru CSR” – przygotowanego przez CSR Consulting oraz Maison & Partners – wynika, iż chociaż 34 proc. pytanym uważa, że CSR to innowacyjne podejście do rozwoju biznesu, które przynosi korzyści społeczeństwu i firmie, to 16 proc. ankietowanych widzi w tego typu działaniach hipokryzję. W ramach badania zdefiniowano też sześć profili konsumenckich, które pokazują ich stosunek do działań CSR. Są to: Korpo-



Jacek Przybylski

Społeczna odpowiedzialność biznesu z roku na rok jest ważniejsza dla coraz większej liczby firm w Polsce. Przeciętny Kowalski wciąż mało wie o tego typu działaniach

Serce w





egoiści, Wykluczeni Frustraci, Pasywni Pozerzy, Ekopragmatycy, Wrażliwi Intelktualści oraz Spełnieni Realści.

OD STYPENDIÓW DO SKARPEK

Aby idea społecznej odpowiedzialności biznesu miała jak największe szanse na sukces, powinna być przede wszystkim dobrowolna. Musi także uwzględniać potrzeby lokalnych społeczności, wymogi środowiska naturalnego i być zgodna z obowiązującym w danym kraju prawem.

Jak ta definicja przekłada się na praktykę? Dla przykładu Grupa Lotos w ramach programu „LOTOS – Mistrzowie w pasach” promuje akcje, których celem jest wyrabianie u dzieci nawyku zapinania pasów i jazdy w fotelikach samochodowych. Z kolei w ramach programu „Zdolni z LOTOSEM” na wsparcie mogą liczyć uzdolnieni uczniowie z regionów, w których funkcjonują spółki Grupy Lotos. Z kolei działająca od 2014 r. Fundacja Enea wspiera różnego rodzaju fundacje, a także stowarzyszenia, szkoły, domy dziecka czy ośrodki pomocy społecznej, promuje również projekty kulturalne, sportowe, innowacyjne, edukacyjne, proekologiczne oraz służące zdrowiu i aktywnemu trybowi życia.

W ramach działań z obszaru CSR prowadzone są również akcje historyczne i patriotyczne. Chodzi zarówno o publikowanie książek i broszur upamiętniających wielkich Polaków oraz Żołnierzy Wyklętych, popieranie Biegu Tropem Wilczym poświęconego pamięci Niezłomnych, jak i o działania wspierające środowiska kombatanckie.

Z kolei Fundacja Grupy Adamed w ramach programu SmartUP wspiera rozwój utalentowanej młodzieży. Jego laureaci prowadzą własne badania naukowe, uczestniczą w międzynarodowych projektach, a także studiują za granicą. Wspieranie rozwoju młodzieży i stworzenie jej równych szans edukacyjnych to również cel programu stypendialnego „Na Rodzinę Można Liczyć” prowadzonego przez IKEA we współpracy z Fundacją Świętego Mikołaja.

W ciekawą akcję z zakresu odpowiedzialności społecznej zaangażował się też Bank Zachodni WBK. Objął on mecenatem projekt promujący dobre modele ojcostwa, na który złożyły się: sześć reportaży,

zdjęcia i filmowe formy dokumentalne ukazujące historie konkretnych ludzi autorstwa Konrada Kruczkowskiego. W projekt zachęcający rodziców do spędzania większej ilości czasu z dziećmi zaangażowała się również Nivea, która wybudowała na terenie Polski 40 nowych Rodzinnych Miejsc Zabaw. Aby wśród bawiących się



biznesie

■ dzieci mniej było takich, które mają zbyt dużą masę ciała, firmy Jerónimo Martins Polska i Green Factory zrealizowały projekt „Zielona Kraina”, a więc cykl bezpłatnych warsztatów edukacji żywieniowej skierowanych do uczniów czwartych klas szkół podstawowych. Z kolei Kompania Piwowarska promuje odpowiedzialność i umiarkowanie w spożywaniu alkoholu. W kampanii „Bądź mądry!” ostrzegała przed piciem nieletnich, kobiety w ciąży i kierowców.

Stałym punktem obrad rad nadzorczych różnych firm – zarówno polskich, jak i tych z kapitałem zagranicznym – stało się również pojęcie „zrównoważonego rozwoju”. Według wyznaczonych przez ONZ celów chodzi m.in. o taki rozwój, który odpowiada obecnym potrzebom ludzi, ale który nie ogranicza możliwości zaspokajania potrzeb przyszłym pokoleniom.

Firmy w ramach działań CSR starają się też ułatwiać dostęp do swoich usług klientom niepełnosprawnym (np. poprzez wprowadzenie tłumaczy języka migowego w supermarketach czy bankach), a także stosują nowe technologie w celu poszerzenia liczby kanałów komunikacji. Wiele przedsiębiorstw stara się również wspierać wolontariat pracowniczy, wprowadza dodatkowe świadczenia

opisuje działania aż 180 firm, czyli o jedną czwartą więcej niż rok wcześniej. Do najnowszej edycji raportu zakwalifikowało się też rekordowo dużo małych i średnich firm (wzrost z 35 firm rok temu do 48). Rekordowa była również liczba praktyk zakwalifikowanych do raportu stanowiących sumę praktyk nowych i długoletnich (wzrost z 811 do 880). Z kolei w tegorocznym, 11. Rankingu Odpowiedzialnych Firm wzięło udział ponad 200 przedsiębiorstw. W ścisłej czołówce znaleźli się tacy giganci jak Coca-Cola HBC, Schenker Sp. z o.o., Polpharma, Orange Polska czy Grupa Lotos. Strategia społecznej odpowiedzialności biznesu nie jest jednak jedynie domeną największych korporacji.

Przykładem akcji z obszaru CSR promowanej przez polskie mikroprzedsiębiorstwa jest np. program „Share a Pair” prowadzony przez twórców marki Many Mornings – za każdą sprzedaną parę skarpet, druga jest przekazywana na cele charytatywne (w ręce potrzebujących, a w zasadzie na ich stopy, trafiło już dzięki temu ponad 60 tys. par skarpet).

NotJustShop – zajmujący się m.in. sprzedażą odzieży oraz gadżetów – dochód z działalności handlowej przeznacza na pomoc potrzebującym dzieciom. NotJustShop prowadził też np. akcję „Daj-

ceny każdego produktu przeznaczone jest na działania prospołeczne). Właściciele mikrofirm chcący działać społecznie odpowiedzialnie i na dobre zmieniać otoczenie, w którym działają, angażują się również np. w malowanie szkół lub organizację darmowych szkoleń dla członków lokalnych społeczności.

W społeczeństwach zachodnich konsumenci od dziesięcioleci domagają się od firm – i to zarówno od gigantów, jak i od mikroprzedsiębiorców – aby lepiej dbały nie tylko o swój interes, lecz także o środowisko naturalne czy rozwój lokalnych społeczności. W trosce o dobry wizerunek swojej marki nawet najbardziej zapatrzeni w arkusze kalkulacyjne menedżerowie musieli więc angażować się w działania CSR, aby nie stracić klientów.

LEPSZA REPUTACJA, WIĘKSZE ZYSKI

Z badania „Investing for a sustainable future” opisanego w maju zeszłego roku na łamach „MIT Sloan Management Review” wynika, że inwestorzy widzą silny związek między działaniami związanymi z CSR i zrównoważonym rozwojem a wynikami finansowymi ich firm. „Inwestorzy przykładają większą wagę do kwestii zrównoważonego rozwoju, niż uważa wielu zarządzających w korporacjach” – czytamy. Z badania wynika, że tylko 60 proc. menedżerów spółek notowanych na giełdzie uważa, iż dobre wyniki w sferze zrównoważonego rozwoju są istotnym czynnikiem dla inwestorów podejmujących decyzje o wyborze danej firmy. Tymczasem autorzy badania przekonują, że jest coraz więcej dowodów na to, że działania z zakresu odpowiedzialnego biznesu w dłuższej perspektywie przyczyniają się do sukcesów finansowych firm. Coraz częściej zarówno drobni inwestorzy, jak i zarządzający funduszami inwestycyjnymi, zwracają baczniejszą uwagę na wyniki finansowe, a także na działania z zakresu zrównoważonego rozwoju. Niemal połowa badanych inwestorów twierdzi, że nie zainwestuje w spółkę, która osiąga słabe rezultaty w sferze CSR. Około 60 proc. członków zarządów funduszy inwestycyjnych deklaruje, że są gotowi wycofać się z firm, które słabo radzą sobie na polu zrównoważonego rozwoju.

Jednak chociaż niemal 90 proc. menedżerów deklaruje, że strategia w tym obszarze jest kluczowa dla zwiększenia konkurencyjności, to jedynie 60 proc. firm rzeczywiście ma taką strategię.



Fundacja Grupy Adamed w ramach programu SmartUP wspiera rozwój utalentowanej młodzieży. Zdjęcie z innowacyjnego obozu naukowego w SGGW. FOT. ANNA LIMINOWICZ

socjalne, uczy swoich pracowników, jak godzić obowiązki zawodowe z życiem osobistym lub promuje wśród swojej kadry różnorodność (np. zatrudniając nie tylko młodych, lecz także dużo starszych i doświadczonych pracowników).

NIE TYLKO KORPORACJE

Najnowszy raport „Odpowiedzialny biznes w Polsce 2016. Dobre praktyki”

my Książki za Odpady”, w ramach której zbierano elektroniczny złom do utylizacji i kupowano książki dzieciom z biednych rodzin. Z kolei platforma sprzedażowa Transparent Shopping Collective skupia marki, które stawiają na transparentność ceny (ujawniają cenę materiałów oraz koszt pracy), przejrzystość produkcji (z poszanowaniem praw pracownika) oraz kapitał społeczny (od 3 do 5 proc.



WSPIERAMY I ROZWIJAMY PROGRAMY SPOŁECZNE

Czystość, otwartość, innowacyjność i odpowiedzialność
to podstawy naszych działań.

Swoimi decyzjami wpływamy na lepszą przyszłość ludzi
i środowiska. Bo wspólnie możemy wiele zmienić
dla dobra kolejnych pokoleń.

www.lotos.pl



Do podobnych wniosków doszli również autorzy „European SRI Study 2016”. Z siódmej edycji raportu opracowanego przez organizację Eurosif we współpracy z EY wynika, że „zarządzający blisko połową aktywów w Europie w swoim spektrum inwestycyjnym nie uwzględniają podmiotów, które nie spełniają określonych kryteriów etycznych lub środowiskowych”. Wartość aktywów zarządzanych z uwzględnieniem tzw. analizy opartej na normach wzrosła od 2013 do 2015 r. aż o 40 proc.

Wielu zarządzających funduszami inwestycyjnymi nie ma już nawet możliwości inwestowania w spółki, które nie realizują standardów etycznych. Podejmowanie decyzji na podstawie informacji dotyczących spełniania wymogów etycznych, społecznych czy środowiskowych jest szczególnie popularne wśród inwestorów francuskich, holenderskich, włoskich oraz szwedzkich. Raport SRI pokazuje także, że tzw. odpowiedzialne inwestowanie jest istotne nie tylko dla dużych instytucji finansowych, lecz także dla inwestorów nieinstytucjonalnych.

SZWEDZI ZNÓW LIDERAMI

Z różnych badań dotyczących społecznej odpowiedzialności biznesu wynika, że dla większości przedsiębiorców to właśnie kwestia wzmacniania pozytywnego wizerunku jest istotnym bodźcem do podejmowania działań z zakresu CSR. Przedstawiciele ruchów konsumenckich w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej potrafią bowiem błyskawicznie zyskać duży rozgłos w mediach i ogłosić wyjątkowo kosztowny bojkot wybranych firm.

Podobny trend zaczyna być widoczny również nad Wisłą. Wprawdzie w Polsce przez pół wieku komunizmu konsumenci mieli niewiele do powiedzenia, to w ostatnich latach menedżerowie coraz większej liczby polskich firm interesują się kwestiami CSR, bo również w Polsce konsumenci powoli zaczynają wymagać od odnoszących sukcesy przedsiębiorstw nie tylko coraz lepszych produktów, lecz także wspierania innych. Przekonał się o tym gigant branży odzieżowej, firma LPP, po tym jak znalazł się pod presją społeczną, gdy zawałiła się fabryka Rana Plaza w Bangladeszu, gdzie sztyo m.in. ubrania dla tej firmy, grzebiąc ponad tysiąc pracowników.

Mimo ogłoszonego w mediach społecznościowych bojkotu, sprzedaje nie tylko nie spadła, lecz także wzro-

sła. Polacy wciąż są bowiem pod tym względem znacznie mniej aktywni niż klienci w społeczeństwach zachodnich. Z zeszłorocznego badania „CSR w praktyce – barometr CCIFP” wynikało, że nad Wisłą jedynie dwie osoby na dziesięć przy dokonywaniu zakupów biorą pod uwagę, czy dana firma jest odpowiedzialna społecznie. Bardziej optymistyczne wnioski przyniosło badanie „Barometr CSR” realizowane przez CSR Consulting i Maison & Partners. W tym przypadku średnio 49 proc. pytanym zadeklarowało, że są gotowi zmienić markę na taką, która przeciwdziała problemom społecznym lub działa na rzecz ochrony środowiska, a 51 proc. stwierdziło, że to, czy marka przeciwdziała problemom społecznym lub działa na rzecz ochrony środowiska, nie ma wpływu na ich decyzję o kupnie.

Wciąż niewielka presja ze strony konsumentów sprawia, że przedsiębiorcy w Polsce nie muszą zbyt często o działania prospołeczne. Mimo to firm, które inwestują w CSR, ciągle przybywa. I to nie tylko wśród koncernów z polskim kapitałem.

W dobre praktyki w obszarze odpowiedzialności społecznej aktywnie angażują się też np. działające w Polsce firmy skandynawskie i francuskie. Według badania Skandynawsko-Polskiej Izby Gospodarczej w ciągu ostatnich dwóch lat działania z obszaru CSR podejmowało aż 88 proc. badanych firm skandynawskich. Dla porównania z tego samego badania wynika, że w tym czasie aktywność w obszarze społecznego biznesu podejmowało 53 proc. przebadanych polskich firm.

Zarówno polskie, jak i skandynawskie, podejmują działania z zakresu CSR w po-

Z najnowszego raportu „CSR w praktyce – barometr Francusko-Polskiej Izby Gospodarczej (CCIFP)” wynika także, że 44 proc. badanych uważa, iż CSR skutecznie pomaga w pozyskiwaniu lojalnych pracowników i nowych talentów. Działania tego typu mogą być istotne zwłaszcza dla tzw. millenialsów, dla których szczególnie ważny jest „sens pracy”.

Według najnowszego raportu RobecoSAM w kwestii społecznej odpowiedzialności biznesu prym znów wiodą Szwedzi. Na następnych miejscach znaleźli się Norwegowie, Finowie i Duńczycy. W gronie najlepszych są też Szwajcarzy, Kanadyjczycy, Australijczycy, Irlandczycy, Nowozelandczycy oraz Holendrzy. Polska w tym zestawieniu znalazła się na 27. miejscu przed Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Chile czy Słowacją.

DORAŻNE DZIAŁANIA

Eksperci zauważają, że coraz więcej działających nad Wisłą przedsiębiorstw stara się prowadzić odpowiedzialny biznes na wszystkich etapach działalności i wobec wszystkich interesariuszy, a więc zarówno wobec klientów, inwestorów i pracowników, jak i np. wobec dostawców.

Z raportu Francusko-Polskiej Izby Gospodarczej wynika, że chociaż coraz więcej firm tworzy roczne lub nawet dwuletnie strategie CSR (wzrost z 9 proc. w 2016 r. do 21 proc. w 2017 r.), to nadal duża część działających w Polsce firm, zamiast traktować CSR strategicznie, ogranicza się tylko do doraźnych działań. 35 proc. firm prowadzi krótkookresowe akcje CSR, a 27 proc. przeznaczają pieniądze w zależności od chwilowych potrzeb. Wciąż problemem jest też duża liczba organizacji, które nie mierzą wyników (30 proc. firm) i nie potrafią oszacować korzyści z prowadzonych projektów (28 proc.).

W kwestii rozwoju społecznej odpowiedzialności biznesu w Polsce wciąż jest więc dużo do zrobienia. Klienci mogą żądać od przedsiębiorców transparentnych informacji pozwalających zweryfikować, czy faktycznie podejmują tak szumnie ogłaszane działania. Na przejrzystości i opracowaniu trwałej strategii odpowiedzialnych działań mogą zyskać też menedżerowie i inwestorzy – wiarygodność akcji podejmowanych w obszarze CSR może bowiem sprawić, że klienci w Polsce zaczną częściej wybierać produkty i usługi tych firm, które potrafią podzielić się zyskiem i chcą zmieniać na lepsze otaczający je świat. © Wszelkie prawa zastrzeżone

ok. 60 proc.

TYTUŁ CZŁONKÓW ZARZĄDÓW FUNDUSZY INWESTYCYJNYCH JEST GOTOWYCH SIĘ WYCOFAĆ Z FIRM, KTÓRE SŁABO RADZĄ SOBIE NA POLU ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU

dobnych obszarach. Najczęściej skupiają się na aktywności dotyczącej ochrony środowiska (82 proc. firm skandynawskich i 93 proc. polskich). Dbają także o uczciwe praktyki budżetowe (odpowiednio 75 proc. i 86 proc.).



**Raport CSR
Enei online**

Raport zrównoważonego rozwoju Grupy Enea za 2016 r.
jest dostępny online już po raz piąty.

Równolegle, po raz trzeci, ukazał się Raport roczny Enei za 2016 r.

Wejdź na **enea.pl** i zobacz, jakie działania z zakresu społecznej odpowiedzialności biznesu, projekty środowiskowe, społeczne i pracownicze zrealizowała Enea w ubiegłym roku.

Zapoznaj się z Raportem rocznym Enei za 2016 r. i dowiedz się, jakie innowacje wdrożyła i jakie inwestycje przeprowadziła Enea jako jeden z największych koncernów surowcowo-energetycznych w Polsce.

enea.pl

eprasa.pl 82f4e782d1

Firma
Przyjazna
Klientowi



FOT. ENEA

Człowiek to brzmi dumnie

Grupa Enea, wicelider polskiego rynku elektroenergetycznego w zakresie energii elektrycznej, opiera swoje działania odpowiedzialne społecznie przede wszystkim na współpracy z lokalnymi społecznościami. Ta współpraca jest możliwa dzięki zaangażowaniu i bezpośredniej aktywności pracowników, których jest ponad 15 tys. To oni tworzą innowacyjny koncern surowcowo-energetyczny i stanowią siłę napędową wszystkich odpowiedzialnych społecznie projektów oraz inicjatyw.

Najważniejsze pomysły edukacyjne, charytatywne i proekologiczne prowadzone w Grupie w ostatnich latach zostały zrealizowane przez Fundację Enea. Fundacja istnieje od 2014 r. Została powołana, by realizować politykę zaangażowania społecznego Grupy. Wspiera projekty społeczne z zakresu rozwoju m.in. dzieci i młodzieży, aktywizacji obszaru sportu oraz promocji zdrowego trybu życia. W kwietniu br. fundacja odebrała wyróżnienie Signum Caritatis

w kategorii Darczyńcy Roku, przyznanej jej za działalność w zakresie społecznej odpowiedzialności biznesu.

PROJEKTY DLA MAŁYCH I DUŻYCH

Uśmiech, ogromna radość, a przede wszystkim pozytywne sportowe emocje to nieodłączne elementy towarzyszące programowi „Enea Akademia Sportu”, który promuje aktywność fizyczną wśród dzieci i młodzieży. Już kolejny rok z zajęć sportowych skorzystało 3,1 tys. dzieci z 73 szkół w województwach: wielkopolskim, lubuskim, kujawsko-pomorskim oraz zachodniopomorskim.

Z myślą o zdolnych uczniach, którzy osiągają ponadprzeciętne wyniki w sporcie, nauce czy sztuce, od 1 września br. zostanie uruchomiony pierwszy program stypendialny „Enea Akademia Talentów”. Uczniowie szkół podstawowych i gimnazjalnych, zlokalizowanych na terenie działania spółek z Grupy Enea, będą mogli starać się o jednorazowe stypendia w wysokości 3 tys. zł. Szkoły, które prowadzą projekty i inicjatywy wspierające swoich

najzdolniejszych podopiecznych, będą mogły się starać o granty w wysokości 10 tys. zł.

– Dokładamy kolejną cegiełkę do naszej działalności – mówi Sławomir Krenczyk, prezes Fundacji Enea. – Do „Enea Akademia Sportu” dołącza program stypendialny, którego celem jest popularyzacja dyscyplin także pozasportowych, tj. nauki i sztuki. Nagradzając i promując najlepszych, chcemy inspirować do poszukiwań oraz tworzenia nowych, ciekawych metod i narzędzi edukacji – dodaje Sławomir Krenczyk.

Za sprawą projektu „Dobra Energia ponad Granicami” udało się połączyć społeczność Wielkopolski z Polakami z Wileńszczyzny. W czerwcu w Wielkopolsce przebywała 50-osobowa grupa dzieci z polskich rodzin wielodzietnych z Litwy. Goście zwiedzali zabytki historyczne i przyrodnicze regionu, uczestniczyli w warsztatach i spotkaniach z rówieśnikami. Inicjatywa miała na celu zachęcanie rodziców dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia do wyboru polskich szkół oraz

nauki języka polskiego, polskiej historii, kultury, a także tradycji, budujących więź z ojczyzną. Przebywający z dziećmi nauczyciele mieli także okazję uczestniczyć w specjalnie dla nich zorganizowanych szkoleniach, m.in. z dydaktyki i metodyki, które odbyły się w Zespole Szkół Katolickich im. św. Jana Pawła II w Śremie. Organizatorem szkoleń było Katolickie Centrum Edukacji i Kultury.

Dla młodych sport, edukacja i zabawa, dla starszych – rozwój własnych kompetencji i umiejętności oraz propozycje aktywizacji poza środowiskiem domowym. Z myślą o seniorach w wieku emerytalnym i przedemerytalnym Enea współfinansuje pilotażowy program studiów w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych w Poznaniu. Inicjatywa jest zgodna z Rządowym Programem na rzecz Aktywności Osób Starszych na lata 2014–2020.

UWOLNIJ SWOJĄ ENERGIĘ I DAJ SIEBIE INNYM

Wolontariat pracowniczy jest silnym fundamentem inicjatyw na rzecz społeczności lokalnych. Pracownicy Grupy od lat systematycznie udzielają się w szkołach i przedszkolach, przeprowadzając lekcje o bezpiecznym obchodzeniu się z prądem i jego oszczędzaniu. Działają także w zespołach ratowniczych, które dzielą się swoją wiedzą i umiejętnościami z zakresu udzielania pierwszej pomocy, szkoląc dzieci, młodzież i dorosłych.

Fundacja Enea wspiera realizację własnych pomysłów i przedsięwzięć zgłaszanych przez pracowników. Od początku roku udało się uporządkować ogród przy poznańskim Hospicjum Pallium; odmalować i udekorować świetlicę środowiskową w centrum Poznania; zadbać o ogród na terenie Warsztatów Terapii Zajęciowej w Kozienicach.

Także w Kozienicach wolontariusze wraz z Polskim Związkiem Wędkarskim i trzema szkołami przeprowadzili akcję zarybiania Wisły, podczas której do rzeki trafiło kilka tysięcy małych szczupaków. Ekologiczne działanie było połączone z prezentacjami i konkursami na temat ochrony środowiska.

BIEGIEM NA POMOC

Dużą część działalności fundacji stanowią projekty charytatywne, w których udział biorą pracownicy. „Biegamy – Zbieramy – Pomagamy” to hasło akcji, której celem jest promowanie aktywno-

ści fizycznej i zdrowego trybu życia oraz integracja pracowników spółek Grupy. Za sprawą udziału w poszczególnych zawodach biegowych zbierane są punkty, które przeliczane są na złotówki. Zgromadzone kwoty przeznaczone są na działania wspierające sportowe talenty u dzieci i młodzieży, m.in. poprzez organizację obozu sportowego z udziałem profesjonalnych sportowców i trenerów.

Miłośnicy biegania co roku biorą udział w największym charytatywnym wydarzeniu spod znaku swojej dyscypliny sportowej w Polsce – Poland Business Run. Ścigają się, by pomóc osobom po amputacjach kończyn spełniać ich marzenia. W 2016 r. wystartowało aż 13 pięcioosobowych drużyn, w najbliższym wyścigu będzie to 10 ekip. Wszystkie zebrane środki przekazywane są podopiecznym Stowarzyszenia Jaska Meli „Poza Horyzonty”.

KAŻDY MOŻE WSKAZAĆ POTRZEBUJĄCYCH

Od lat w spółkach Grupy pracownicy pomagają, angażując się w zbiórki darów na rzecz potrzebujących. Zbierane są słodycze, zabawki, drobne upominki dla podopiecznych instytucji, które pracownicy sami wskazują, znając je ze swojego bliskiego otoczenia. W tym roku w ramach akcji „Paczka Wielkiej Mocy” na Wielkanoc pomoc otrzymali podopieczni z 10 instytucji funkcjonujących na terenie działania Grupy. Świąteczne dary trafiły do: Domu Samotnej Matki w Kiekrzu, Dziecięcego Szpitala Specjalistycznego w Pile, Domu Dziecka w Gnieźnie, MOPS-u w Kozienicach, Placówki Socjalizacyjnej „Panda” w Kozienicach, Świetlicy Socjoterapeutycznej Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej „Tulipanki” w Poznaniu, Stowarzyszenia Pomocy dla Rodzin Ubogich „Nadzieja” w Gnieźnie, Domu Dziecka w Szamotułach, Zachodniopomorskiego Hospicjum dla Dzieci oraz do Świetlicy Środowiskowej w Koźli.

– Nową inicjatywą na mapie działań naszej Fundacji jest program grantowy „Potęga poMocy” – mówi Joanna Sobótko, wiceprezes Fundacji. – Każdy może zgłosić pomysł i zdobyć finansowanie dla swojej inicjatywy. Do końca roku sfinansujemy dziewięć projektów pracowników – dodaje Sobótko.

CYKLICZNE RAPORTOWANIE DZIAŁAŃ CSR

Nieodłączną praktyką społecznej odpowiedzialności biznesu jest rapor-

towanie tych działań. Grupa Enea od sześciu lat dzieli się z interesariuszami informacjami na temat podejmowanych przez siebie aktywności, ich ekonomicznych, społecznych i środowiskowych skutków. To wynik przyjęcia „Strategii społecznej odpowiedzialności biznesu Grupy Kapitałowej Enea” oraz dążenia do realizacji wytyczonych celów CSR.

Szósty raport zrównoważonego rozwoju został właśnie opublikowany. Po raz kolejny przygotowano go zgodnie z najnowszymi międzynarodowymi standardami raportowania danych pozafinansowych. To piąty raz, gdy podsumowanie działań CSR dostępne jest on-line. Interaktywna forma umożliwia samodzielne zestawianie dowolnych danych, ich analizowanie i porównywanie oraz czytanie dokumentu na wiele sposobów.

„Raport zrównoważonego rozwoju Grupy Enea za 2016 rok” opisuje działalność 13 spółek Grupy i odzwierciedla jej podejście do wdrażania wytyczonych celów strategicznych, związanych ze społeczną odpowiedzialnością biznesu. Obejmuje rok 2016 oraz krótkie podsumowanie działań w pierwszej połowie 2017 r. W jego tworzenie włączyli się specjaliści z różnorodnych obszarów działalności.

Dokument zawiera m.in. informacje o tym, jak Grupa Enea buduje swoją wartość i relacje z kluczowymi interesariuszami w kontekście zarządzania ryzykami pozafinansowymi; jak wygląda działalność Fundacji Enea i współpraca ze społecznościami lokalnymi; jak organizacja radzi sobie z wpływem wywieranym na środowisko naturalne, jak go bada i monitoruje; jak wyglądają inwestycje zmniejszające produkcję oraz emisję spalin i odpadów; w jaki sposób ogranicza się zużycie wody czy energii. Grupa dzieli się swoim doświadczeniem z zakresu budowania relacji pracodawca – pracownicy, relacji z pracownikami oraz klientami.

Nieprzerwana obecność Grupy Enea w gronie firm raportujących dane niefinansowe wynika z chęci i potrzeby rzetelnego informowania o podejmowanych działaniach w kontekście odpowiedzialności ekonomicznych, społecznych oraz środowiskowych, a także o odpowiedzialnym podejściu do zarządzania.



Prospołeczny i odpowiedzialny

Chociaż Grupa Kapitałowa LOTOS kojarzona jest przede wszystkim z paliwami, jako firma odpowiedzialna społecznie prowadzi wiele różnorodnych działań prospołecznych, koncentrujących się m.in. na ochronie środowiska, wyrównywaniu szans społecznych i poprawie bezpieczeństwa w ruchu drogowym

Wprzyjętej przez siebie strategii działań Grupa LOTOS zobowiązała się do prowadzenia biznesu w sposób zrównoważony, w zgodzie z normami etycznymi, środowiskiem naturalnym i potrzebami społeczeństwa. Dlatego jej cztery naczelnne wartości społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR) to: czystość, otwartość, innowacyjność i odpowiedzialność.

Jednym z kluczowych obszarów CSR-owych działań grupy jest ochrona środowiska i ekologia – zwłaszcza w obszarze ochrony bioróżnorodności Morza Bałtyckiego (z uwagi na nadmorskie położenie rafinerii) oraz w odniesieniu do cennych przyrodniczo terenów znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie spółki.

Przykładem praktycznej realizacji wspomnianych wartości może być współpraca z helskim Fokarium w ramach programu „Kierunek Bałtyk”, który spina

aktywność ekologiczną LOTOSU. Celem programu realizowanego we współpracy z Fundacją Rozwoju Uniwersytetu Gdańskiego i Stacją Morską Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego jest ochrona przyrody i gatunków żyjących w Morzu Bałtyckim, szczególnie restytucja i ochrona takich gatunków ssaków, jak: morświn i foka szara. Ważnym elementem programu jest edukacja ekologiczna w zakresie dbałości o Bałtyk, aby zapobiec wymieraniu najbardziej zagrożonych gatunków fauny morskiej. Kierunek Bałtyk od 2014 r. to także platforma internetowa, na której znaleźć można kompleksowe informacje o zagrożonych gatunkach oraz działalności edukacyjnej partnerów społecznych programu. Projektowi towarzyszą dwa streamingi live, jeden z helskiego Fokarium, gdzie on-line można oglądać foki, drugi z gniazda sokołów, które znajduje się na kominie elektrociepłowni na terenie rafinerii. Uzupełnieniem projektu

jest profil na Facebooku, który śledzi już około 70 tys. fanów.

WODA DLA CZWORONOGA

LOTOS zainicjował też akcję „Woda dla czworonożnych pasażerów”. Ponieważ wakacyjna pogoda bywa uciążliwa nie tylko dla kierowców, lecz także dla ich czworonożnych przyjaciół, sieć stacji LOTOS udostępnia poidelka z wodą i bezpłatne plastikowe miski.

Uchylona szyba w samochodzie to zdecydowanie za mało, dlatego przy okazji tankowania lub zakupów trzeba psa lub kota wyprowadzić na krótki spacer i napić.

Akcja pojenia zwierząt potrwa do września, natomiast bezpłatne plastikowe miski, które kierowcy mogą zabrać ze sobą w dalszą podróż, są dostępne przez cały rok.

MISTRZOWIE W PASACH

Bardzo ważnym obszarem prospołecznych działań LOTOSU jest bezpieczeństwo w ruchu drogowym. Grupa oddziałuje na nie zarówno jakością swoich produktów, jak i kompleksowymi programami edukacyjnymi. Tym bardziej że Polska należy do czołówki krajów o największym zagrożeniu uczestników ruchu drogo-

wego. Dlatego po konsultacjach z policją i ekspertami bezpieczeństwa na drogach LOTOS wspólnie z Krajowym Centrum Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego od 2014 r. zajmuje się tematem bezpiecznego przewożenia dzieci w fotelikach oraz prawidłowego zapinania pasów. Elementem działań jest kampania społeczna „LOTOS – Mistrzowie w pasach”. Program adresowany jest do kierowców i pasażerów, którzy poprzez podnoszenie świadomości w zakresie bezpieczeństwa drogowego będą mieli wpływ na ograniczenie liczby i skutków wypadków. W ramach kampanii na stacjach paliw LOTOS działają pit stopy – punkty eksperckie, do których zapraszani są kierowcy tankujący paliwo i ich pasażerowie. Wykwalifikowany zespół ekspertów dba o sprawdzenie poprawności zapinania pasów bezpieczeństwa, ustawienia zagłówek kierowcy i dorosłych pasażerów. Przeprowadza też instruktaż poprawnego przewożenia najmłodszych pasażerów w fotelikach oraz takiego ich montażu, który zapewni maksymalny komfort i bezpieczeństwo podczas podróży. Wszyscy odwiedzający pit stopy dostają materiały szkoleniowe. W pit stopach czekają też atrakcje dla dzieci – eksperci zapraszają je do zabawy, kolorowania książeczek edukacyjnych, układania puzzli i zapinania lalek w fotelikach. Ponadto w ramach programu organizowane są seminaria „Bezpiecznie – chce się żyć” i Lekcje Bezpieczeństwa w wybranych szkołach podstawowych. W ich trakcie dzieci i młodzież uczą się w formie zabawy m.in. poprawnego zapinania pasów i zasad ich działania, właściwego montowania fotelików i skutecznego zapinania się w nich, działania poduszek powietrznych itp.

W pierwszej pilotażowej edycji projektu, zrealizowanej w 2014 r. w województwie pomorskim, eksperci przeprowadzili pół tysiąca inspekcji pasów i fotelików samochodowych. Dodatkowo 2,5 tys. osób wzięło udział w seminariach „Bezpiecznie – chce się żyć!”, a 2,5 tys. dzieci – w Lekcjach Bezpieczeństwa. W latach 2015 i 2016 program odbywał się już na obszarze całego kraju. Eksperti LOTOSU z pit stopów dotarli z indywidualnymi instruktażami do około 6 tys. Polaków. Ambasadorem kampanii od pierwszej edycji jest Kajetan Kajetanowicz, wielokrotny mistrz Polski w klasyfikacji generalnej Rajdowych Samochodowych Mistrzostw Polski. Patronat nad programem objęły: Komenda Główna Policji, Główny Inspek-



torat Transportu Drogowego, Przemysłowy Instytut Motoryzacji, Krajowa Rada Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego oraz Państwowa Straż Pożarna.

KREW TO ŻYCIE

Nie jest tajemnicą, że motocykliści są szczególnie narażeni na wypadki drogowe i nierzadko potrzebują szybkiej medycznej interwencji. Dlatego utworzone z inicjatywy tych pracowników Grupy LOTOS, których pasją są motocykle, Stowarzyszenie Motocyklowe LOTOR podjęło się tematu krwiodawstwa. Członkowie SM LOTOR, oddając się swojej pasji, jednocześnie angażują się w liczne akcje społeczne, walcząc o podnoszenie poziomu bezpieczeństwa motocyklistów na polskich drogach. Do największych działań SM LOTOR należą akcje „Motoserce” i „Bezpieczna trasa”. Pierwsza ma na celu propagowanie krwiodawstwa i dawstwa szpiku kostnego. Od początku trwania akcji w całej Polsce motocykliści zebrali kilkadziesiąt tysięcy litrów krwi. Akcja jest całoroczna, a z myślą o motocyklistach kilka razy w roku na terenie Trójmiasta, w różnych atrakcyjnych miejscach (by połączyć przyjemne z pożytecznym) organizowany jest mobilny pobór krwi.

Z kolei „Bezpieczna trasa” to program edukacyjny skierowany do młodzieży, która osiągnęła już wiek, w którym po raz pierwszy próbuje się swoich sił na motocyklu.

DOBRY SĄSIAD

Grupa LOTOS prowadzi inicjatywę podkreślającą istotę integracji i edukacji w najbliższym otoczeniu firmy. Lokalne społeczności spółka wspiera między innymi poprzez ogólnopolski program „Dobry Sasiad”. Został on rozpoczęty w 2006 r.



i jego realizacja przebiega w bezpośrednim otoczeniu zakładów produkcyjnych Grupy LOTOS w Gdańsku i na południu kraju. Program polega na zaangażowaniu spółki w działania na rzecz społeczności lokalnych, w tym wyrównywanie różnic społecznych w celu poprawy jakości życia mieszkańców najbliższego otoczenia, a zwłaszcza dzieci i młodzieży. To dla spółki szczególnie ważne, gdyż wartością LOTOSU jest otwarcie na przyszłość, o której kształcie decydować będą wkrótce właśnie ci młodzi ludzie z otoczenia firmy.

W ramach programu „Dobry Sasiad” spółka współpracuje z organizacjami pozarządowymi, które w naszym najbliższym sąsiedztwie działają na rzecz ludzi potrzebujących, przede wszystkim dzieci i młodzieży, dofinansowując np. wyjazdy wakacyjne dla dzieci.

INWESTOWANIE W EDUKACJĘ

Z edukacją prowadzoną przez Grupę LOTOS związanych jest wiele projektów skierowanych do młodych, ambitnych uczniów i studentów. Dzięki zaangażowaniu polskiej marki mogą oni zyskać możliwości wykazania i rozwinięcia swojego potencjału. Patronując Festiwalowi E(x)plory i prowadząc Program „Zdolni z LOTOSEM”, spółka pozwala rozwinąć skrzydła zdolnym uczniom, pragnącym poszerzać swoją wiedzę i swoje umiejętności.

Lidia Orzechowska



Katarzyna Pinkosz

2,5 mln Polaków ma osteoporozę i w każdej chwili może mieć złamanie kości, nawet przy niewielkim urazie. Problem będzie pogłębiać, bo nasze społeczeństwo szybko się starzeje

Kiedyś miałam 168 cm wzrostu, teraz mam 164 cm, czyli 4 cm gdzieś zgubiłam. Zauważyłam to, ale nie wiedziałam, czym to może być spowodowane. Niedawno zrobiłam badania gęstości kości i teraz już wiem – mówi Helena Norowicz, aktorka i modelka. 4 cm zabrała jej osteoporozą. Zawsze była aktywna fizycznie (dziś jest ambasadorką idei „75 plus sprawność i samodzielność”), dlatego z przerażeniem patrzy na pokolenie wnuków, które większość czasu spędza przy komputerze, „pracując” w ten sposób na wiele schorzeń, m.in. osteoporozę. – Nawet jadąc tramwajem, przygarbieni stukają w telefon – dodaje.

Wraz z wiekiem kości się demineralizują, stają się coraz słabsze, kruche, pojawia się osteopenia, a potem osteoporozą, nazywana „cichym złodziejem kości”. Tak jak wiele chorób przewlekłych osteoporozą przez wiele lat nie daje żadnych objawów. „Nie boli” dopóki, dopóki nie dojdzie do złamania kości. – Młody, zdrowy człowiek musi spaść ze schodów albo mieć wypadek, by doszło do złamania. U starszej osoby przyczyna może być banalna. Pamiętam panią, która weszła na salę, gdzie odbywało się nasze spotkanie, oparła się o krzesło i doszło do złamania kości ramiennej, w dodatku z przemieszczeniem. Inna pani potknęła się w łazience, łamiąc sobie szyjkę kości udowej – mówi prof. Piotr Głuszko, kierownik Kliniki i Polikliniki Reumatologii Narodowego Instytutu Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji.

Złamania spowodowane osteoporozą są nazywane przez ekspertów „niskoenergetycznymi”, gdyż zdarzają się nawet po niewielkim urazie. – Najczęściej dochodzi do nich w domu, po potknięciu się o róg dywanu w pokoju albo o dywanik w łazience – dodaje prof. Brygida Kwiatkowska, zastępca dyrektora ds. medyc-

debata
DO RZECZY



Kruche kości

nych Narodowego Instytutu Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji.

Zdarzać się też mogą złamania, do których dochodzi bez żadnego upadku czy urazu: – Starsza pani robi się trochę niższa: powodem jest złamanie się kręgu w kręgosłupie. Nie musi to nawet objawiać się dużym bólem, czasem zdarzają się tylko pobolewania pleców i nawet lekarz nie zwraca na nie uwagi, myśląc, że może pacjent źle ułożył się do snu – dodaje prof. Głuszko.

Konsekwencje złamań spowodowanych osteoporozą są groźne, szczególnie złamanie kości udowej: w ciągu roku po nim umiera co piąta kobieta i co czwarty mężczyzna. To gorsze statystyki niż przy większości nowotworów. Prawie 50 proc. osób doświadcza trwałego kalectwa lub innej formy niepełnosprawności. – W Polsce jest rocznie ok. 30 tys. złamań kości udowej, a prawie tyle samo złamań kręgow – mówi prof. Głuszko.

NIE TYLKO KOBIECY PROBLEM

U kobiet proces demineralizacji kości przyspiesza po menopauzie – osteoporozę będzie miało aż 25 proc. z nich. – Zagrożone są szczególnie te kobiety po menopauzie, które palą papierosy, prowadzą mało aktywny tryb życia: pomiędzy biurkiem, komputerem

i samochodem, mniej sprawne fizycznie, a także drobnej budowy, stosujące diety o niskiej zawartości białka, wapnia. Demineralizację kości może powodować również wiele leków stosowanych przy chorobach przewlekłych – przypomina prof. Głuszko

Wbrew stereotypom osteoporozą to nie tylko kobiecy problem, jednak mężczyźni dotyka ona później – zwykle po 70. roku życia. Każdy może sprawdzić, jakie ma ryzyko złamania osteoporotycznego w ciągu 10 lat – dzięki prostemu narzędziu FRAX (Fracture Risk Assessment Tool) dostępnemu w Internecie. Sygnałem alarmowym jest też zmniejszenie się wzrostu. Osoby zagrożone osteoporozą powinny sprawdzić gęstość kości. W Polsce nie ma jednak takiej świadomości – ani wśród pacjentów, ani wśród lekarzy, którzy rzadko kierują na badania densytometryczne (zresztą lekarze pierwszego kontaktu nie mogą nawet ich zlecić w ramach umów z NFZ).

Eksperci szacują, że osteoporozę ma w Polsce ok. 2,5 mln osób, spośród których leczy się zaledwie 200 tys. Jak z tego wynika, 90 proc. chorych nie ma nawet świadomości, że ich kości są w takim stanie, iż w każdej chwili może dojść do poważnego złamania. Niestety, nawet gdy do niego dojdzie, często nie zostaje zdia-



W debacie „Osteoporoza i jej konsekwencje w szybko starzejącym się społeczeństwie” udział wzięli: (od lewej) red. Katarzyna Pinkosz („Do Rzeczy”); prof. Brygida Kwiatkowska, zastępca dyrektora ds. medycznych, Narodowy Instytut Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji; dr Jerzy Gryglewicz, ekspert ochrony zdrowia z Uczelni Łazarskiego; Krzysztof Górski, zastępca dyrektora departamentu Funduszy Europejskich i e-Zdrowia Ministerstwa Zdrowia; prof. Piotr Głuszek, kierownik Kliniki i Polikliniki Reumatologii, Narodowy Instytut Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji; Helena Norowicz, ambasadorka idei „75 plus sprawność i samodzielność” oraz red. Zbigniew Wojtasiński (razem z Katarzyną Pinkosz prowadzący debatę) FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

gnozowana osteoporoza. – Pacjent trafia na oddział ortopedyczny lub szpitalny oddział ratunkowy, ale lekarze zwykle koncentrują się na wyleczeniu złamania, a nie na szukaniu jego przyczyny. W rezultacie pacjent wychodzi ze szpitala, nie wiedząc nawet, że ma osteoporozę, że jest zagrożony kolejnym złamaniem i powinien być leczony – dodaje prof. Kwiatkowska.

ROSNĄCE KOSZTY

Osteoporoza to nie tylko problem pacjentów, lecz także całego systemu ochrony zdrowia. – Generuje ogromne koszty, wynikające z niepełnosprawności, konieczności opieki nad osobą po złamaniu. Powoduje też wydłużenie się kolejek do zabiegów endoprotezowania, ponieważ pacjenci po złamaniach kości udowej muszą być operowani w pierwszej kolejności. W dodatku u nich są to zabiegi o bardzo dużym ryzyku – przekazuje dr Jerzy Gryglewicz, ekspert ochrony zdrowia z Uczelni Łazarskiego.

Problem w Polsce będzie narastać z powodu starzenia się społeczeństwa. W 2020 r. już 43 proc. Polaków będzie miało więcej niż 50 lat, zwiększy się więc liczba osób zagrożonych osteoporozą. – Tymczasem w całym kraju są tylko 52 specjalistyczne poradnie osteoporozy, z czego 26 funkcjonuje na Mazowszu.

W województwie zachodniopomorskim i pomorskim nie ma żadnej! Niewielka część pacjentów leczy się w poradniach reumatologicznych lub ortopedycznych – dodaje dr Gryglewicz.

Na efektywność leczenia duży wpływ ma stosowanie się do zaleceń lekarza. – Niestety, tylko 30–40 proc. pacjentów stosuje się do zaleceń lekarza, pozostali przerywają po pewnym czasie przyjmowanie leków. Nie mają objawów, więc wydaje im się, że kontynuowanie terapii nie jest konieczne – mówi prof. Kwiatkowska. Tymczasem żeby leczenie farmakologiczne było efektywne, musi być kontynuowane co najmniej przez trzy lata, a często jest konieczne nawet przez całe życie. Eksperci podkreślają, że ważna jest też zmiana stylu życia: większa aktywność fizyczna, dbanie o dietę, rzucenie palenia. Dlatego osoba z osteoporozą powinna być pod kompleksową opieką – zarówno specjalisty, jak i lekarza pierwszego kontaktu, pielęgniarki, dietetyka. Takiej opieki w Polsce brakuje.

ŚWIATEŁKA W TUNELU

Ostatnie miesiące przyniosły pozytywne zmiany dla chorych. Na liście bezpłatnych leków dla seniorów „75+” znalazły się leki stosowane w osteoporozie: zarówno starszej generacji, jak i nowy

lek biologiczny. – Starsze osoby mają wiele przeciwwskazań do stosowania leków doustnych, dlatego cieszymy się, że jest możliwość zastosowania u nich leku biologicznego. Dla wielu osób był to wcześniej zbyt duży wydatek, na który nie mogły sobie pozwolić – mówi prof. Kwiatkowska. Eksperci chwalą ministerialny program, mając jednocześnie nadzieję, że będą mogli zalecać nowoczesne leki także na wcześniejszym etapie choroby. – Obecnie są one bezpłatne na liście „75+” oraz refundowane z odpłatnością dla młodszych kobiet po menopauzie, ale tylko dla tych, które już miały złamanie osteoporotyczne i nie mogą przyjmować leków doustnych lub okazały się one w ich przypadku nieskuteczne. Leczymy więc tylko osoby, które już mają komplikacje wynikające z osteoporozy. Wolelibyśmy, by można było nowoczesne leki biologiczne wcześniej włączać do terapii. Chcielibyśmy móc je też stosować u mężczyzn – mówi prof. Głuszek.

Ekspertów cieszy też powstający w Ministerstwie Zdrowia program profilaktyczny adresowany do osób w wieku 50–70 lat. Wkrótce będzie on oceniany przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, a być może ruszy od 2018 r. – Zostaną wybrane ośrodki, które będą współpracowały z lekarzami podstawowej opieki zdrowotnej oraz ze szpitalami. Gdy w takim szpitalu znajdzie się pacjent po złamaniu, będzie analizowane, czy przyczyną nie była osteoporoza. Jeśli tak, pacjent zostanie skierowany do poradni zajmującej się leczeniem – opowiada Krzysztof Górski, zastępca dyrektora departamentu Funduszy Europejskich i e-Zdrowia Ministerstwa Zdrowia.

Program profilaktyczny ma też zwiększyć świadomość osteoporozy wśród pacjentów i lekarzy pierwszego kontaktu, którzy mają wykrywać chorobę i monitorować pacjentów. Na razie ma to być program pilotażowy, jeśli jednak przyniesie efekty, to być może zostanie wprowadzony w całej Polsce. Może też stać się wzorem dla podobnych programów, które tworzyłyby samorządy. – Takie programy mogłyby być dofinansowywane przez NFZ, i to nawet do 80 proc. – przekonuje dr Gryglewicz. Eksperti podkreślają, że tylko dzięki tak kompleksowemu działaniu może uda się opanować skalę występowania osteoporozy, która jest jednym z najpoważniejszych wyzwań zdrowotnych polskiego społeczeństwa.



Piotr Semka

Większość przygód Tintina rozpoczyna się w Brukseli. Rodzinne miasto rysunkowego reportera pamięta o swoim bohaterze

Przygody reportera z zawadiackim czubkiem na głowie były zupełnie nieznane w PRL. Komuniści pamiętali ich autorowi Georges'owi Remiemu, znanemu szerzej pod pseudonimem Hergé, wydane w 1930 r. antykomunistyczne „Przygody Tintina w kraju Sowietów”, i akurat Tintin był na indeksie. Gdy w 1990 r. pojechałem na Zachód i oglądałem z zacięciem piękne, lakierowane wydania jego przygód, kłamałem, że ten komiks nie trafił w moje ręce, gdy dorastałem. Kiedy w końcu „Tintiny” pojawiły się w latach 90. w Polsce, zginęły w zalewie komiksów o Batmanie i japońskiej mangi. A jednak udało mi się rysunkowe dzieje wszędobylskiego reportera z powodzeniem podsunąć mojej córce. Na tyle skutecznie, że niemal co rano łączył śniadanie w postaci chrupków z mlekiem z oglądaniem „Tintinów”.

Bruksela – rodzinne miasto bohatera komiksu i miejsce, w którym zaczyna się większość jego przygód – pamięta o swoim rysunkowym bohaterze.

1. Nasz spacer tintinologiczny zaczynaemy od centrum Brukseli, gdzie działa Muzeum Komiksu (rue des Sables 20, czynne codziennie od godz. 10 do 18). W dawnym secesyjnym domu towarowym projektu Victora Horty najwięcej jest o Tintinie, choć są też inne postacie komiksowe rodem z Belgii – od kowboja Lucky Luke’a do smurfów.

2. Z Muzeum Komiksu udajemy się na słynny pchli targ Marolles (place du Jeu de Balle, czynny codziennie, ale najlepszy ponoć w soboty). Kiedyś była to dolna, nieco biedniejsza dzielnica, w której mieszkało jednak wielu kolekcjonerów i zbiegłych inteligentów. Każdy, kto czytał komiks „Tajemnica Jednorożca” lub oglądał jego ekranizację w reżyserii Stevena Spielberga, pamięta, w jak dramatycz-

nych okolicznościach Tintin zakupił tu model starego żaglowca, który na gwałt chciał odkupić złowrogi Pan Sacharyna.

3. A teraz zerknijmy na resztki starej Brukseli, w której wyrastał Hergé, do domu Tintina przy 26 rue Terre-Neuve. Oczywiście to metafora. Pod tym adresem mieścił się dom babci rysownika, zapamiętany jako cudowna rupieciarnia pełna XIX-wiecznych bibelotów, który zapłodnił wyobraźnię „Hergé’a” na całe życie. Dom nie jest muzeum – można go obejrzeć tylko z zewnątrz. Nic wielkiego, ale daje wyobrażenie o klimacie starej Brukseli.

4. Jeśli znużyła was już nieco Bruksela – czas na wypad do podmiejskiej dzielnicy Uccle, w okolicy parku Wolvendael, 7 km na południe od centrum (rue Rouge 47, Uccle). W położonym tuż przy parku Centre Culturel

d’Uccle podziwiać można pomnik Tintina i Milusia. Rzeźba początkowo stała w parku Wolvendael, ale wobec ataków wandalów przeniesiono ją do centrum w Uccle. W 1975 r. ufundował go Raymond Leblanc, szef wydawnictwa Les Éditions du Lombard, które wydawało komiksy. A sam park Wolvendael to doskonałe miejsce na piknik w środku dnia, np. z goframi z dżemem truskawkowym.

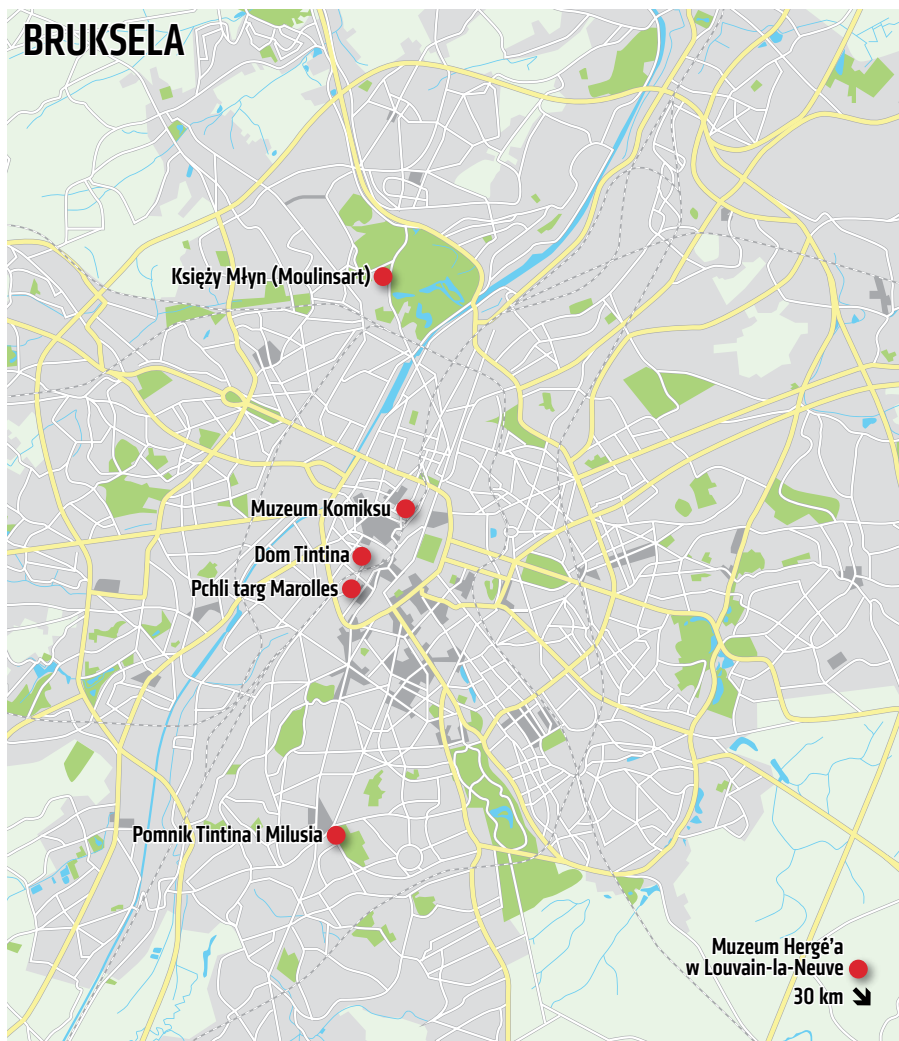
5. Każdy miłośnik przygód dzielnego chłopca pamięta Księżę Młyn – w oryginale Moulinart – wspaniałą rezydencję pod Brukselą, w której po zdobyciu skarbu zamieszkał z Tintinem Kapitan Baryłka. Podmiejskie rezydencje brukselskich arystokratów i bogaczy to ukryte zazwyczaj przed oczami ciekawskich twierdze. Jednak aby wyrobić sobie opinię o takich miejscach, zajrzyjmy do królewskiej



Bruksela Śladami Tintina



W Brukseli o Tintinie przypomina się nawet na ulicy FOT. MARK RENDERS/GETTY IMAGES



RYŚ. FOTOLIA/PEGAZ

rezydencji w Laeken, dziś już dzielnicy Brukseli (Avenue du Parc Royal). Jedyne miejsce udostępniane turystom to Muzeum Sztuki Dalekiego Wschodu – w sam raz pasuje ono do tintinowskiej egzotyki.

6. A skoro już wyjechaliśmy poza centrum Brukseli, to pojedźmy jeszcze 30 km na południowy wschód od stolicy Belgii i zajrzyjmy do Muzeum Hergé'a w Louvain-la-Neuve (rue du Labrador 26). Tu możemy zapoznać się z całym życiem (niekiedy mało chlubnym) twórcy komiksu.

Muzealny sklep aż pęka od pluszowych maskotek Tintina, Milusia i Kapitana Baryłki. Kupcie je wraz z komiksami swoim pociechom. Może w przerwach między grami na iPhone'ie zerkną na przygody, które tak rozbudziły wyobraźnię Stevena Spielberga?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tintin – fikcyjna postać z komiksu autorstwa rysownika Georges'a Remiego ps. Hergé (1907–1983), która po raz pierwszy pojawiła się na łamach młodzieżowego pisma chrześcijańskiego „Le Petit Vingtième” w 1929 r.

Remi zbliżył się w latach 30. do środowiska radykalnego ruchu narodowego rexistów (nazwa od hasła Christus Rex, które było wezwaniem meksykańskich powstańców katolickich), któremu przewodził Léon Degrelle. W czasie wojny „Hergé” publikował przygody Tintina w dzienniku „Le Soir”, który z nadania niemieckich okupantów otrzymali zwolennicy Degrelle'a. Po wojnie ogromna popularność komiksów z Tintinem ułatwiła przemilczenie wstydliwego wojennego epizodu rysownika. Do 1976 r. powstały łącznie 23 zeszyty z przygodami dzielnego reportera. Ostatni „Tintin i Picarosi” wyszedł w 1976 r. ©

Coś na ząb – po brukselsku

Skoro jesteśmy w stolicy Belgii, to wypada spróbować muli – gotowanych czy to w śmietanie, czy w winie, czy w pikantnym sosie prowansalskim.

Lepiej nie ryzykujcie i nie dajcie się wciągnąć do lokali z mulami przez naganiaczy na brukselskiej starówce. Odwiedźcie natomiast solidną „mulową” restaurację sieciową Chez Leon przy rue des Bouchers 18 (czynna od godz. 11.30 do 23).

Pobyt w Brukseli nie może się obyć bez spróbowania słynnych belgijskich frytek z majonezem. Do najlepszych należą te sprzedawane w całodobowym kiosku Maison Antoine na place Jourdan 1 w brukselskiej dzielnicy Etterbeek. Nie spieszcie się z wyborem jednego z dziesiątków majonezowych sosów do frytek. ©



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Oświecona śmietana

U Wojciecha Wielądki pod koniec XVIII w. znajdujemy cały dział potraw przygotowywanych z dodatkiem śmietany. I to nie tylko przystawki, choć tych jest większość, lecz także dania, jakie bez trudu mogą stać się głównymi. Zaczijmy od „śmietany białej”, która jest w zasadzie jakby wczesnodojrzejającym serem, ponieważ autor każe nam zagotować razem śmietanę, cukier, dodać podpuszczki wykorzystywanej do produkcji serów, a po przecedzeniu przez sito podgrzać w gorącym popiele, aż się mieszanina zsiądzie. „Przyjacielska” z kolei przygotowywana jest z mąki rozrabianej z jajkami i ze śmietaną, do której dodawano startą tabliczkę czekolady, dostępnej już w Polsce, smażoną cytrynę, kwiat pomarańczowy i cukier. Uzyskaną masę dodatkowo jeszcze cukrowano i przyrumieniano rozgrzaną w ogniu łopatką.

Jako że mamy czasy stanisławowskie, śmietana stosowana jest zwykle jako dodatek do kawy i słodczy, np. podawana w charakterze nadzienia słodkich bułeczek. W tym celu rozcina się je wzdłuż, wyjmując miększy, dolne skórki zaś moczy w mleku i posypuje cukrem. Następnie w rondlu przygotowuje

się siedem żółtek z mąką i ugniecionym makaronem, siekaną zieloną cytryną, cukrem i ze śmietaną, przygotowuje i wyklada na spód półmiska, częścią zaś tej masy napełnia bułeczki. A później piecze w piecu przez pół godziny, przed podaniem zaś cukruje i polewa pianą z białek.

Nadzwyczaj prosty jest przepis na „śmietanę z czekoladą”, podawaną na wety, jako dodatek do kawy i po posiłkach. Najpierw należało utrzeć dwie tabliczki czekolady, wsypać do rondla i mieszać z cukrem, dolać mleka i śmietany, zagotować, wbić żółtek, przecedzić i dogotować „w bani szklanej”. Dobrym daniem dla chorych była „śmietana z ryżu uzdrawiająca”, gdzie autor każe opłukać ryż, ugotować go w mięsny bulionie, utrzeć łyżką, przepuścić przez sito, dodać trochę ciepłego bulionu i na ostatek gęstej śmietany.

Zupełnie szaloną potrawą na przystawkę może okazać się „śmietana z...” herbatą albo estragonem, selerem i pietruszką. Przygotowywana była klasycznie – do rondla wlewało się półkwarterek śmietany i kwartę mleka, dosypywało cukru i oczywiście gotowało. Następnie dodawano – w zależności od fantazji – herbaty

„na pięć filiżanek” i gotowało przez chwilę, a następnie przepuszczało przez sitko. Zamiast herbaty można było dodać dwie gałązki estragonu albo po prostu ugotować seleri i pietruszki w śmietanie i wreszcie przecedzić. Na koniec dorzucano jeszcze pięć żółtek i szczyptę mąki. Osobliwym sposobem było podanie tej śmietany na zimno – w postaci czegoś w rodzaju sera, bo zamiast dodawać żółtka i mąkę, można było dorzucić podpuszczki „z cielęcia albo skórki z pępuszków z drobiu siekaną”, przepuścić to wszystko przez sito, wlać na półmisek i odstawić w popiół, aby śmietana się zsiadła.

U Wielądki znajdujemy też przepis, który przetrwał do dziś. Chodzi mianowicie o zapiekany makaron ze śmietaną. Autor radzi wziąć makaron – „ciasto, które mamy z Włoch, lecz teraz i w Warszawie bardzo dobre robią makarony” – ugotować na mleku z cukrem, następnie przecedzić. Później wystarczy przełożyć go do garnka lub rondla, dorzucić smażonego siekanego kwiatu pomarańczowego, wbić sześć jajek i zapewne dolać trochę śmietany, a następnie wstawić w piec i przyrumienić. ©©



Śmietana smażona

Wbijamy do rondla sześć jajek i mieszamy z trzema łyżkami mąki. Dorzucamy trochę startej skórki cytryny, siekanego i smażonego kwiatu pomarańczowego, kilka łyżeczek cukru, szczyptę soli, wlewamy 0,15 l mleka, gotujemy na małym ogniu. Kiedy masa zgęstnieje, rozkładamy ją na półmisku posypanym obficie mąką. Studzimy. Następnie smażymy na patelni na maśle albo w głębokim tłuszczu. Posypujemy cukrem.

Śmietana z kawą

Gotujemy w imbryku ok. 0,3 l wody, a kiedy zawrze, wsypujemy 50 g mielonej kawy, mieszamy – niech się trochę podgotuje. Do osobnego rondla wlewamy pół litra mleka z kilkoma łyżkami cukru, dolewamy kawę, następnie dodajemy pięć żółtek rozmieszanych z łyżką pszennej mąki, dolewamy śmietany, mieszamy. Później przecedzamy na półmisek, przykrywamy i podgrzewamy nad parą, aż zsiądzie się śmietana. Podajemy na gorąco.

„MALEO” I DZIADY, DO KTÓRYCH TRZEBA DWOJGA

Moja babcia, która pochodzi z Bałut w Łodzi, przygotowywała proste, choć pracochłonne danie, które jest naprawdę niesamowite. Przyrządza się je w różnych regionach Polski, nie tylko w Łódzkiem, ale funkcjonuje pod różnymi nazwami. U nas mówiło się na to „prazoki”, a pod Częstochową nazywa się je „dziadami”. Tej potrawy raczej nie robi się zbyt często, bo – jak wspominałem – jest dość pracochłonna, a do jej wykonania trzeba dwóch osób, ale warto się pomęczyć, bo prazoki to niebo w gębie. Polecam szczególnie w wakacje, gdy jest nieco więcej wolnego czasu.

Do dania wspaniale pasuje zasmażana kapusta. Do picia najlepiej podawać kefir lub maślanę. Prazoki smakuja wspaniale także na drugi dzień, podgrzane na patelni razem z okrasą. ©© **oprac. raw**

**Dariusz Malejonek „Maleo”
jest kompozytorem, wokalistą
i gitarzystą.**



FOT. TRICOLOR/FAST NEWS

Składniki:

- ok. 1 kg ziemniaków
- 1/2–3/4 szklanki mąki
- boczek lub słonina
- sól, pieprz

Przygotowanie

Obrać i ugotować ziemniaki. Odać znaczną część wody, dosypać mąkę i gotować jeszcze ok. 10 min, ale trzeba uważać, by nie rozgotować ziemniaków. Odać pozostałą wodę. Teraz zaczynamy etap, w którym potrzebne są dwie osoby. Jedna trzyma garnek, a druga tłuczkiem lub drewnianą pałką zaczyna tłuc ziemniaki. Trzeba je ucierać, aż ziemniaki z mąką będą miały gumowatą konsystencję, nie będą się lepiły do tłuczka i zaczną odchodzić od brzegów garnka. Nakładamy kawałki masy łyżką na talerze i polewamy okrasą przygotowaną z boczku i cebuli. Przed podaniem, jeśli tak wolimy, prazoki można zapiec lub podsmażyć.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Post na zdrowie

Kto zliczy diety i kuracje oczyszczające lansowane w ciągu ostatnich 10 lat? O ich skuteczności niech zaświadczą ci, którzy próbowali: Dukana (trzy miesiące na mięsie z indyka skutkujące chorobą nerek), Montignaca (ciągłe liczenie indeksu glikemicznego, schudnięcia brak), nie mówiąc o detoksach mechanicznych i chemicznych. Jedna tylko się nie skompromitowała, a wielu pomogła. To dieta dr Ewy Dąbrowskiej – choć mało popularna, ma licznych i stałych wyznawców, którzy ją praktykują i powtarzają. Niewielka książeczka „Post Daniela” autorstwa Krystyny Dajki i ks. Łukasza Piórkowskiego będzie pomocnym narzędziem dla tych, którzy zechcą wcielić ją w życie.

A nie będzie to proste. Przez dwa tygodnie tylko warzywa, woda i soki z jarzyn. 800 kalorii dziennie, pięć razy mniej białka niż zazwyczaj, pięć razy mniej węglowodanów. Za to zmasowany atak witaminy C i błonnika. Trzeba mieć sporo hartu ducha, żeby oprzeć się pokusom i przyzwyczajeniom. Na śniadanie zamiast jajecznicy wcinać sok z sałaty i jarmużu, białą rzodkiew i ogórek kiszony z rukolą, na obiad zadowolić się kalafior-em, kalarepą i cebulą.

Jeśli jednak ktoś wytrwa, to rezultatów nie pożałuje. „Usuwa to, co złe, chore i szkodliwe, a wzmacnia i poprawia to, co zdrowe” – napisał o tej diecie niemiecki lekarz, dr Gustav Riedlin, pionier głodówek terapeutycznych.

Jak pisze dr Dajka: „Następuje stabilizacja ciśnienia



**KRISTYNA DAJKA,
KS. ŁUKASZ
PIÓRKOWSKI
„POST DANIELA”
WAM 2017**

– wysokie się obniża, niskie podwyższa. Poprawia się sen i nastrój, odczuwamy przyływ energii. Zwiększa się tolerancja dla wysiłku, cofają się przebarwienia, organizm usuwa cysty, zgrubienia, drobne ogniska ropne i zapalne, system immunologiczny odblokowuje się, podnosi się odporność, ustępują reakcje alergiczne, cofają się zmiany miażdżycowe, ustępują złogi tłuszczu”.

To tylko niektóre efekty tej prawdziwej diety cud, której szczegółowe przepisy wykonawcze zawiera książeczka Dajki i Piórkowskiego. Składniki, przepisy dzień po dniu, posiłki od rana do wieczora. A także rady, jak ją zakończyć i wrócić do zwykłego trybu życia. Komu nie wystarczy determinacji, żeby przeprowadzić ten eksperyment w warunkach życia codziennego, ten może spróbować turnusu zdrowotnego dr Dąbrowskiej. Znam takich, którzy byli i nie żałują. Post wszakże to ćwiczenie ducha i ciała.

Autorzy książki cytują: „Poddaj sługi twoje dziesięciodniowej próbie: niech dają jarzyny do jedzenia i wodę do picia [...]. A po upływie dziesięciu dni wygląd ich był lepszy i zdrowszy niż innych młodzieńców, którzy spożywali potrawy królewskie” (Pismo Święte, Księga Daniela). ©©

NASZ TEST: SMART FORTWO ELECTRIC DRIVE

Całkowicie elektryczny smart to niewielka miejska pchła przeznaczona dla tych miłośników ekologii i entuzjastów motoryzacyjnych nowinek, którzy nie mają żadnych kompleksów. Niewielkim autem bez problemu można zaparkować nawet tam, gdzie zazwyczaj zmieściłby się tylko rower lub motocykl. I chociaż charakterystyczna karoseria i niewielkie rozmiary wielu osobom mogą nie przypaść do gustu, to smart fortwo ma swoich fanów również nad Wisłą.

W KABINIE

Jak na tak niewielki samochód miejsca wewnątrz auta jest zaskakująco dużo. Dwie osoby mogą nim podróżować po mieście zupełnie swobodnie. Skórzane fotele są komfortowe, a plastiki wystarczająco miękkie. Siedmiocalowy ekran służący do obsługi nawigacji i systemu rozrywki jest zaś intuicyjny w obsłudze. Pojemność niewielkiego kuferka wynosi 260 l, co wystarczy na przewiezienie nie tylko torby na laptop, lecz także zakupów.

JAZDA

Smart z akumulatorami w bagażniku osiąga moc 82 KM, co pozwala na dość dynamiczną jazdę. Wążąc nieco ponad tonę elektryczna pchła od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w 11,5 s. Niby szał nie ma, ale takie przyspieszenie w zupełności wystarcza do sprawnego poruszania się po mieście (od 0 do 60 km/godz. elektryczny smart przyspiesza w niecałe 5 s). Poczucie szybkości potęguje to, że auto wyrывa do przodu bez żadnej zwłoki, ponieważ maksymalny moment obrotowy dostępny jest natychmiast po naciśnięciu pedału gazu.

Ku zaskoczeniu wielu może się więc okazać, że po starcie na światłach za każdym razem będziemy na prowadzeniu. Do tego smart fortwo jest niesamowicie zwinny i zwrotny. Aby zawrócić, potrzeba niecałych 7 m. Samochodzik mierzący 2,69 m długości jest też banalnie łatwy do zaparkowania nawet w zatłoczonych zagłębieniach biurowych.

Auto przy niższych prędkościach porusza się cicho, ale wyciszenie kabiny



mogłoby być dużo lepsze – w czasie jazdy po obwodnicy do wnętrza dochodzi bowiem zbyt wiele szumów otoczenia.

Zawieszenie jest w miarę komfortowe, ale przy tak niewielkich rozmiarach wydaje się, że odczuwamy każdą większą przeszkodę.

W dłuższą podróż elektrycznym smartem i tak się nie wybierzemy. Teoretycznie według producenta na jednym ładowaniu zasięg wynosi nawet 160 km. Podczas naszego testu – przy włączonej klimatyzacji – zasięg podczas miejskiej jazdy wyniósł nieco ponad 130 km. To niezły wynik, zważywszy na to, że z badań wynika, iż osoby kupujące smarty pokonują nimi dziennie ok. 35 km. Na wycieczkę poza duże miasto wybrać się zaś jeszcze trudno, bo stacji szybkiego ładowania (od 20 do 100 proc. w 3,5 godz.) nadal jest w Polsce jak na lekarstwo. W zwykłym domowym gniazdku ładowanie od 20 do 100 proc. zajmuje zaś ok. sześciu godzin. Zresztą prędkość maksymalna tej odmiany smarta wynosi 135 km/godz., a to i tak tylko teoria, bo szybka jazda powoduje, że zasięg maleje dużo gwałtowniej niż przy miejskich prędkościach.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych przeprowadzonych przez Euro NCAP smart fortwo zdobył cztery gwiazdki na pięć. Mimo niewielkich rozmiarów pasażerów otacza bowiem specjalna konstrukcja z wytrzymałej stali. Auto jest też wyposażone w pięć poduszek powietrznych. Specjalny system komputerowy alarmuje zaś kierowcę, jeśli zbyt szybko zbliżamy się do poprzedzającego pojazdu.

CENA

Za elektrycznego smarta trzeba zapłacić co najmniej 94 tys. zł. Testowany model kosztował 117 tys. zł.

KONKURENCI

BMW i3, Hyundai Ioniq, Nissan Leaf, Renault Zoe, VW e-Golf ©

Jacek Przybylski





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Przebudzenie prezydenta

MARCIN MAKOWSKI: Prezydent Andrzej Duda zawetował dwie z trzech ustaw PiS dotyczących wymiaru sprawiedliwości. Mam wrażenie, że nie jesteś zaskoczony.

MATTHEW TYRMAND: Nie jestem, bo wbrew pozorom prezydent nie miał dobrej alternatywy. Gdyby podpisał wszystkie ustawy, ostatecznie straciłby i tak już nadwreżony wizerunek autonomicznej głowy państwa, która nie ogranicza się jedynie do żyrowania projektów rządu. Andrzej Duda to również prawnik, który najwyraźniej dostrzegł w propozycjach zmian w Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa te same zagrożenia, o których przypominała mu część środowiska. O ile same reformy są konieczne, o tyle w państwie demokratycznym ważna jest również droga, którą się do nich dochodzi. W sytuacji tak radykalnych zmian powinna być ona transparentna i poprzedzona długą dyskusją, połączoną z tłumaczeniem społeczeństwu sensu i konsekwencji zmian. Tutaj zachowano się jak na wyścigach, ktoś chciał mieć „kastę” z głowy przed wakacjami, ale się przeliczył. Być może pod względem elektoratu prezydent nieco stracił, ale zyskał mocniejszą pozycję w stosunku do

swojej macierzystej partii. Upraszczając – Adrian wyszedł z korytarza na Nowogrodzkiej. Dokąd dojdzie? Zobaczmy.

Nie masz jednak wrażenia, że prezydent poświęcił wiele, zyskując w zamian niewiele?

Moim zdaniem bez weta jego pozycja wcale nie byłaby silniejsza. Polityka, który po prostu podpisuje ustawy, nikt specjalnie nie szanuje, choć klepie się go po plecach. Andrzej Duda musiał to dostrzec i zrozumieć konsekwencje tego procesu. Szczególnie jeśli weźmiesz pod uwagę reakcje międzynarodowe i odium, które spadłoby na głowę prezydenta walczącego o reelekcję. Poza tym, przekrój osób, które protestowały na ulicach Warszawy, również mógł zrobić na nim wrażenie – to już nie tylko podstarzały KOD i koledzy Mazguły.

Oświadczenie Departamentu Stanu USA, który wyraził zaniepokojenie wymiarem sprawiedliwości w Polsce również?

Akurat tego stanowiska bym nie przeceniał. Departament Stanu nadal w dużej mierze składa się z ludzi poprzedniej administracji. Ich obraz Polski to relacje mediów opozycyjnych, zarówno polskich,

jak i amerykańskich. Uważam, że Departament Stanu nie powinien mówić Warszawie, jak ma reformować swoje prawo, tak samo jak Warszawa nie poucza Waszyngtonu w sprawie prezydentury Trumpa. To polski wyborca i społeczeństwo mają wyłączny mandat do nakreślania kierunku zmian. W tym przypadku zachowali oni czujność, ponieważ rząd uległ pokusie działania w trybie rewolucyjnym, który musi budzić zaniepokojenie w państwie demokratycznym. Gdy jakaś ustawa zostaje przyjęta przez Senat bez poprawek, ponieważ większość sejmowa tego wymaga, nie jest to powód do dumy. Ludzie to zauważyli, prezydent również i to być może świadczy najlepiej, że nie ma mowy w Polsce o żadnym autorytaryzmie. Gdy są zagrożenia, państwo i jego obywatele sami potrafią je kontrolować i szukać innej drogi. Niemcy, Francja czy Ameryka nie są do tego potrzebne.

Po wszystkich osobne orędzie wygłosili prezydent i premier. Co dalej? Rozłam na prawicy?

Myślę, że ostatecznie oba ośrodki władzy dojdą do porozumienia. W idealnym scenariuszu po początkowych przepychankach uchwalą kompromisowe ustawy, które głęboko usprawniając trzecią władzę, nie będą wyglądały jak personalne czystki i centralizowanie władzy w rękach ministra sprawiedliwości. Ten kierunek – patrząc na przeszłość Zbigniewa Ziobry – byłby dla Polski fatalny. Swoją drogą, w każdym cywilizowanym państwie po takiej porażce szef resortu podałby się do dymisji albo jak szogun rzucił na miecz. Nie oszukujmy się – projekty ustaw, choć zgłoszone przez posłów, wyszły z gabinetu Zbigniewa Ziobry. W rządzie nie powinno być miejsca dla ludzi, którzy kierują się własnym interesem. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

97



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Niewytłumaczalne zdarzenia

ANTONI MACIEREWICZ: *Niewątpliwie w zapleczu tych wydarzeń, z którymi mamy do czynienia, są ludzie z dawnych komunistycznych służb specjalnych i ci, którzy kontynuowali tradycje komunistyczne i działania na rzecz Rosji i reżimu pana Putina.*

Tak niezawodny Antoni Macierewicz skomentował niedawne protesty przeciwko reformie Ziobry. Ciekawe, że człowiek, który komunistyczne służby specjalne widzi absolutnie wszędzie i do snucia takich rozważań nie potrzebuje nawet najmniejszych przesłanek, przez całe lata nie potrafi zauważyć tych służb blisko siebie. To zresztą nieadekwatne określenie, on je widzi, ale mu nie przeszkadzają. Od pierwszego artykułu Tomasza Piątka wytykającego Macierewiczowi bliskie powiązania z wieloletnim konfidentem SB Robertem Luśnią – zasiadają we władzach tej samej fundacji – minął już ponad rok. Przez ten czas nic się jednak nie zmieniło, minister ani nie wystąpił z rady fundacji Głos, ani nie próbował odwołać Luśnię z jej zarządu. Przypadek? Nie sądzę. To i tak drobniaczek w porównaniu z innymi „przypadkami”, z których powinien się tłumaczyć Macierewicz.

Przyznaję ze wstydem – gdy Piątek opublikował swój pierwszy artykuł o Macierewiczu, byłam przekonana, że tylko podpisał się pod cudzym tekstem, bo skąd on, pisarz i felietonista, do takich dziennikarskich śledztw. I pewnie gdyby nie nasłanie na Piątka prokuratury wojskowej, nie zainteresowałabym się bliżej zawartością jego książki „Macierewicz i jego tajemnice”. Niestety, przeczytałam ją i nic już nigdy nie będzie takie samo. Gdyby choć część przytoczonych w książce faktów – a Piątek podaje informacje publicznie dostępne i podaje źródła pozwalające je czytelnikowi samodzielnie zweryfikować – wszyscy po prawej stronie domagalibyśmy się obszernych wyjaśnień, jeśli nie od razu dymisji. Przykład?

W efekcie prac komisji weryfikacyjnej ds. WSI skierowano do prokuratury wojskowej doniesienie „w sprawie działania na szkodę Skarbu Państwa oraz bezpieczeństwa poprzez uprzywilejowanie firmy Siltec w przetargach organizowanych dla Wojska Polskiego”. Sama firma została w raporcie z likwidacji WSI opisana jako firma przykrywką Zarządu II Sztabu Generalnego LWP, dla której już po upadku komunizmu w Ministerstwie Obrony Narodowej dzia-

łało nieformalne lobby oficerów dbających o jej interesy. Uwierzyć, że to właśnie w tej firmie kupiła niedawno sprzęt do zabezpieczenia szczytu NATO Służba Kontrwywiadu Wojskowego, kierowana przez Piotra Bączka, członka komisji weryfikacyjnej i współautora wspomnianego raportu? Ta sama firma pojawia się zresztą w sprawie, która jest powodem trwającej właśnie kontroli CBA w MON. Jak to się stało, że pod boki człowieka, który widzi rosyjskie służby specjalne w obywatelskich protestach, spokojnie pasie się firma, przeciwko której sam złożył zawiadomienie do prokuratury? Nie wiem jak innym, ale mnie tu nie wystarczy przypomnienie, że Piątek kiedyś ćpał.

Takich niewytłumaczalnych zdarzeń jest w książce Piątka mnóstwo, autorowi udało się udokumentowanymi i zweryfikowanymi faktami potwierdzić latami wyśmiewane prawicowe „teorie spiskowe” o wpływie komunistycznych służb specjalnych na postkomunistyczną Polskę, i już z tego powodu powinna być ciekawą lekturą dla prawicy. Nawet jeśli będzie musiała po niej mocno zweryfikować zdanie o swoim świeckim świętym.

Amicus Plato, sed magis amica veritas. © ©

PODSŁUCHANE

Alternatywa

Marku, słyszałem, że chcesz prezydentem zostać?

Ja? Jarku, absolutnie nie, gdzie mnie tam do prezydenta! Ty to co innego, ty byś był znakomitym i premierem, i prezydentem, i...

Dobra, dobra, daruj sobie, nie o to mi chodzi. Zaczniij się szykować.

Ale do czego?

Do kampanii. Trzy lata masz, dasz radę. Żartujesz, prawda?

Nie. Listę ci tu przygotowałem, co musisz zrobić: schudnij, znajdź fryzjera lepszego, zęby sobie zrób, możesz Schetyńę spytać, gdzie robił swoje. Tu masz adres krawca, który szyje dobre garnitury, od Joja dostałem. Butów sobie kilka par kup porządnych. Aha, i angielskiego się poducz, chociaż trochę.

Ale... jak to?

Tak to. Andrzej nam się próbuje wyrwać spod kurateli. Musimy mu

pokazać, że mamy alternatywę. I ty będziesz tą alternatywą.

Ale, Jarku, to na pewno dobry pomysł? Chyba są lepsi, Beata...

Beata się wypala. Do ciebie mam zaufanie. I pokażemy Dudusiowi, że jak ja kogoś namaszcze, to nawet taki ktoś jak ty może mu prezydenturę podebrać.

Jak to: nawet taki ktoś jak ja?

Tak to. Zbieraj się, muszę kota nakarmić. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przyglądając się wojnie Duda-PiS, odczuwam intensywną, radosną neutralność”.

TOMASZ LIS na Twitterze

fol. Jerzy Gumowski



Cacareco

Trwająca od lat kilku intensywna wojna polsko-polska nudzi duże odłamy społeczeństwa, bo używana w niej przez obie strony amunicja jest identyczna, ergo: repertuar retoryczny adwersarzy niczym się nie różni, jedni i drudzy zarzucają sobie wzajemnie wszelką nieprzyzwoitość (publiczną i kulturalną, ustawodawczą i finansową, gospodarczą i podatkową, senacką i sejmową, jurysdykcyjną i rocznicową, etc.). Tę szermierkę na wytykanie nieprzyzwoitości prowadzą politycy, czyli ludzie nieprzyzwoici z definicji, gdyż określenie „przyzwoity polityk” to oksymoron vel antylogia, podobnie jak „pracowite leniwość”, „wymowne milczenie” czy „zimny zapal” (Napoleon: „Słowa «cnota polityczna» to nonsens”). Rzecz prosta nie chodzi mi o nieprzyzwoitość typu francuskiego eurodeputowanego, wiceprzewodniczącego dużej partii MoDem, Roberta Rocheforta, który kilka miesięcy temu został złapany na publicznym masturbowaniu się — tylko o nieprzyzwoitość polityczną, społeczną, interpersonalną, etc.

Każdy rasowy polityk (powtarzam: każdy) kombinuje niby sławna francuska kurtyzana Ninon de Lenclos, która się modliła: „— Boże, zrób ze mnie przyzwoitego człowieka, jednak nie uczyn ze mnie nigdy kobiety przyzwoitej!” — przyzwoitym gościem chciałby być czasami, ale przyzwoitym politykiem za żadne skarby, bo to byłoby kariologiczne samobójstwo. Co kolumbijski mędrzec Nicolás Gómez Dávila diagnozował zgrabnie już dawno temu: „Nie wszyscy przegrani są przyzwoici, lecz wszyscy przyzwoici okazują się przegrani” (tłum. Krzysztof Urbanek). Praktyka dowodzi tego bezlitośnie — bywalczyni politycznych salonów, Irena Lasota, wyłożyła tę regułę na łamach „Rzeczy”: „Mówi się, że politykami kierują cztery pragnienia: seks, pieniądze, władza i sława. Udało mi się w życiu poznać polityków o innej moralności i wartościach, lecz kończyli oni jako przegrani” (2015). Więc nie należeli do rasowych polityków, skoro zgubiła ich przyzwoitość.

Przyzwoitość to jedna spośród najchłubniejszych cech ludzkich, każdy przyzwoity rodzic stara się wpajać ją dziecku. Bywa gloryfikowana maksymami i porzekadłami, exemplum: „Gdy nie wiesz jak się zachować — najlepiej jest zachować się przyzwoicie”, bądź: „Najlepszy sposób sprawiania wrażeń, że jest się człowiekiem przyzwoitym — to zachowywać się przyzwoicie”. Czaszy współczesne nie są wszakże łaskawe dla przyzwoitości, na co główny wpływ ma po-

litpoprawny liberalizm, libertynizm i tolerancjonizm roku '68 (znowu Dávila: „*Dziś przyzwoitość musi schodzić do podziemi*”), a już w polityce trzeba jej „szukać ze świecą”. Owszem, zdarzają się jeszcze politycy (zwłaszcza młodzi debiutanci) bardzo szlachetni, ale głównie w filmach takich jak „*Mr Smith jedzie do Waszyngtonu*” Franka Capry (1939), gdzie senatora idealistę grał James Stewart. Jednak partyjna i frakcyjna młockarnia szybko rozdziewicza tego rodzaju prawników, korumpując ich rytualnie czyli wszechstronnie. Vulgo: gangrenując. Niejeden umie długo jeszcze nosić maskę moralnego lub kulturalnego autorytetu, robić odpowiednie miny i trzymać odpowiedni ton, lecz to tylko hipokryzja sceniczna.

Tak jak przyczyną rutynowej obłudy polityków strojących się w szaty wyroczni jest korozja sumień — tak przyczyną ich sofistycznej retoryki jest biodegradacja mózgów (dla niewtajemniczonych: sofistyka to, najprościej mówiąc, perorowanie demagogiczne, nieunikające kuglarskich fałszów). Dlatego praktycy — ci, co zjedli żęby na polityce — nie mają wobec polityków złudzeń żadnych; ekspremier Wielkiej Brytanii, Tony Blair: „*Politycy są jak pieluchy. Powinni być zmieniani często i z tego samego powodu*”; eksposeł i ekswiceminister spraw zagranicznych, Andrzej Kostarczyk: „— *Je-*

∞

Aureli Urbański: „*Tu gazeciarz rezolutny, tam polityk bałamutny*”

∞

żeli istnieje piekło, to najgorsze miejsca zajmują w nim politycy. Jedni za to, co robieli, inni za to, czego nie zrobili”; prof. Jacek Hołówka: „*Do polityki trafiają oportunisty, mali gracze, ludzie bez charakteru, robiący małe i duże świństwa, więc dominuje tam plankton, a brakuje mężów stanu. Tak było zawsze*”. Istotnie — tak było od dawien dawna. Jeden tylko przykład, bo na więcej miejsca nie starczy — kurlandzki dyplomata, baron Karol von Heyking, rzekł o carskim ambasadorze w Polsce Stanisławowskiej, płk. Josifie Andriejewiczu Igelströmie: „*Wyniesienie tego człowieka do godności politycznych świadczy, że czasem fortuna kpi sobie z rozsądku. Jego nicość była tuszowana przez szczęśliwe przypadki. Trudno mieć mniej talentów, mniej rozumu i polotu*”.

Ta ostatnia fraza perfekcyjnie pasuje do wielu figur obecnej i minionej nadwiślańskiej sceny politycznej (tych z obu stron barykady) — słowem: do całej klasy politycznej III RP. Zanik przyzwoitości jest w niej widoczny gołym okiem i krytykowany nawet przez sojuszników. „— *Przyzwoity człowiek nie łamie umów!*” — parsknął prezydent Czech, Miloš Zeman, ganiąc decyzję Polski (rządu Platformy Obywatelskiej), bo ta wbrew stanowisku wypracowanemu w ra-

mach Grupy Wyszehradzkiej zmieniła zdanie i poparła zaproponowane przez Komisję Europejską obligatoryjne kwoty uchodźców, jakich mają przyjąć państwa członkowskie UE. Ale ten brak przyzwoitości dotyczy nie jedynie PO, lecz czasami całego parlamentu. Jeżeli Sejm Rzeczypospolitej Polskiej czci minutą ciszy pamięć zmarłego aktora tylko dlatego, że ów sympatycznie zagrał w serialu rolę dzielnego agenta NKWD — to taką demokratyczną hucpą parlament nasz instruuje młodzież, że NKWD był organizacją fajną, chociaż enkawudziści zamordowali tysiące polskich jeńców — oficerów strzałami w potylicę. Jest to działalność deprawacyjna sensu stricto, okrywająca hańbą posłów, marszałków, premierów i prezydentów III RP. Wszyscy oni mają na koncie mnóstwo grzechów i występków, nie mogą się więc dziwić, że według publikowanego w Szwajcarii „*Global Competitiveness Report*”: pod względem zaufania społeczeństwa do polityków Polska zajmuje dalekie 101 miejsce (oceniono 144 kraje).

Nie znajdziecie u nas polityka (czynnego), który by się ze mną zgodził — każdy Wam powie, że stara się zachowywać w swych działaniach przyzwoitość, i że jego koledzy również respektują standardy przyzwoitości. Będą nawet szermirani cudzoziemców zwać wzorami przyzwoitości, jak np. Chodorkowskiego (twórcę „*pralni*” mafijnej gotówki), czy Niemcowa (eksministra energetyki, patrona rabujących Rosję oligarchów), który stał się kontrputinowskim „*dysidentem*” kiedy odsunięto go od złobu, a teraz robi (staraniem Salonu) za męczennika wolności, praw obywatelskich, itp. Cały świat — od makabrycznie wprost przeżartej korupcją Italii, do takó makabrycznie przeżartej korupcją Wenezueli — pełen jest podobnych politycznych pseudoświątków, którym zupełnie uwiedła przyzwoitość. Dlatego ludzie coraz chętniej zgłaszają do wyborów zwierzęta, bo te są wedle zgłaszających uczciwsze (Kaligula miał słusność?). U nas to jeszcze nie przeszło, gdy Ludwik Dorn próbował zrobić posłanką swą sukę, ale za granicą nie raz. Roku 1938 w Milton (stan Waszyngton) wybory do komitetu republikańskiego wygrał muł o imieniu Boston Curtis, i został nawet sądowo zaprzysiężony. Dwadzieścia lat później (1958) Cacareco, samica nosorożca, zwyciężyła w wyborach do rady miejskiej São Paulo, ale nie bezwzględnie jej objął urząd. W wyborach na burmistrza też brazylijskiego miasta Jabotão (1954) zwyciężyła koza. W amerykańskich wyborach prezydenckich rywalem Ronalda Reagana był (1980) goryl Colossus, a rywalką Baracka Obamy (2008) jamniczka Molly. Niespełna trzy lata temu (2014) burmistrzem miasteczka Cromorant (stan Minnesota) został Duke, pirenejski pies górski, rozpoczynając kadencję od złożenia ślubowania z łapą na Biblii. Wszystkie te „zarty” elektoratu dobitnie mówią co ludzie sądzą o politykach, którym tak obca i niewygodna jest przyzwoitość. ©

Waldemar Łysiak



PWPW *wspiera* *patriotów*



REDUTA PWPW
FUNDACJA NA RZECZ
OBRONY PAMIĘCI
HISTORII POLSKI